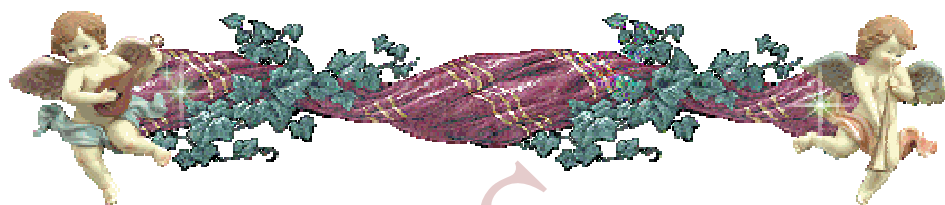




Shelton Helen



Przelotna idylla

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Alistair odsunął się od brata, machając brelokiem w kształcie serca, do którego przyczepione były dwa klucze.

- Cała rodzina łamie sobie głowy - rzekł kpiąco - czemu nagle koniecznie chcesz skorzystać z tej mojej kryjówki w Kornwalii. W końcu doszliśmy do wniosku, że zapalałeś dziką namiętnością do jakiejś mężatki, ale się boisz jej zazdrosnego męża.

Nathan na chwilę skierował spojrzenie w stronę sufitu.

- Bądź pewien - odparł oschle - że nigdy w życiu do nikogo nie zapalałem dziką namiętnością.

Nawet nie próbował ukrywać rozbawienia, w jakie wprowadził go idiotyzm takich domysłów. Owszem, lubił kobiety, potrafił cieszyć się nimi, ale jego namiętności nigdy nie wymykały się spod kontroli.

- Powinieneś pracować w jakimś brukowcu, a nie w czasopiśmie przyrodniczym - z uśmiechem oznajmił młodszemu bratu. - Najwyraźniej masz do tego talent. No, Ali! Daj mi wreszcie, proszę, te klucze. Jestem umówiony w teatrze, a ty powinieneś już być w połowie drogi na lotnisko.

- Zaspokój moją ciekawość, to dam ci klucze.

- Jesteś ciekaw, dlaczego biorę parę tygodni urlopu? .

- Wziąwszy pod uwagę, że nigdy nie wyjeżdżasz na wakacje - przypomniał mu Alistair - nie ma w tej ciekawości niczego dziwnego. Tak, wszyscy jesteśmy ciekawi.

Nathan westchnął.

- Przecież byłem na Florydzie - rzekł.

Alistair uniósł brwi, aż zniknęły pod jego jasną grzywką.

- Owszem, kiedy skończyłeś studia! - jęknął. - Miałem wtedy trzynaście lat, a teraz mam dwadzieścia sześć!

- No to chyba rozumiesz, dlaczego muszę odpocząć. Więc jak będzie?

Alistair westchnął dobrodusznie i upuścił kluczyki prosto w wyciągniętą dłoń Nathana.

- Jeden jest do szopy, a drugi do drzwi kuchennych - wyjaśnił. - Klucz do drzwi frontowych leży pod doniczką na najwyższym schodku. - Roześmiał się na widok sceptycznej miny Nathana. - Przecież to Konwalia, Nate. Zupełnie co innego niż Londyn, siedlisko zbrodni. A poza tym mam dobrą sąsiadkę. - Przechylił głowę i dodał: - Za to do najbliższego szpitala jest

ładnych parę kilometrów. Nie boisz się, że nie zaspokojony nałóg da ci się we znaki?

Nathan spojrzął na zegarek, schował kluczyki do wewnętrznej kieszeni marynarki i otworzył drzwi gabinetu,

- Udanej podróży - powiedział.

- Dobra, dobra - odparł Alistair, który uznał się za wyproszonego i ruszył ku drzwiom. Nathan właśnie zaczął sobie gratulować, że się go wreszcie pozbył, gdy młodszy brat przystanął. - Obiecałem mamie, że po spotkaniu z tobą zadzwonię - dodał. - Wiesz, jaka ona jest. Radzę ci, Nate, przyznaj się, że jedziesz tam z kobietą. Z dwojga złego niech już lepiej mama szaleje z ciekawości. Bo jeżeli ona i ojciec zaczną się martwić, że ci samotność dokuczy, jutro o świcie mogą ruszyć do Kornwalii, żeby ci zrobić niespodziankę.

- Nie ma żadnej kobiety - ze znużeniem odrzekł Nathan. - Będę sam, ale nie osamotniony.

Pomyślał jednak, że swoją drogą brat ma chyba rację. On,

Nathan, lubił co prawda matkę oraz jej męża i dobrze się z nimi czuł, ale wścibskość matki była czymś, czego wcale sobie nie życzył; nie chciał, żeby mu sprzątała i gotowała, robiąc wokół niego zamieszanie, akurat gdy on musi pracować. Zdawał sobie sprawę, że ostatnio zaniedbuje rodzinę, lecz postanowił po powrocie z Kornwalii, kiedy już napisze i przygotuje do druku ten swój artykuł, spędzać z bliskimi więcej czasu.

- Potrzebuję spokoju do pracy - wyjaśnił. - Dziś wieczór do niej zadzwonię i wszystko jej wytłumaczę.

- A nie mógłbyś pracować tutaj?

- Potrzebuję spokoju - powtórzył. - Mam nadzieję, że przez miesiąc w Konwalii zrobię tyle, ile tu bym zrobił w pół roku.

Przemilczał fakt, że pragnąc zmniejszyć liczbę operacji i zaoszczędzić na budżecie oddziału chirurgicznego, dyrekcja szpitala zmusiła go, by wykorzystał część od dawna nagromadzonego urlopu. Chociaż wstrętą była mu myśl, iż ze względów ekonomicznych nie może pielęgnować pacjentów, wiedział, że nie powinien się z nią zdradzać. Gdyby jego poglądy wyszły na jaw, z pewnością jeszcze bardziej ograniczono by mu wydatki. A choć Alistair pisał obecnie do pewnego amerykańskiego magazynu przyrodniczego, nadal miał kontakty w prasie angielskiej.

- No cóż, ja tam dalej obstawiam wariant z mężatką i zazdrosnym mężem - oświadczył Alistair, na co Nathan odpowiedział niechętnym uśmiechem. - I

nie myśl, że nie dojdę prawdy. Mam szpiegów w całej okolicy. - Spojrzał na zegarek. - Racja, powinienem się zbierać. - Przechodząc przez sąsiadujący z gabinetem Nathana sekretariat, puścił oko do pani Langley, zanim otworzył drzwi na korytarz. - Tak czy owak baw się dobrze, Nate, i pozdrów ode mnie Libby. Ona zna cały tamtejszy teren dużo lepiej niż ja, więc ci pomoże, gdybyś czegoś potrzebował.

- Libby? - szybko spytał Nathan.

- Sąsiadka - wyjaśnił Alistair. - Aha, jeszcze jedno.

- Co? - spytał Nathan znad pliku notatek, które podała mu pani Langley.

- Ręce przy sobie.

Nathan szeroko się uśmiechnął. Do niedawna wydawało się, że tego rodzaju łowy sprawiają Alistairowi wiele uciechy, lecz Nathan zauważył, iż brat prowadzi ostatnio bardziej mniś żywot. Czyżby poznał jakąś wyjątkową kobietę?

- Mam trzymać ręce przy sobie, czyli z dala od... sąsiadki? - upewnił się.

- Poprzestań na swoich wielkowiejskich damach - poradził mu Alistair. - Libby jest za bardzo wrażliwa dla kogoś takiego jak ty. Nawet gdyby nie była największą miłością mojego życia, nie dałbym ci do niej podejść.

- Ali, mówisz poważnie, czy... - zaczął Nathan, gdy wtem przerwał rozmowę pisk jego pageda.

Podświetlona cyfra na bocznej ścianie znaczyła, że wzywają go z sali operacyjnej z miejscami dla studentów. Alistair podniósł rękę w pożegnalnym geście i odszedł.

Gdy Nathan umył ręce, włożył fartuch i podszedł do stołu operacyjnego, zobaczył, że asystenci otworzyli jamę brzuszną pacjenta, a także odsłoniли arterie nerkowe nad wielkim tętniakiem aorty. Rzuciwszy okiem na arteriogramy, Nathan zauważył rozdęcie aorty i niedrożność naczyń biodrowych - klasyczne objawy zaawansowanej arteriosklerozy.

- Nie rozumiem, dlaczego tak późno się zgłosił - powiedział, zakładając zacisk na niewielką arterię, która wymagała usunięcia. - Sądząc po stanie jego nóg, od lat musiał mieć te objawy.

- Owszem, ale nie wierzy w medycynę konwencjonalną. Nie był nawet zarejestrowany w rejonie - odparł Richard, jego asystent. - Chodził za to na masaż stóp do jakiegoś szarlatana z ulicznego targowiska. I dopiero kiedy ledwo już mógł przejść kilka metrów, żona zaciągnęła go do lekarza, a ten natychmiast zdiagnozował tętniak.

Nathan uniósł brwi.

- Jeszcze parę tygodni tego masażu i mogłoby być po nim - stwierdził. - Operujemy go w samą porę. - Przy pomocy Richarda oczyścił dolny odcinek aorty, w miejscu, gdzie rozwidła się na arterie biodrowe. - Ten szarlatan pewnie mu nie raczył powiedzieć, że ma rzucić palenie?

- Ale zalecił dietę makrobiotyczną. Obaj wybuchnęli śmiechem.

- Przynajmniej zadbał, żeby pacjent u schyłku życia zanadto sobie nie dogadzał - zażartował Nathan. Złościła go jednak myśl, że system opieki zdrowotnej nie zdołał wcześniej pomóc temu człowiekowi. - Całe szczęście, że jego żona ma trochę rozumu.

Nazajutrz nie zdołał się wyrwać ze szpitala przed dwunastą, wracał więc do domu w porze lunchu, z trudem przedzierając się przez korki. Zanim wziął prysznic, spakował się i wyruszył w długą podróż do letniego domu Alistaira, było już dobrze po południu.

Moja wina, smętnie powiedział sobie w duchu, włączając się do ruchu. Dziś mógł wyjść ze szpitala już o ósmej rano, gdyby zgodził się przekazać opiekę nad nowo przyjętym chorym któremuś z kolegów. On jednak - mając za sobą prawie całonocną operację - zwlekał z odejściem, póki nie upewnił się, że pacjent jest na oddziale intensywnej terapii i stan jego nie budzi niepokoju.

Choć wiedział, że koledzy doskonale go zastąpią, wciąż

Imck McMuiwe się czuł, ilekroć musiał zdać się na nich. ftokctł Richardowi, by do niego dzwoniono, jeśli będą jakiegokolwiek problemy. Gotów był w razie potrzeby przyjechać, a nawet przylecieć samolotem z Kornwalii.

Spojrzał na telefon, leżący na sąsiednim fotelu. Jakoś nie bardzo potrafił go wyłączyć. Ale urządzenie jak dotąd nie zakłócało ciszy. W duchu życzył sobie, by tak już zostało. Kiedy wreszcie wjechał na autostradę i skręcił na południe, zrobiło się luźniej.

Po cichu przyznawał, że parę tygodni poza miastem może mu dobrze zrobić. Nie dość, że należał do zespołu transplan-tologów, to jeszcze był w całym szpitalu jednym z zaledwie dwóch specjalistów od chirurgii naczyniowej. Zawsze wydawało mu się, że obciążenie pracą raczej go mobilizuje niż wyczerpuje, raptem jednak zdał sobie sprawę, że jest prawie wykończony. I chociaż miał wrażenie, że cały miesiąc urlopu to przesada - zwłaszcza że na dokończenie artykułu potrzebował tylko dwóch tygodni - mówił sobie, że zawsze przecież może wrócić do szpitala tydzień wcześniej.

- Żałosny z ciebie przypadek, panie Thomas - szepnął nagle. - To dopiero pierwszy dzień pierwszych wakacji od dziesięciu lat, a już myślisz o powrocie do pracy.

Po kilku godzinach zjechał z autostrady i skręcił na parking przed niewielkim pubem. Podczas jazdy nieco zesztywniał, więc kiedy wygramolił się z auta, z przyjemnością się przeciągnął i parę razy głęboko odetchnął. Czując słodczy wiejskiego powietrza, pomyślał, że chyba jednak za długo mieszkał w Londynie. W płucach ma pewnie tyle sadzy, że nie pozbędzie się jej do końca życia.

Musiał się pochylić, by wejść do pubu. Wiedział, że oko-lica ta słynęła niegdyś z przemytu. Rozejrzał się i bez trudu sobie wyobraził, jak przed wiekami w tym ciemnym, przylulnym wnętrzu wymieniano szmuglowane towary. Zamówił przekąskę, odwzajemnił uśmiech młodej barmanki, ale zignorował widoczne w jej oczach zaproszenie do flirtu.

Alistair zabronił mu uwodzić sąsiadkę, lecz Nathanowi przezorność ta wydawała się przesadna. Owszem, chciał poznać Libby, przyjaciółkę brata, nie zamierzał jednak okazać jej niczego prócz życzliwości, nawet gdyby wcale nie zdążyła jeszcze się związać z jego bratem. Nie żył co prawda w celibacie, lecz życie seksualne prowadził spokojne i uporządkowane. Praca miała dla niego zbyt wielką wagę, żeby chciał się wdawać w przelotne romantyczne zawikłania.

Chociaż stosował się do wskazówek Alistaira, zabłądził w labiryncie drózek wiodących do jego letniego domu i dotarł na miejsce dopiero o zmierzchu. Zaparkował saaba przed domem i zaczął szukać klucza. Zgodnie z obietnicą brata, znalazł go pod glinianą doniczką z wonnymi, różowo-białymi kwiatami.

Skrzywił się na myśl o tym, co mogłoby się stać z jego mieszkaniem w Kensington, gdyby zostawił klucz w tak łatwej do odnalezienia kryjówce: splądrowano by je w ciągu paru godzin po jego wyjeździe.

Otworzył masywne drewniane drzwi i zaniósł walizki do sypialni - pierwszego pokoju na lewo, z wejściem z holu. Następnie rozejrzał się po domu. Alistair fotografował przyrodę, toteż wiele podróżował. W pokojach wisiały azteckie makatki i kobierce oraz barwne sztychy i zdjęcia z Afryki; wygodne meble i dwie ogromne kanapy w stylu japońskim przykryte były ciepłymi, kolorowymi tkaninami.

W ciasnej, lecz funkcjonalnej łazience Alistair zdołał zmieścić kabinę prysznicową. Kuchnia i salonik były niewielkie, lecz wystarczająco

przestronne jak na potrzeby Na-thana. W sumie nowe miejsce spodobało mu się bardziej niż jego mieszkanie w Londynie, drogie i urządzone przez zawodowego dekoratora wnętrz. Pewnie by nie żałował, gdyby rzeczywiście ktoś się tam włamał.

Uświadomiwszy to sobie z lekką przykrością, zaczął się zastanawiać, czy niezadowolenie z pracy, które ostatnio odczuwał, nie przenosi się przypadkiem na inne sfery życia. Ogarnięty nagłym niepokojem, otworzył puszkę piwa, którego zapas znalazł w kuchni, pociągnął długi łyk i wyszedł na dwór tylnymi drzwiami, po czym skierował się w stronę porośniętego trawą urwiska za domem. Przystanął na jego skraju i parę razy głęboko odetchnął, rozkoszując się kontrastem między smakiem soli w głębi gardła a chłodną goryczą piwa.

W dole jak okiem sięgnąć ciągnęło się morze.

Miał ochotę trochę zwiedzić okolicę, uznał jednak, że o wiele rozsądniej będzie stłumić ten odruch i poświęcić resztę wieczoru na posortowanie papierów, by wczesnym rankiem zabrać się do pracy.

Zawracając w stronę domu, zauważył kątem oka jakiś ruch, a kiedy się odwrócił, by sprawdzić, co to takiego, dostrzegł w ciemnej wodzie, z dala od brzegu, płynącą postać. Zdziwił się, że ktoś ryzykuje samotne pływanie o zachodzie słońca. Morze wyglądało wprawdzie spokojnie, lecz wiedział, że w tych stronach pojawiają się zdradzieckie prądy. Gdy stanął u szczytu schodków wiodących na plażę, pływak energicznie ruszył w stronę lądu, a Nathan pojął, że pomoc nie będzie potrzebna.

Nie był to zresztą pływak, tylko pływaczka: kiedy zbliżyła się do brzegu, w płytszej wodzie ukazał się zarys piersi. Pewnym, swobodnym ruchem szybko sunęła ku plaży. Już po paru sekundach stanęła w wodzie sięgającej do pól uda. Nathan zmrużył oczy, gdy pochyliła się, by rozpuścić ciemne włosy, a on zobaczył, że jej smukłe ciało jest zupełnie nagie.

Raptem zadarła głowę, a kaskada mokrych włosów spłynęła jej po plecach i przywarła do skóry.

Najwyraźniej nie licząc się z tym, że ktoś może ją obserwować, kobieta ruszyła przed siebie, brodząc w płytkich falach, a gdy wyszła na plażę, podniosła z ziemi coś, co z daleka wyglądało jak ręcznik. Nathan z tej odległości nie widział szczegółów, dostrzegł jednak wspaniale zgrabną figurę. Patrzył, jak nieznajoma pospiesznie wyciera się do sucha, a potem wykręca wodę z włosów, owija głowę ręcznikiem i znowu zostaje naga.

Z jednej strony był przerażony, że tak się wdiera w cudzą prywatność, zarazem jednak jakaś jego część - pewnie ta, w której władzy pozostawały nogi i zdrowy rozsądek - nie pozwoliła mu ruszyć się z miejsca.

Syrena, pomyślał przelotnie, zanim się skrzywił, uświadamiając sobie kiczowatość tego skojarzenia. Ale w tamtej akurat chwili naprawdę rozumiał, czemu dawni żeglarze dawali się skusić takim egzotycznym istotom i wciągnąć w objęcia śmierci. Niestety, kobieta wkrótce zniknęła pod nawisem urwiska, a wtedy nogi i rozsądek Nathana odzyskały samodzielność, ruszył więc energicznym krokiem w stronę domu.

Zirytowany swoim kradzionym podnieceniem, wziął krótki, zimny prysznic, i celowo stał pod strumieniem lodowatej wody, póki pożądanie nie osłabło. Wiedząc, że tego wieczoru niewiele już zdziała, położył się do łóżka i - o dziwo - prawie natychmiast zapadł w sen.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Libby zbudziła się, czując w uchu chłodną wilgoć. Kiedy otworzyła jedno zaspane, zielone oko, oba czarne koty z niewinnymi minami patrzyły na nią z dywanika przy łóżku.

- Ale z was dranie - jęknęła, widząc, że na zegarze jest dopiero wpół do szóstej. - Skończone dranie. Przecież wiecie, że już nie dam rady z powrotem zasnąć.

Wstała pomału i odsłoniwszy ciężkie portiery w oknie, wpuściła do pokoju łagodne słońce poranka. Było niezwykle ciepło jak na koniec maja.

Podniosła ręce i rozkosznie się przeciągnęła, ale William natychmiast trącił ją w łydkę. Ze śmiechem zgarnęła z podłogi jedwabiste stworzenie, odzyskawszy część energii, i poszła boso do kuchni, żeby nakarmić ulubieńców. Potem z miską płatków i jogurtu wyszła na werandę swego małego domku, napawając się słonecznym ciepłem.

Miała przed sobą pejzaż, który nigdy jej nie nużył: wspaniały bezmiar morza i mroczne urwiska co godzina wyglądały inaczej, zależnie od pory roku i rodzaju światła. Od lat próbowała oddać piękno tego pejzażu za pomocą akwarel i każdy kolejny obraz był inny od poprzednich. Zaczęła jeszcze na studiach, w internacie, a potem ozdabiała tymi malunkami ściany swoich małych, wynajętych pokojów. Kawałtiki Kornwalii były w stanie tchnąć odrobinę ciepła w szare londyńskie dni.

Akurat tego ranka morze iskrzyło się srebrzyście. Libby westchnęła, w sumie zadowolona, że koty tak wcześnie ją zbudziły. Mewy z krzykiem nurkowały w spienionej wodzie przy stromym brzegu, nie burząc jednak bezludnego spokoju okolicy. Libby właśnie kończyła śniadanie, kiedy zwróciła leniwe spojrzenie w stronę sąsiedniego domu. I natychmiast zmarszczyła brwi. Alistair powiedział, że nie będzie go co najmniej przez miesiąc, a tymczasem okno jego sypialni było otwarte. Prosił, żeby czuwała nad jego letnim domem, a choć w tej części Kornwalii włamania były rzadkością, czasem jednak się zdarzały, zwłaszcza wiosną i latem, kiedy w te niezbyt ludne strony nadciągali liczni turyści.

Szybko wróciła do domu. Na podłodze obok łóżka leżała sukienka, którą nosiła przy malowaniu. Wciągnęła ją przez głowę, okrywając swą nagość. Koty skończyły już śniadanie i leżały teraz w jej pokoju, grzejąc się w słońcu.

- Alistair pewnie dał klucze komuś z przyjaciół - powiedziała do nich z nadzieją, ale w głębi duszy czuła niepokój. Zawsze w takich razach zawczasu ją uprzedzał.

Ściskając w dłoni zapasowy klucz, ruszyła ku drzwiom. Koty poszły za nią, z ciekawością strzygąc uszami.

- Prawdziwy włamywacz zgarnąłby łup przed świtem i teraz byłby już daleko - oznajmiła im zdecydowanym tonem. Mimo to sięgnęła po szczotkę do podłogi, zanim prze-kradła się przez dziurę w żywopłocie i zaczęła zbliżać do domku Alistaira.

Nathana raptownie wyrwał ze snu miękki ciężar na piersi i dotyk ciepłego futra, które musnęło go po twarzy.

- William! - rozległ się gniewny kobiecy szept. - Chodź mi tu zaraz, głupi kocie!

Nathan otworzył oczy i napotkał niewzruszone spojrzenie żółtych ślepiów wielkiego czarnego kota, który siedział mu na piersi. Poderwał się i oparł na łokciach, a kot natychmiast skoczył w stronę kobiety, która stała przy drzwiach sypialni. A więc syrena nie była jednak postacią ze snu.

- Przepraszam. - Kuszący, ochryply zaśpiew w jej głosie sprawił, że zmysły Nathana niepokojąco się napięły. - Wyskoczył do przodu, kiedy otworzyłam drzwi.

Kot przysiadł u jej stóp. Drugi - równie wielki i czarny - stał obok niego, jakby osłaniał swą panią, mierząc Nathana niepokojąco obojętnym, złocistym spojrzeniem; można by sądzić, że czyta w ludzkich myślach. Te, które akurat snuły się Nathanowi po głowie, były takiego rodzaju, że wołałyby, aby nikt w nich nie czytał.

Wdzięk i delikatność kobiety wyczuł już poprzedniego dnia wieczorem, ale dopiero z bliska zobaczył, że jest naprawdę piękna. Kaskada ciemnych włosów, które teraz nabrały rudawego połysku, blada cera, dyskretne piegi na zadartym nosku, zielone oczy o migdałowym wykroju - wszystko to tworzyło nieodparty czar. Lecz badawcze spojrzenie Nathana wyraźnie ją denerwowało, bo trochę się cofnęła.

- Muszę już iść - powiedziała.

- Dokąd? - spytał, siadając na łóżku. - Proszę zaczekać. Co pani tu robi? Kim pani jest?

- Jestem Libby Deane, sąsiadka - odparła, a on zeszywniał, wspomniawszy przestrożę Alistaira. - Zobaczyłam, że okno jest otwarte. Chciałam tylko sprawdzić, czy...

Zagryzła usta, ukazując drobne białe zębki.

- Wszystko w porządku - wyjaśnił Nathan. - Nie jestem intruzem.

- Tak, wiem. Zauważyłam na stole klucze Alistaira. Z początku myślałam, że pan się włamał, ale te klucze mnie uspokoiły.

- Ta szczotka to broń na włamywacza?

- Chyba tak - odrzekła, znów spoglądając na niego, tym razem z zakłopotaniem.

Szczotkę trzymała za plecami, jakby chciała, żeby o niej zapomnieli. Jego uwagę natychmiast pochłonął zarys piersi pod cienką tkaniną sukienki, którą Libby miała na sobie. Jej nagle przyspieszony oddech zdawał się wskazywać, że wyczuła jego zainteresowanie, więc spojrzał gdzie indziej, mając sobie za złe to natrętne gapienie. Ale to Libby pierwsza zaczęła się usprawiedliwiać.

- Przepraszam, że pana zbudziłam - powiedziała. - Nie chciałam. Pójdę już.

- Nie! Proszę zostać. - Mimo woli pochylił się ku niej, ale w porę sobie przypomniał, że pod prześcieradłem jest nagi. Przykrył się z powrotem i dodał: - Proszę poczekać w kuchni. Ubiorę się i zaraz tam przyjdę...

Wciąż miała taką minę, jakby chciała odejść, a on co prawda wiedział, że tak może byłoby najlepiej, ale poniekąd wbrew sobie dalej ją przekonywał:

- Proszę zrobić nam coś gorącego do picia. - Widząc jej wahanie, zaczął gorączkowo szukać pretekstu. - Mam do pani kilka pytań w sprawie domu i okolicy. Na przykład, gdzie tu się robi zakupy. Alistair mówił, że może zechce mi pani pomóc.

Na dźwięk imienia jego brata rozpogodziła się i skinęła głową. Wziąwszy na ręce jednego z kotów, z wdziękiem wyszła z pokoju. Drugi kot podążył tuż za nią. Nathan odczekał, aż zamknie za sobą drzwi, i dopiero wtedy opadł z powrotem na poduszki. Westchnął przeciągle, zastanawiając się, jak ma sobie poradzić z tą sprawą.

Gdyby Libby wiedziała, ile w jego oczach ma uroku, zdumiałoby ją to. Była roztrzęsiona i czuła się jak ostatnia niezdara. Z ulgą osunęła się na krzesło w słonecznym saloniku, przylegającym do kuchni. Koty miauczały niespokojnie i ocierały się o jej nogi. Duncan wskoczył na stół i trącił ją pyszczkiem, ale wbrew swoim zwyczajom nie zdjęła go stamtąd i nie odstawiła na podłogę, tylko z roztargnieniem zaczęła głaskać. Próbowwała sobie perswadować, że przecież to nie pierwszy mężczyzna, jakiego widzi w życiu. Widziała ich w sumie chyba całe setki.

Wtuliła twarz w miękkie futro Duncana z nadzieją, że rytmiczne mruczenie kota ją uspokoi. Wciąż jednak czuła, że mężczyzna, który właśnie krząta się po sypialni, w niczym nie przypomina żadnego z jej pacjentów. Był silny, sprawny i najwyraźniej zdrowy. Tłumaczyła sobie, że jego harmonijna budowa wprawia ją w czysto artystyczny zachwyty. Czemu jednak przystanąła w drzwiach i tak długo przypatrywała się śpiącemu, że William w końcu się zniecierpliwił i postanowił go obudzić?

- Herbata, Libby?

Podsłoczyła, gdy to pytanie przerwało gonitwę jej myśli. Przypomniała sobie sugestię Nathana, by zrobiła coś do picia. Bardziej jednak niż własne roztargnienie zaniepokoił ją fakt, że mężczyzna ubrany od stóp do głów, w spranych niebieskich dżinsach i kremowym swetrze, był równie pociągający jak w stroju Adama. Choć nie miał nijakiej, banalnej urody Alistaira, jego twarz o twardszym wyrazie dużo bardziej ją fascynowała. Libby szybko umknęła spojrzeniem, by nie odgadł jej uczuć, zdążyła jednak spostrzec, że on także badawczo w nią się wpatruje. Zauważyła też uniesiony kącik jego ust, co mogło świadczyć o ironicznym poczuciu humoru.

Nigdy nie miała ochoty namalować portretu Alistaira, lecz gdyby tylko zdobyła się na odwagę, poprosiłaby tego mężczyznę, by zechciał jej pozować. Ale oczywiście nie ośmieliła się; wiedziała, że będzie szkicować go z pamięci.

- Tak, poproszę - wymamrotała w odpowiedzi na jego pytanie. Przynajmniej zajmie czymś ręce. - Alistair trzyma zapas herbat w szafce nad zlewem.

Po chwili wahania uznała jednak, że mężczyzna nie wygląda na kogoś, kto lubi aromatyczne herbaty ziołowe, które ona i Alistair często popijali, dodała więc:

- W zamrażalniku powinna być kawa.

Zgodnie z jej przewidywaniami otworzył zamrażalnik, pochylił się i wyjął słoik kawy. Kiedy się wyprostował, spojrział na nią spod zmrużonych powiek, z namysłem.

- Wie pani, gdzie co leży w tym domu - rzekł tonem raczej pytającym niż twierdzącym.

Libby poczuła się niepewnie.

- To jedyny dom po tej stronie zatoki prócz mojego - wyjaśniła. - Alistair i ja dość dobrze się znamy.

- Jak dobrze?

- Przyjaźnimy się. Alistair to cudowny sąsiad.

- Nie wątpię - rzekł nieco twardszym tonem, a ona nerwowo zagryzła usta. Odetchnęła z ulgą, kiedy odwrócił się do niej tyłem i otworzył szafkę, w której mieściła się kolekcja herbat Alistaira. Zaniemówił na parę sekund, jakby zdumiony ogromem wyboru, a w końcu spytał z lekkim rozbawieniem: - Ma pani jakieś konkretne zamówienie?

- Kwiat czarnego bzu - odparła, czując, że potrzebuje czegoś na uspokojenie. Patrząc Jak mężczyzna grzebie wśród opakowań, zdała sobie sprawę, że nawet nie spytał, czy nie wolałaby kawy. Nie piła kawy, ale niepokojąca była myśl, że odgadł jej gusta z taką samą łatwością, z jaką ona wyczuła jego upodobania.

- A właściwie jak długo zna pani Alistaira? - spytał. William owinął się wokół kostki Nathana, mężczyzna musiał więc przejść nad nim, idąc w stronę kranu. Libby zawołała zwierzę, ono jednak zignorowało ją i dalej łąsiło się do Nathana, aż ten wreszcie się schylił i je pogłaskał.

- Poznaliśmy się, kiedy pierwszy raz tu przyjechał, żeby obejrzeć dom - wyjaśniła, słysząc głośnie mruczenie Williama. - Jakies dwa lata temu.

- Od dawna pani tu mieszka?

- Niemal całe życie, tyle że z przerwami. - Podejrzewała, że jego pytania podyktowane są raczej uprzejmością niż zainteresowaniem, ale i tak była mu wdzięczna za to, że bierze na siebie ciężar rozmowy. - Właściwie się tu wychowałam. To był dom mojej babki, aż do jej śmierci.

Niezupełnie było to zgodne z prawdą, ponieważ babka wysłała Libby do szkoły z internatem, wyobrażając sobie, że tak właśnie chcieliby ją wychować rodzice. Ale wnuczka przyjeżdżała na każde wakacje, a po śmierci babki wprowadziła się na stałe. Poczula na twarzy jego spojrzenie.

- Ma pani nietutejszy akcent - powiedział.

- Urodziłam się w Londynie - wyjaśniła - i spędziłam tam sporo czasu.

Zdobyła się na nerwowy uśmiech, kiedy podał jej jeden z kolorowych kubków Alistaira i czajniczek z herbatą. Potem wyciągnął spod szerokiego dębowego stołu drugie krzesło i usiadł obok niej. Przez kilka minut popijali w milczeniu, aż wreszcie powiedział:

- Alistair ma taką pracę, że pewnie rzadko tu bywa. - Zaskoczona tą uwagą, nie odezwała się, on zaś dodał, patrząc jej w oczy tak długo, że zaczęło ją to krępować: - Musi to być trudna sytuacja.

- Trudna?

- Dla pani.

Nagle zaschło jej w ustach.

- Nie czuje się pani samotna? - spytał.

Powietrze między nimi jakby raptem zgęstniało. Libby trochę się spłoszyła. Niezręcznym ruchem wyprostowała się, aż Duncan spojrział na nią z wyrzutem i zeskoczył z jej kolan na podłogę. Pospiesznie upiła łyk herbaty, patrząc, jak kot z precyzją i uczuciem wylizuje ucho swemu bratu.

- Mam dom i morze, koty i swoją pracę - odrzekła w końcu, nie odrywając oczu od zwierzątek, żeby uniknąć natarczywego wzroku mężczyzny. - Jestem bardzo zajęta.

- Pracuje pani w domu?

- Mhm...

Żałowała, że brak pewności siebie i obycia nie pozwala jej swobodnie gawędzić z tym mężczyzną i bez obaw patrzeć mu w oczy. Dawniej, owszem, miewała chłopców, błahe romanse, ale wszystko to działo się, zanim wróciła do Korn-walii. Wyszła... wyszła z wprawy. Żyła na uboczu. Czasem tylko jeździła po zakupy do Penzance albo do Truro. Jeśli nie liczyć Alistaira, od dwóch lat jedynymi mężczyznami, z jakimi miewała styczność, byli mężowie klientek, przeważnie starsi panowie.

Zresztą nawet póki jeszcze mieszkała w Londynie, nie miała okazji przywyknąć do towarzystwa takich mężczyzn jak ten. Nieodgadnionych i obcych. Mężczyzn, których samo spojrzenie - dziwnie skupione - nieodparcie przypominało jej, że jest kobietą. Czuła, że się przy nim rozpląta, a ponieważ była dorosłą kobietą, robiło jej się głupio i nieswojo.

- Chciał mnie pan o coś spytać w związku z domem - rzekła sztywno, udając, że strzepuje z kolan kocia sierść -i o sklepy. Podobno Alistair obiecał panu, że odpowiem na pańskie pytania.

Po krótkim milczeniu Nathan westchnął i wyprostował się na krześle, jakby nagle poczuł, że ma dość tej niepokojącej gry - prawie flirtu - którą prowadził z kobietą.

- Nie chodziło mi o nic ważnego - rzekł nieomal znużonym tonem, który wprowadził ją w popłoch, bo pomyślała, że to jej nerwowość tak go męczy.

Jakby na potwierdzenie tych domysłów wstał, odsuwając filiżankę, aż zazgrzytała po stole.

- Odrywam panią od pracy - skonstatował.

- Proszę się nie przejmować. Nic nie szkodzi - odparła. Zrozumiała jednak, że mężczyzna ją odprawia. Podniosła ręce, odrzuciła na plecy ciężką falę włosów, która dotychczas spływała jej z ramienia, i wzięła na ręce Duncana.,

wiedząc, że William sam za nią pójdzie. Ruszyła w stronę drzwi, które Nathan przed nią otworzył.

- A może właśnie powinno szkodzić - rzekł.

Na jej zdumione spojrzenie odpowiedział nieomal melancholijnym uśmiechem, ukazując przy tym dwa rzędy nieskazitelnie białych zębów, a równocześnie drobniuteńkie zmarszczki pod oczami. Dotychczas nie zauważyła tych zmarszczek, które jednak - jak stwierdziła - nie tylko nie ujmowały, lecz nawet dodawały mu powabu.

- Ile ma pani lat? - spytał. - Osiemnaście? Poczowała, że znowu się rumieni.

- Dwadzieścia cztery - sprostowała ochryplym głosem. Poznała po oczach mężczyzny, że chyba nie bardzo jej uwierzył, - Słowo daję. Mogę panu pokazać metrykę.

To go już naprawdę ubawiło.

- Nie ma potrzeby - odparł, spoglądając w stronę jej kamiennego domu, którego łupkowy dach odrobinę wystawał nad oddzielający posesje żywopłot. - Dwadzieścia cztery to i tak niewiele. Czy to tam pani mieszka?

- Tak - potwierdziła.

Zrobiwszy parę kroków, przystanąła i odwróciła się, żeby zawołać Williama, który wbrew swym obyczajom nie poszedł za nią, lecz stał obok mężczyzny. Po chwili Nathan schylił się, wziął kota na ręce i zaniósł go jej.

- Biegnij do domu, kocie - rzekł szorstko, oddając go Libby. - Razem ze swoją panią.

Wiedział, że nie powinien patrzeć na nią, lecz nie mógł się powstrzymać. Nazbyt go nęcił jej zgrabny chód i łagodne falowanie bioder pod sukienką. Gdy wreszcie zniknęła za żywopłotem, westchnął i z ociąganiem zawrócił do domu.

Co z tego, że widział już każdy szczegół jej ciała - wczoraj, kiedy pływała, i dziś przez sukienkę? Co z tego, że jest o kilka lat starsza, niż wygląda? Co z tego, że zrobił na niej nie mniejsze wrażenie niż ona na nim? Wszystko to jest bez znaczenia, skoro podczas całego spotkania nie zachęciła go ani jednym porozumiewawczym spojrzeniem czy gestem. Przecież by zauważył.

Jej niewinność zdumiewała go, a zarazem napawała otuchą: odczytywał ją jako znak, że miłość, jaką Alistair wedle własnych słów darzył tę dziewczynę, nie znalazła dotąd fizycznego wyrazu.

Wstawił brudne naczynia do zlewu i zalał je wodą i płynem do zmywania, a potem starł ze stołu plamę po kawie, myśląc przy tym, że skoro Alistair jest taki powściągliwy, planuje widocznie trwałą związek. Ustawiając umyte

naczynia na suszarce, przyznał w duchu, że myśl ta niezbyt go cieszy. Czyżby miał przez najbliższe dziesięć, a może dwadzieścia lat pożądać żony młodszego brata? Nie wydawało mu się, żeby to był szczególnie zabawny pomysł na urozmaicenie rodzinnych zgromadzeń.

Bez większego przekonania usiadł przy komputerze, lecz po paru godzinach dał za wygraną i z irytacją zamknął wieczko laptopa, pogodzony z myślą, że pierwszego dnia pobytu w Kornwalii raczej nie uda mu się dokonać niczego pożytecznego. Przebrał się w strój do biegania, wyszedł na dwór i ruszył w stronę urwiska. Patrząc na morze, pomyślał, że tego zainteresowania dziewczyną własnego brata nie może nawet tłumaczyć przewlekłą abstynencją. Praca zawsze była dla niego wprawdzie najważniejsza, lecz ilekroć pragnął kobiecego towarzystwa, bez trudu je znajdował. A Paula ostatnio robiła się wręcz natarczywa. Ten związek z anestezjolożką polegał co prawda nie tyle na romantycznych uczuciach, ile na wygodnej dla obojga wymianie usług.

Uznał, że powinien być wdzięczny Alistairowi za przestrożę. Gdyby brat nie wspomniał, co łączy go z Libby, Nathan, zamiast bezmyślnie gapić się przez cały ranek w ekran komputera, mógłby spędzić ten czas, przemyśliwając, jak by tu uwieść uroczą sąsiadkę. Co byłoby fatalnym pomysłem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pokazać mu metrykę, też coś! - myślała Libby, przechodząc przez lukę w żywopłocie. Po spotkaniu z mężczyzną była przygnębiona. Puściła koty, które dotychczas trzymała na rękach, i usiadła na schodku przed domem, patrząc z zasepioną miną w stronę urwiska i morza.

Stwierdziła, że poranne zdarzenie było totalną klapą. Nikt, kto by je obserwował, nie odgadłby, że przez pewien czas była oddziałową w londyńskim szpitalu: cały jej talent do komunikowania się z ludźmi jakby wyparował. Podczas rozmowy jąkała się i rumieniła jak nierozgarnięte dziecko. W dodatku nie zdołała się nawet dowiedzieć, kim właściwie jest jej rozmówca i jak długo ma zamiar tu zabawić.

Wiedziała tylko, że uważny błysk, który zauważyła w jego oczach, wprowadził jej serce w taki dygot, jakby miała za sobą nie zwykłą rozmowę, lecz maratoński bieg.

William zerwał się nagle i paroma susami wbiegł do domu. Spojrzał na nią z kuchni ze znaczącą miną, jakby chciał jej przypomnieć, że dość już czasu zmarnowała. Z cichym westchnieniem przyznała mu w duchu rację.

Zaniósłszy do gabinetu świeżą porcję ręczników i prześcieradeł, stanęła w drzwiach. Z ulgą stwierdziła, że burzliwe wydarzenia poranka nie zagłuszyły lekkiego dreszczu dumy, który zawsze czuła na widok tego schludnego pokoiku.

Za czasów jej babki była to mroczna, tajemnicza klitka, pełna kolorowych butelek i przedziwnych woni. Lecz gdy babka umarła, a Libby otrząsnęła się z żalu po stracie, usunęła pajęczyny, wyrzuciła mikstury, które uznała za nieskuteczne, i urządziła ten oto przewiewny, widny pokoik.

Magia babcinej spuścizny ocalała jednak wśród książek i ziół, a choć Libby posługiwała się ściśle naukowymi metodami, właśnie tej magii zawdzięczała radość, jaką sprawiała jej praca - tę szczególną radość, której nigdy nie zaznała, póki pracowała w służbie zdrowia.

- Jestem teraz bardzo szczęśliwa - oświadczyła Williamowi stanowczo, śmiało odpowiadając na jego chłodne spojrzenie. Gdy zamrugał z powątpiewaniem, dodała: - No, dosyć szczęśliwa...

Nagle w przedpokoju zjawiała się Genevieve Tregoning, wyrywając ją z zadumy.

- Libby, kochanie - powiedziała - naprawdę pukałam. Libby zrobiła zdziwioną minę, a potem uśmiechnęła się z zakłopotaniem i zaprosiła klientkę do gabinetu.

- Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Musiały to być niezbyt radosne myśli - rzekła chytrze Genevieve, wręczając jej dużą torbę słodkich, aromatycznych truskawek z własnego ogrodu. - Masz zatroskaną minę.

- Ależ skąd! - Uśmiechnęła się, dziękując za owoce, i odstawiła torbę na bok. - O co niby miałabym się troskać, skoro mieszkam w raju?

Poczekwała, aż kobieta położy się na wysokiej leżance, a potem podłożyła jej poduszkę pod głowę.

- Jak samopoczucie?

- Dużo lepsze - odrzekła Genevieve i podniosła rękę, dotykając starannie uczesanych, siwych włosów. - Ten bolesny ucisk już zupełnie ustąpił. W tym tygodniu czasem tylko pod wieczór trochę mnie pobolewa. Wczoraj poszłam do Geoffreya. Był zachwycony, ale uważa, że powinnam dalej chodzić do ciebie, może na jeden zabieg co dwa tygodnie. Jak myślisz?

- Dobry pomysł - przytaknęła Libby.

Poprzedniego dnia zadzwonił do niej Geoffrey Gates, stały lekarz Genevieve, i właśnie coś takiego zasugerował. Genevieve od lat niemal codziennie miewała napięciowe bóle głowy, których nie potrafił opanować. Nie chciała iść do psychiatry, lecz kiedy w końcu skierował ją do Libby, zdumiał się błyskawiczną poprawą. Libby czuła, że lekarz przypisuje ten sukces temu, iż Genevieve co tydzień spędza godzinę z pielęgniarką, której może opowiedzieć o swych kłopotach. Częściowo zresztą przyznawała mu rację, chociaż nigdy z nim o tym nie rozmawiała. Była jednak przekonana, że wielką rolę odegrały też napary i masaże.

Sama Genevieve wolała wierzyć, że pomogły jej wyłącznie one - no i specjalna czapeczka. Libby pozwalała jej trwać w tym przekonaniu, przynajmniej póki klientka chociaż częściowo nie odzyska pewności siebie i radości życia. Gawędziły półgłosem, a tymczasem pielęgniarka przygotowywała mieszankę rozmarynu z lawendą, rozpuszczoną w olejku z pestek moreli. Następnie przykryła ręcznikami włosy oraz ubranie klientki i przechyliła jej głowę do tyłu.

- Jak tam Ray? - spytała, nabierając olejku na palce. Genevieve westchnęła, przymykając oczy, kiedy Libby zaczęła masować jej skronie.

- W tym tygodniu jest trochę bardziej pogodny - odparła. - W przyszłym jedzie do sanatorium. Chyba go to cieszy.

Libby masowała teraz jej policzki.

- A ty? - spytała, wiedząc, że dwa tygodnie, które Ray co roku spędzał w sanatorium, są zwykle dla Genevieve trudnym okresem, bo co prawda nie musi się nim opiekować, ale ma sobie za złe uczucie ulgi, jaką jego nieobecność w niej wywołuje.

- Pomyślałam, że może się zapiszę na ten kurs, który mi radziłaś - odparła Genevieve. - Kurs malarstwa w St. Ives. Będzie w pierwszym tygodniu nieobecności Raya. A gdybym po jego powrocie chciała uczyć się dalej, Geoffrey może znaleźć kogoś do opieki nad nim.

- To dobrze - z uśmiechem stwierdziła Libby. Pierwszy raz w życiu słyszała, że Genevieve planuje coś, myśląc wyłącznie o sobie samej. - A Marie?

- Odwiedzę ją w drugim tygodniu. Nie byłam w Londynie od lat. Odmiana dobrze mi robi.

- Może Marie zechce z tobą tu przyjechać?

- Nie sędzę - odrzekła Genevieve filozoficznym tonem.

- Ona to strasznie przeżywa. Chce mieć ojca, pod którego okiem wyrosła, a nie kogoś, kto nie pamięta jej imienia.

- Libby przechyliła na bok głowę klientki. - Chciałaby, żebym oddała go do zakładu - ciągnęła Genevieve, po raz pierwszy poruszając temat, który, jak przypuszczała Libby, od dawna ją nurtował.

- Ma na uwadze twoje dobro.

- Ale ja przecież naprawdę chcę się nim opiekować - rzekła Genevieve, jakby sama dopiero teraz z całą jasnością to pojęła. - Nie robię tego tylko z poczucia obowiązku.

Gdy skończyły seans, Genevieve wróciła do tematu:

- Rozumiem, że przyczyną bólów jest stres - powiedziała, przystanąwszy w drzwiach. - Ostatnie lata nie były dla mnie łatwe, ale chociaż Ray bardzo się zmienił z powodu Alzheimera, w środku ciągle jest mężczyzną, którego kochałam, i to dość desperacko. Takiego uczucia nie można ot tak, po prostu wyłączyć i zapomnieć.

Libby stała przy furtce, patrząc w ślad za odjeżdżającym samochodem, póki nie skrył się za zakrętem. Siła uczuć, jakie przełomie ujrzała w łagodnych, zatroskanych oczach klientki, wytrąciła ją z równowagi. Genevieve powiedziała, że kochała Raya „desperacko”. Właśnie tak:

desperacko. Jakie to sugestywne słowo. Jest w nim pośpiech, namiętność i porywające pragnienie. Intensywność tego uczucia każe jej teraz poświęcać się dla mężczyzny, który nawet w dniach najlepszego samopoczucia już jej nie poznaje.

Z roztargnieniem zmieniła prześcieradła, pozbierała używane ręczniki i zaniósła je do kuchni. Wrzuciła cały kłęb do pralki, zamknęła drzwiczki, a potem przystanęła na chwilę, patrząc w okno, za którym widać było dach domu Alistaira.

- Kochałam go desperacko - wymówiła ciekawa, jak jej ustach zabrzmiały słowa Genevieve. - Desperacko.

Pralka ruszyła, lecz Libby nie miała ochoty czekać, aż pranie się skończy. Na drzwiach zostawiła kartkę z wiadomością dla ewentualnych klientek, że właśnie pływa i mogą ją zawołać z urwiska. Następnie zbiegła na plażę.

William i Duncan nie lubili morskiej wody, usiedli więc na ręczniku, patrząc w zasepieniu, jak ich pani skacze do morza i płynie, bez trudu pokonując nadciągający przypływ. Jakieś sto metrów od brzegu zatrzymała się i przewróciła na wznak. Jej włosy unosiły się wokół niej na wodzie, otaczając ją niby woal, gdy przebierała nogami w miejscu, patrząc u stronę domu. Z tej odległości wydawał się tak mały, jakby dzieci zbudowały go dla zabawy.

Mimo woli spojrzała na sąsiedni dom i zobaczyła na skraju urwiska jakąś postać, odcinającą się ciemną sylwetką na tle nieba. Uświadomiła sobie z zapartym tchem, że to przyjaciel Alistaira jej się przygląda. Na parę sekund znieruchomiała, czując się, jakby ona i mężczyzna patrzyli sobie w oczy i nigdy nie mieli przestać, chociaż z tej odległości nie widziała nawet jego twarzy.

A potem poruszył się i czar prysł. Zawrócił do domu i już po kilku sekundach straciła go z oczu.

Gwałtownie rzuciła się naprzód. Cała radość, jaką sprawiało jej pływanie, gdzieś się ulotniła. Libby szybko popłynęła w stronę miejsca, w którym czekały na nią koty. Przystanęła tylko na chwilę, by wytrzeć twarz, i ruszyła ścieżką pod górę. Duncan był już w połowie wysokości urwiska, a William szedł z tyłu. Kiedy wdrapała się na szczyt, o kilka metrów przed nią ukazał się ów przyjaciel Alistaira. Ku jej zdumieniu szybkim krokiem oddalał się od jej domu, jakby z jakiegoś powodu złożył w nim wizytę, a teraz pospiesznie wracał do siebie. Zamarła, a wtedy zobaczył ją i też znieruchomiał, z obojętną, bynajmniej nie zdziwioną miną.

- Odniosłem pani szczotkę - powiedział. - Zostawiła ją pani w kuchni Alistaira.

- Dziękuję - odparła, ocierając czoło ręcznikiem. Pomyślała, że celowo wybrał akurat ten moment, kiedy poszła pływać. Była to bolesna myśl, lecz mimo to Libby złapała się na tym, że próbuje go zatrzymać. - Pływałam - dodała.

- Widzę - odrzekł. Błyskawicznie omiół wzrokiem jej kostium kąpielowy, ale prawie natychmiast znów spojrzał jej w twarz. - Woda musiała być lodowata. Ma pani gęsią skórę, chociaż słońce przygrzewa.

- O tej porze roku bywa nawet zimniejsza. - Przeszła z nogi na nogę i rozwinęła ręcznik, by się zasłonić, bo czuła się skrępowana, chociaż jej kostium kąpielowy miał skromny krój. - Bardzo mnie takie pływanie orzeźwia. Pan też powinien spróbować - zaproponowała niezręcznie.

- Może któregoś dnia...

Lekko uniosły mu się kąćki ust, a ona zrozumiała, że jej słowa znów go rozbawiły.

- Gdyby pan potrzebował do tego towarzystwa, proszę po prostu zawołać. - Pochwaliła się w myślach za odwagę.

- Alistair i ja często pływamy razem. Uwielbiam pływanie i chętnie panu pokażę plażę.

Uniósł lekko brwi, lecz w odpowiedzi rzekł tylko:

- Ma pani bardzo długie włosy.

- Całkiem łatwo je pielęgnować. - Z zakłopotaniem podniosła rękę, żeby odgarnąć z twarzy kilka zblakanych kosmyków. - Szybko wysychają.

- Widać, że lubi pani pływanie.

- Ojciec podobno mówił o mnie-„moja mała syrenka”.

- Zatrzepotała rzęsami, spuszczaając powieki. - Nauczył mnie pływać, kiedy jeszcze ledwo chodziłam.

- Podobno?

- Moi rodzice umarli, kiedy byłam mała - wyjaśniła. - Prawie ich nie pamiętam - dodała prędko, żeby zapobiec serii banałów, jakimi zwykle odpowiadano na to wyznanie.

Ale przyjaciel Alistaira bez słowa zbliżył się o krok, wyciągnął palec i podniósł jej podbródek. Znaczyło to, że Libby musi znowu stawić czoło badawczemu spojrzeniu jego niebieskoszarych oczu, jeśli nie chce się wydać nieśmiała.

- A pani babka? - spytał.

Przypomniała sobie, że przed paroma godzinami rzeczywiście powiedziała mu o babce, a fakt, iż zapamiętał to, sprawił jej nieoczekiwaną przyjemność.

- Umarła prawie dwa lata temu - odrzekła.

- Rodzeństwo?

- Jestem jedynaczką - powiedziała, cofając głowę.

- Więc została pani zupełnie sama.

- Jestem już dorosła - odparła, zadzierając głowę, by na niego spojrzeć. Nie można powiedzieć, żeby była niska, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Alistair zawsze wydawał jej się wysoki, lecz jego przyjaciel był jeszcze wyższy. -I wcale nie czuję się porzucona.

- No i ma pani przecież Alistaira.

Ściągnęła brwi, ale nie dał jej czasu na sprzeciw, bo z nieodgadnioną miną cofnął się o krok.

- Ale on jest daleko, prawda? - spytał beznamiętnym tonem. - Czyli nie ma kto pani bronić.

- Nie potrzebuję obrony - odparowała, nie bardzo rozumiejąc, czemu mężczyzna, słysząc jej odpowiedź, przelotnie się uśmiecha. - Doskonale potrafię sama o siebie zadbać.

- Czyżby - mruknął, robiąc półobrót, żeby odejść. - Zanim się pani obroni, musi pani najpierw zrozumieć, przed czym ma to być obrona. Niech pani lepiej uważa, Libby.

Gdy odszedł, stała przez chwilę w zupełnym bezruchu i ze zdumieniem wpatrywała się w plecy mężczyzny, nim zniknął za żywopłotem.

W domu Nathan przede wszystkim podszedł do lodówki, wyjął puszkę piwa i pociągnął długi haust. Otarł usta, a potem rzucił się na jeden z bujanych foteli w saloniku, położył nogi na blacie stolika, przechylił się do tyłu i zamknął oczy.

Włosy Libby sływały jej na ramiona jak pasma mokrego jedwabiu, a on miał ochotę owinać nimi ją i siebie, owinać i związać. Był to niepokojący impuls. Nie przywykł do takich... prymitywnych emocji. A już na pewno nie do ciągłych nawrotów tego rodzaju uczuć. Zwłaszcza jeśli kobieta, która je w nim budziła, nie dla niego była przeznaczona.

Owszem, zdołał od niej odejść, nie robiąc z siebie durnia i nie wystawiając na szwank stosunków z Alistairem, ale nie było to łatwe. Dopił piwo, po czym z miną wyrażającą po trosze rozpacz, a po trosze wstręt do samego siebie, zgniótł puszkę i sięgnął po telefon. Dopiero drugi dzień wakacji, a on

już zaczyna wariować. Gdyby się okazało, że potrzebny jest w szpitalu, bardzo chętnie wsiadłby do auta i przyjechał.

- Richard? Tu Nathan. Jak tam nasi pacjenci?

- Doskonale - odparł Richard, jakby lekko ubawiony. - Zapomniałeś, że jesteś na urlopie?

Nathan zignorował to pytanie.

- Z nogami wszystko w porządku?

- Żadnych problemów. Ten z intensywnej nie ma jeszcze pulsu w lewej, ale to było do przewidzenia. Stopa jest ciepła i zdrowa, a ultradźwięki wykazują, że z pulsem wszystko w porządku.

- Żadnych nowych nagłych wypadków?

- Uspokój się - ze śmiechem odparł Richard. - Zachowujesz się, jakbyś nie mógł wytrzymać bez pracy.

- A nie ma nic do roboty?

- Nic a nic. Wyluzuj się. Odpocznij. Damy sobie radę. No dobrze, ale jak on sobie poradzi? Odłożył słuchawkę

i raz jeszcze wystukał numer szpitala. Nie zważając na złe przeczucia, poprosił, by połączono go z Paulą.

Ona przynajmniej ucieszyła się, słysząc jego głos.

- Kochanie! - rzekła radośnie. - Jestem zajęta, ale na szczęście złapałeś mnie akurat między operacjami. Właściwie mam do ciebie pewną dosyć... delikatną sprawę. Jak ci się podoba Kornwalia?

- Bardzo. Paula...?

- Chodzi o mój okres. Pewnie nie ma powodu do obaw, ale odrobinę się spóźnia. - Urwała, a ponieważ nie odpowiadaj podjęła pospiesznie: - Nie mówiłam ci tego, ale kiedy ostatnio... się widzieliśmy, zapomniałam o krążku. Myślałam, że akurat tym razem to bez znaczenia.

Natan zamknął oczy.

- Jak duże masz opóźnienie?

- Tydzień.

- Zrobiłaś test?

- Pomyślałam, że jeszcze trochę poczekam. Nigdy nie miałam zbyt regularnego cyklu, a poza tym taka wczesna ciąża niekoniecznie musi się utrzymać.

Nathan zmarszczył brwi. Wolałby wiedzieć od razu, jaka jest sytuacja, lecz nie miał prawa stawiać Pauli żądań.

- Jutro przyjadę - oświadczył.

- Nathan! - zawołała ze zdumieniem. - Jaki ty jesteś miły. Ale to nie ma sensu. Jutro cały dzień mam zawalony, przez najbliższe dwa tygodnie dyżur za dyżurem, a w dodatku moja siostra przywozi te swoje okropne bachory na jakieś koszmarnie widowisko i będę musiała ich wszystkich obwozić po mieście. Chyba nawet nie miałabym czasu się z tobą zobaczyć. Lepiej zostań tam, gdzie jesteś. W Londynie jest w tej chwili straszna duchota, więc z rozkoszą wyrwałabym się stąd na kilka dni. Może byś mnie zaprosił na weekend?

- Nie możesz jechać sama autem aż do Komwalii, skoro nie wiadomo, czy nie jesteś w ciąży. I nie powinnaś tak się zapracowywać. Nie możesz wziąć paru wolnych dni?

- Nie chcę, głuptasie - odparła ze śmiechem. - Jestem w świetnej formie, a do tej pory nie miałam jeszcze okazji wybrać się w dłuższą drogę nowym samochodem, więc nie psuj mi zabawy. A zresztą, nigdzie przecież nie jest powiedziane, że którekolwiek z nas rzeczywiście chce mieć dziecko, prawda?

Nathan ścisnął w garści słuchawkę, aż go zaboląły palce.

- To ty mi powiedz - rzekł ostrożnie - może po prostu nigdy dotąd o tym nie rozmawialiśmy.

Chyba wyczuła jego powagę i nie chciała stawiać jej czoła, bo ku jego zakłopotaniu pośpiesznie odparła:

- Przyjadę do ciebie na przyszły weekend. Nie sprzeciwiaj się, bo i tak cię nie posłucham. Prześlij mi faksem opis trasy. A teraz już mnie wzywają do pacjenta. Muszę pędzić. Pa, kochany. Pa.

Powoli odłożył słuchawkę na widełki i przez parę minut w nią się wpatrywał. A potem zaklął szeptem. Po jeszcze kilku piwach i paru tęgich haustach najlepszej whisky Alistaira wiadomość, którą usłyszał od Pauli, wydała mu się właściwie wcale nie taka zła. A jej oświadczenia, że nie chce dziecka, nie należy traktować całkiem serio: przecież powiedziała to, zanim zdążył jej oznajmić, że gdyby miała je urodzić, pragnąłby przypieczętować ich związek małżeństwem.

Przełożył nogę nad boczną poręczą fotela. Owszem, lubił spędzać czas z dziećmi swojego rodzeństwa i zawsze zakładał, że sam też kiedyś będzie miał dzieci. Paula podobała się mu. Jego ciało nie reagowało może na nią równie gwałtownie i kompromitująco, jak zaczęło niedawno reagować na młodą sąsiadkę Alistaira, ale - prawdę rzekłszy - żadna kobieta nie budziła w nim dotychczas takich reakcji. Ogólnie rzecz biorąc, on i Paula pod

względem seksualnym byli dobrani. Szanował też jej przejęcie pracą. Była najlepszą anestezjolożką, z jaką zdarzyło mu się pracować.

Dopił whisky i nalał sobie jeszcze. Tak, nie ma powodu sądzić, że Paula odrzuci propozycję stałego związku. Pociągnął dwa długie hausty i głośno odstawił pustą szklankę na stół. A więc postanowione. Będzie z nich dobra para.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwa dni później Monica Muiholland, druga tego ranka klientka Libby, wbiegła do jej domu, spóźniona o parę minut.

- Widziałam przed chwilą niesamowitego mężczyznę - rzekła bez tchu, zdejmując płaszcz i oddając go Libby wraz z ogromną torbą mięsa dla kotów. - Jechał za mną czarnym saabem z odkrytym dachem. Wysoki, ciemne włosy, strasznie przystojny.

Libby wiedziała o istnieniu tylko jednego mężczyzny, którego zasłużenie można było nazwać „niesamowitym”.

- To pewnie przyjaciel Alistaira - odparła z lekką chrypką. W przeddzień w ogóle go nie widziała, a gdy rano zobaczyła, że przed domem nie ma jego auta, zaczęła się zastanawiać, czy aby nie wyjechał. - Mieszka u niego.

Monica gwizdnęła.

- Może do niego zajrzę - oświadczyła zza parawanu, przebierając się do zabiegu. - Pożyczę cukier.

Libby uśmiechnęła się z przymusem.

- Twój mąż mógłby mieć coś przeciwko temu.

- Ach, mąż! - Monica lekceważąco machnęła ręką, ale przy tym oczy figlarnie jej zabłyśły. - Prawdziwy problem to czwórka dzieci i zmarszczki - dodała, kładąc się na leżance. - Ale powiem ci, że gdybym była o dziesięć lat młodsza - zaśmiała się - no, może o dwadzieścia... Tacy mężczyźni - dodała po chwili - i tak zresztą nigdy nie byli w moim typie. Ale ty, Libby, mogłabyś mieć każdego mężczyznę...

- Nie, nie mogłabym - przerwała jej Libby. - A choćbym i mogła, nie chcę. Lubię spokój. - Szybko roztarta w dłoniach olejek, by go rozgrzać, a potem uspokajającym gestem oparła je na ramionach klientki. - Dodałam dzisiaj rumianku do olejku geraniowego - wyjaśniła cicho, czując, jak z mięśni ramion Moniki zaczyna ustępować napięcie. - A mięta dobrze ci robi?

- Nie mam już tych napadów gorąca - z błogim rozleniwieniem odparła klientka. - I to, co mi dałaś do kąpieli, też działa cuda. Czuję się potem jak nowo narodzona. Nawet wraca mi zainteresowanie... no, wiesz czym. Rex jest w siódmym niebie.

- Cieszę się - rzekła Libby.

Mieszankę ziół, którą stosowała Monica, obmyślono w taki sposób, żeby jej ciało zwiększyło wydzielanie naturalnego estrogenu. Klientka źle znosiła

konwencjonalną terapię hormonalną, zgłosiła się więc do Libby, bo chciała się czegoś dowiedzieć o ziołowych środkach zastępczych.

Kiedy po masażu Monica odpoczęła i się ubrała, wróciła do tematu, którego Libby miała nadzieję uniknąć.

- Czy ten mężczyzna ma tu jakieś towarzystwo? - spytała lekkim tonem. - Ma kogoś? Dziewczynę, a może żonę...?

- Nie mam pojęcia - odrzekła Libby zdawkowo. Było jej jednak na rękę, że pod pretekstem ustawiania flaszeczek z olejkami może uniknąć spojrzenia Moniki, bo zaniepokoiło ją to pytanie. Owszem, przyjaciel Alistaira przyjechał sam, ale z tego jeszcze nie wynika, że żyje samotnie. Fakt, że nie nosi obrączki, też nic nie znaczy. - Wszystko jest możliwe.

Odprowadziła Monikę do auta, lecz klientka zamiast natychmiast odjechać, spuściła szybę i powiedziała:

- Wiesz, ten eliksir miłosny, który dałaś Melissie, naprawdę podziałał. W zeszłym tygodniu doszło do oświadczeń.

- To nie był żaden eliksir - skarciła ją Libby. - Po prostu olejek aromatyczny. Prezent, nic więcej.

- Już ja swoje wiem, Libby! Twoja babka dała mi taki sam prezent, kiedy miałam zalotnika. I w moim przypadku też się sprawdził. - Przekreśliła kluczyk, lecz wciąż nie odjeżdżała. - Na twoim miejscu zdrowo bym się nim skropiła. Samotność nie służy takiej dziewczynie jak ty. - Znacząco spojrzała w stronę sąsiedniego domu. - Daj mu solidną porcję tego swojego „aromatu”. Do zobaczenia! - zawołała, naciskając na gaz.

Prawie zaraz potem przyjechała następna klientka w asyście męża. Libby pomogła jej wysiąść.

- Od poniedziałku jest widoczna poprawa - oświadczyła pani Spalding. - Dużo więcej się ruszam.

- To dobrze.

Libby pomogła jej wejść do domu, umyła ręce, ustawiła wózek z przyborami i włożyła rękawiczki, po czym zdjęła opatrunek z nogi pani Spalding. Już od kilku tygodni próbowała wyleczyć jej wrzód, który pojawił się w miejscu jakiegoś banalnego stłuczenia sprzed roku i przez cały ten czas uparcie nie poddawał się żadnej kuracji.

- O, znakomicie! - Libby ucieszyła się na widok świeżej, różowej tkanki powstałej w wyniku ziarninowania. - Jest wyraźna poprawa. - Zanurzyła wacik w roztworze dezynfekującym i delikatnie przemyła miejsce, które jeszcze lekko ropiało. - Byłaś wczoraj u doktora Gatesa?

- Tak, i bardzo był zadowolony - z dumą odparła klientka. - Przedtem twierdził, że przy moim fatalnym krążeniu raczej nie mam szans się wyleczyć. A teraz mówi, że jesteś cudotwórczynią.

Libby uśmiechnęła się.

- Pochlebca z niego - odrzekła lekkim tonem. - Herbatka wciąż ci smakuje?

- Jest cudowna. To właśnie ona mnie leczy.

Libby chrząknęła z powątpiewaniem, ale starsza kobieta obstawała przy swoim.

- Przecież od miesiący robiono mi okłady. Ty tylko dodałaś żywokost, ale poza tym robisz mniej więcej to samo co pielęgniarka. Jedyna nowość to właśnie ten napar. - Spojrzała na Libby znad okularów. - Powinnaś go opatentować. Zrobiłabyś majątek.

- To głównie liście nagietka - z uśmiechem odparła Libby, bandażując nogę. - Ale cieszę się, że ci pomaga.

- Masz ten sam dar, co twoja babka, moje dziecko - rzekła pani Spalding, opierając się na ramieniu Libby, kiedy wyszły na dwór i mszyły w stronę samochodu, w którym czekał jej mąż, zbyt nieśmiały, by wejść do domu. - Wszyscy to widzą.

- To nie dar - zaprotestowała Libby. - To po prostu umiejętność. Coś, czego mnie nauczono. No, to do wtorku.

Był to kolejny z serii łagodnych, pogodnych dni; po południu Libby wzięła przybory malarskie i poszła w stronę urwiska. Musiała przejść obok domu Alistaira, ale szybkie spojrzenie na zamknięte drzwi i okna upewniło ją, że nawet jeśli Nathan jest w środku, nie ma ochoty przyjmować wizyt.

- Całe szczęście - powiedziała do Williama, lecz kot zrobił taką minę, jakby nie był przekonany, a Libby w duchu musiała mu przyznać rację.

Przeszła jakieś półtora kilometra skrajem urwiska i weszła na skaliste wzgórze w miejscu, gdzie ścieżka pobiegła w dół ku kolejnej zatoce. Przybory malarskie sporo ważyły, była więc nieco zadyszana, kiedy ustawiała sztalugi na wzniesieniu, z którego rozpościerał się widok na jedną z zatok. Była sama, bo William i Durcan już dawno ją zostawili i poszli polować na owady w ogrodzie Alistaira. Najpierw odpoczęła parę minut, napawając się urodą krajobrazu - widokiem wody, rozkrzyczanych mew, małej kamienistej plaży i długich, kołysanych wiatrem traw na szczycie urwiska. Kiedy poczuła, że może już zacząć, płynnymi ruchami naszkicowała lekki zarys pejzażu. Gdy już ustaliła proporcje, skupiła się na

tym, by uchwycić specyfikę światła, które odbijało się od wody i przesycalo delikatną mgiełkę na horyzoncie.

Spędziła w ten sposób może nawet kilka godzin, bo przy malowaniu zawsze traciła poczucie czasu. W każdym razie obrazek był już prawie skończony, kiedy wyczuła za plecami jakiś ruch, który wytrącił ją ze stanu koncentracji.

- Dobra pani jest - rzekł cicho przyjaciel Alistaira.

- Przesadza pan - wyjąkała.

Przez tych parę godzin, które spędziła nad morzem, wiatr potargał jej włosy, a teraz smagnął ją nimi po twarzy. Kiedy je odgarnęła, stwierdziła, że kilka długich kosmyków wplątało się w kremową wełnę swetra, który miał na sobie przybysz. Wyciągnęła rękę, by je wyszarpnąć, lecz on chwycił ją za nadgarstek. Westchnęła, bo choć zrobił to delikatnie, zapiekła ją skóra. Spojrzała mu prosto w twarz, lecz nie napotkała jego wzroku. W niebieskoszarych oczach miał wyraz skupienia, gdy wyplątywał jej włosy z puszystej wełny. A potem wolnym ruchem, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie, starannie wsunął kosmyki za jej ucho, w przelocie muskając palcami policzek.

- Przestraszyłem panią - szepnął.

- Raczej mnie pan zaskoczył - odparła drżącym głosem, doskonale wiedząc, że nie boi się mężczyzny, lecz siebie. - Nie słyszałam, kiedy pan nadszedł.

Rozluźni! palce i odprowadzi! wzrokiem jej rękę, która opadła bezwładnie i trąciła ją w udo.

- Nie chciałem pani przeszkadzać, ale ciekawość wzięła górę nad dobrymi intencjami - oświadczył beznamiętnie, po czym przykucnął przed obrazkiem.

- Bardzo mi się podoba

- rzekł cicho i spojrzał na nią z nieodgadnioną miną. - Sprzedaje pani swoje obrazy? - spytał.

- Zdarza się - odparła przez ściśnięte gardło. - Te, które nie wydają mi się zupełnie koszmarne.

- Sprzeda mi pani ten. - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, ale nie protestowała, tylko po prostu skinęła głową.

- Dokończy go pani teraz?

Już niewiele zostało do zrobienia.

Wiatr porwał jeden z pędzli i poturlał go po gładkim wieczku kasetki z przyborami. Libby chwyciła umykający pędzel, zadowolona, że ma czym zająć ręce.

- Proszę mi dać jeszcze parę godzin. A potem mógłby pan... - Zawahała się i zaraz szybko dokończyła zdanie, wiedząc, że jeśli się nie pospieszy, cała jej odwaga zdąży się ulotnić: - Mógłby pan przyjść do mnie później na kolację.

Wstał, patrząc w dół na spienione fale w milczeniu, z poważną, roztargnioną miną, jakby nie dosłyszał zaproszenia. Libby czekała, ale nie śmiała powtórzyć propozycji. W końcu spojrzał na nią, przybrawszy ten uprzejmy, pełen żalu wyraz twarzy, za którym ludzie zwykle się chowają, kiedy chcą uniknąć czegoś nie milego. Zrozumiała, że słyszał każde jej słowo i tylko szukał pretekstu, aby się wykręcić.

- Nie, Libby, to chyba nie jest dobry pomysł. - Spojrzał w stronę domu, wyraźnie zniecierpliwiony, jakby chciał czym prędzej odejść. - Jutro wcześniej wstaję - dodał. - Jadę do Truro po zakupy. Proszę po projtu zostawić obrazek na werandzie.

Marzyła tylko o tym, żeby roztopić się i bezszelestnie wsiąknąć w ziemię, ale wzięła się w garść,

- Dobrze - powiedziała. - Doskonale. Jak pan woli. Wbił ręce w kieszenie dżinsów.

- Oczywiście proszę dołączyć rachunek.

- Nie zapomnę.

Odwrócił się, jakby zamierzał odejść, lecz po kilku krokach rozmyślił się i przystanął.

- Ma pani jakieś wiadomości od Alistaira? - spytał.

- Jeszcze za wcześnie - odparła ostrym tonem, bo chciała już, by wreszcie sobie poszedł. - Na taką odległość listy idą tygodniami.

- Nie zadzwonił?

- Alistair? Nie. - Odwróciła się tyłem do niego, szybko mrugając oczami. Nie rozumiała, jakim cudem zdołał doprowadzić do tego, że się tak zupełnie rozsypała, ale najwidoczniej mu się to udało. - Rzadko dzwoni.

- Libby? - Usłyszała szelest jego kroków na porośniętej trawą ścieżce. - Martwi się pani, że Ali się nie odzywa?

Czuła, że stanął tuż za nią, więc szybko otarła łzy, żeby ich nie zauważył, ale nie odwróciła się twarzą ku niemu.

- Nie, jestem spokojna - odrzekła nieco oszołomiona, mając dotkliwe poczucie własnej śmieszności. - Naprawdę.

Wymamrotał coś tak cicho, że go nie dosłyszała.

- Jest pewnie zajęty - dodał. - Na pewno o pani myśli.

Zesztywniała, gdy zdała sobie sprawę, że mężczyzna mówi o Alistairze, przekonany, iż ona za nim tęskni. Potem zaś dotknął jej ramion i pogłaskał je, jakby chciał ją pocieszyć, a w niej zawirowały zmysły i wszelka myśl o tym, żeby wyprowadzić go z błędu, uleciała jej z głowy.

- Niech się pani nie martwi - szeptał, a ona wcale się nie zastanawiała, czemu to, że on jest tak blisko, wydaje się tak całkiem słuszne i naturalne.

Skupiła się na odczuwaniu delikatnego, rytmicznego ruchu, jakim jego dłonie gładziły jej ramiona. Pomimo chłodnego wiatru, bijący od mężczyzny żar przenikał przez jej sweter i smagał skórę iskierkami gorąca.

- Alistair lubi zachowywać się nonszalancko - usłyszała jego głos, zniekształcony głuchym dudnieniem pulsu w jej uszach - ale ręczę, że w głębi duszy jest bezwzględnie lojalny. Może mu pani ufać.

Libby zamknęła oczy i zatoczyła się do tyłu, w stronę mężczyzny; wiedziała, że chciał ją tylko pocieszyć, ale to nie powstrzymało mimowolnej reakcji jej ciała. Niewyraźnie, jakby z oddali usłyszała jego słowa:

- On panią kocha. - I chociaż wiedziała, że to nieprawda, a przynajmniej nie w takim sensie, w jakim on to sobie wyobraża, nie zaprotestowała, godząc się, żeby mówił, co tylko zechce, byle tylko dalej trzymał ją w ramionach. - Jest jednym z tych, którzy zakochują się raz na całe życie - ciągnął, głaszcząc ją po rękach, od ramion po palce, wolno, raz po raz, cudownie. - Niech mi pani wierzy, Libby. Rodzina i życie rodzinne to dla niego coś bardzo ważnego.

Nagle umilkł i znieruchomiał. Stali razem, ze splecionymi dłońmi; Libby zwrócona była do niego tyłem i opierała się głową o jego pierś. Leciuteńko, ledwie zauważalnie pokręciła głową, ale poczuła, że jego palce zaciskają się na jej dłoni, jakby źle ją zrozumiał.

- Proszę mi wierzyć - powiedział, jakby sądził, że tym niemym gestem zadała kłam jego słowom. - Dobrze go znam. - Znów oparł dłonie na jej ramionach i stanowczym ruchem odsunął ją od siebie, zmuszając tym samym, by stanęła o własnych siłach, chociaż w rękach i nogach czuła zupełny bezwład. - On naprawdę panią kocha - rzekł z naciskiem. - Proszę w to ani przez chwilę nie wątpić.

Wolniuteńko, jakby działo się to we śnie, a ona musiała się przedrzeć przez warstwy sennej mgły, zdołała odwrócić się twarzą ku niemu,

niechcący strącając przy tym jego ręce, tak że zrobiło jej się chłodno i samotnie.

- Nie, myli się pan - oświadczyła wreszcie. - Źle pan zrozumiał. Nie kocham Alistaira. A on z całą pewnością nie kocha mnie.

Mężczyzna już przedtem miał nieodgadniony wyraz twarzy, teraz jednak skrył się za gładką maską obojętności.

- Libby, bez względu na to, co pani do niego czuje, zapewniam, że Alistair panią kocha.

Odszedł, zanim zdążyła się odezwać, spytać go o cokolwiek czy wytłumaczyć, co naprawdę ją łączy i Alistairem. W ciągu zaledwie paru sekund na tyle się oddalił, że nie usłyszałyby jej, nawet gdyby go głośno zawołała.

Po spotkaniu z Libby Nathan początkowo wracał tą samą drogą, którą przyszedł, zanim skręcił na schodki wiodące z urwiska na plażę. Schodząc po stromiźnie, niecierpliwie zdejmował ubranie. Zostawił je na najniższym schodku i wszedł do wody. Kiedy sięgnęła mu do kolan, zanurkował nieomal bezszelestnie, z zimna zgrzytając zębami.

Tnąc wodę potężnymi wymachami rąk i nóg, myślał o tym, jak łatwo by było... Łatwo, tak jak już nieraz bywało. Dziewczyna była tak bezgranicznie... łatwowierna. Raptownie się zatrzymał i zaczął w miejscu przebierać nogami, bo właśnie sobie uświadomił, jakie ta łatwowierność może mieć skutki. Zrozumiał, że Libby narażona jest na najrozmaitsze zagrożenia. Nie ma rodziny ani sąsiadów. Pod nieobecność Alistaira jest zupełnie sama. Nawet policja w razie czego potrzebowałaby co najmniej pół godziny, żeby dotrzeć nad zatokę. A gdyby tak zamiast niego, Nathana, pojawił się jeden z tych mężczyzn, którym sprawia przyjemność zadawanie innym bólu?

Próbował zbyć śmiechem swoje lęki. Tłumaczył sobie, że są absurdalne, mimo to jednak krew krzepła mu w żyłach. Ogarnęła go nagła chęć, żeby wziąć Libby pod opiekę - niewygodna, lecz przemożna. Uświadomił sobie, że najchętniej otoczyłby ją kordonem. Zaniepokoił go idiotyzm takich pragnień. Miał ochotę zamienić jej dom w fortecę. Wynająć ochroniarzy. Zainstalować systemy alarmowe. Sprowadzić psy. A choć rozsądek mu podpowiadał, że to śmieszne obawy, że dziewczynie nic przecież nie grozi, pobudzona, zaalarmowana część jego mózgu z trudem przyjmowała tę prawdę do wiadomości.

Energicznie popłynął w stronę brzegu. Zanim wyszedł na plażę, spojrzął w górę, by się upewnić, czy przypadkiem Libby nie wraca ścieżką biegnącą wzdłuż urwiska. Z grubsza wytarł się koszulą, a potem włożył dżinsy i adidas, zanim wciągnął przez głowę sweter. Wilgotną koszulę i bieliznę zwinął w kłębek i wziął do ręki. Ruszając pod górę przysiągł sobie, że potowarzyszy trochę Libby. W roli... dobrego wujka. Spróbuje ją przekonać, że powinna posłuchać jego rad w sprawie bezpieczeństwa i być nieco bardziej ostrożna.

Stwierdził, że nie musi już zamykać się przed nią pod pretekstem absorbującej pracy. Jest przecież na dobrą sprawę zaręczony. Owszem, dopiero co jej dotykał, ale chciał ją w ten sposób tylko pocieszyć, no i zdobył się na to, by odejść, choć nagła miękkość jej ciała była dla niego sygnałem, że nie stawiałaby oporu, gdyby nie zaniechał pieszczot.

Poprzedniego dnia Paula poinformowała go, że wynik próby ciążowej jest negatywny. Czyli małe szanse, że jest w ciąży. Wiedział jednak, że upewni się dopiero wtedy, kiedy Paula będzie miała okres. Powiedział jej, że jeśli okaże się, iż dziecko jest w drodze, powinni się pobrać. Przyznała mu rację, toteż według wszelkich rozsądnych kryteriów nadal ma wobec niej zobowiązania. Libby nic z jego strony nie grozi.

Kiedy dotarł na szczyt urwiska, właśnie wyłaniała się zza żywopłotu rozdzielającego oba domy. Zmrużył oczy na widok jej zarumienionych policzków; przypuszczał, że zaczerwieniła się wcale nie z wysiłku, lecz z zakłopotania.

- Jest pan mokry - powiedziała drżącym głosem, a on zauważył, że zwolniła kroku. - Pewnie pan pływał.

- Wróciła pani wcześniej, niż się spodziewałem - odparł i zacisnął pięści, tłumiąc pragnienie, by ująć jej podbródek i zwrócić ku sobie tę prześliczną twarz. - Skończyła pani obraz?

Patrzyła w ziemię, na morze - wszędzie, byle nie patrzeć na niego.

- Jest prawie gotowy - odrzekła. - Jeszcze tylko parę drobnych pociągnięć. Dokończę go dzisiaj wieczorem, a rano podrzucę panu, tak jak się umówiliśmy.

Znów się zaczerwieniła. Uznał, że tym razem przypomniała sobie odrzucone przez niego zaproszenie na kolację.

- Libby, ja nie chciałem... - Urwał, nie wiedząc, jakimi słowami może rozproszyć jej zakłopotanie, nie ryzykując, że stworzy zarazem sytuację,

której za wszelką cenę postanowił uniknąć. - Kiedy powiedziałem, że nie przyjdę na kolację, nie znaczyło to, że nie chcę z panią spędzać czasu.

Spojrzała na niego, bezbronna jak kocię.

- Nic się nie stało - rzekła z godnością, która sprawiła, że targnęło nim poczucie winy. - Może i nie jestem szczególnie obyta, ale nie brak mi pewnej wrażliwości - dodała, prostując się. - Właściwie nie liczyłam, że zechce pan przyjść do mnie na kolację. To by pana znudziło, ..

- Wcale nie - wyrwało mu się, zanim zdążył pomyśleć, że może to jej fałszywe przeświadczenie w najlepszy z możliwych sposobów rozwiązuje wszystkie problemy. - Nie. Nie nudziłbym się z panią. - Upuścił mokre ubranie na ziemię, by móc położyć ręce na jej ramionach. - Ani trochę. Nie wydaje mi się pani nudna, Libby. Wręcz przeciwnie: urocza.

Poczuł do siebie jeszcze większe niż dotąd obrzydzenie, kiedy ufnie złożyła głowę na jego piersi i oparła się o niego całym ciałem, a on mimo woli wziął ją w objęcia.

- Przepraszam - wykrztusiła, dotykając ustami jego swetra, który tłumiał jej głos. - Ledwie pana znam. Powinno mi być wszystko jedno, co pan o mnie myśli, ale sama nie wiem czemu... jakoś nie jest mi wszystko jedno.

Przymknął oczy, chłonąc jej woń, a zarazem uważając, by ich ciała od pasa w dół nie zetknęły się. Było mu głupio, że ten uścisk, który w jego zamyśle miał być po prostu kojący, tak go strasznie podnieca. Po kilku minutach podniosła głowę i spojrzała na niego zamglonymi, zielonymi oczami.

- Zwykle nie zachowuję się tak... żałośnie - szepnęła. - Proszę nie myśleć, że zawsze robię z siebie taką idiotkę.

- Jest pani bardzo młoda - powiedział.

Zagryzła wargi - niby drobiazg, a jego serce drgnęło.

- Za młoda dla ciebie? - spytała z napięciem, kusząco ochryplym głosem, który musnął jego skórę jak struga miodu.

Wątpił, czy zdaje sobie sprawę, co właściwie powiedziała.

- O wiele za młoda - odparł tonem bez wyrazu. Urocza naiwność jej pytania przywróciła mu dobry humor.

Libby głęboko odetchnęła, a on poczuł, jak jej piersi wznoszą się i dotykają jego żeber. Natychmiast ją odepchnął, niemile świadom, że mimo wszystkich swych szlachetnych deklaracji może za chwilę wsunąć dziewczynie ręce pod ubranie, jeśli nadal będą stali tak blisko.

- Jeszcze raz przepraszam - powtórzyła jakby nieobecny tonem, przyglądając jasny sweter, który lekko podjechał w górę. - Strasznie się dzisiaj wygłupiłam. Obiecuję, że odtąd będę trzymać się na dystans.

Nathan pozbierał ubranie i powiedział:

- Popełniłem błąd, Libby. Nie powinienem był zachować się tak nieuprzejmie, kiedy mnie zaprosiłaś na kolację. Jeśli to zaproszenie wciąż jeszcze jest aktualne, chemie przyjdę.

Spuściła powieki, ale zauważył, że lekko przełknęła ślinę.

- Oczywiście, że aktualne. - Gdy spojrzała na niego, zauważył, że jest już trochę mniej zażenowana. Zrobiło mu się przyjemnie, że choć tyle zdziałał. Nie chciał w tej chwili zastanawiać się, jaką za to zapłaci cenę. - Proszę bardzo.

Znowu zagryzła usta, a on musiał stoczyć ze sobą ciężką walkę, by jej nie pocałować.

- Wpół do dziewiątej? - spytała.

Spojrzał na zegarek. Dopiero siódma. Zdaży się pozbierać.

- Niech będzie wpół do dziewiątej - zgodził się. Posłała mu słodki, szczerzy, beztroski uśmiech, a on poczuł się, jakby słońce nagle wychynęło zza chmur.

Po powrocie do domu wziął prysznic, żeby spłukać morską sól, która przywarła mu do skóry, i skrzywił się, widząc własne odbicie w lustrze nad umywalką. Wyglądam jak włóczęga, pomyślał, z melancholią muskając dłonią ciemną szczecinę, która zdażyła już urosnąć, chociaż rano przecież się golił.

Nagle wyobraził sobie smukłą, bladą szyję Libby, zaczerwienioną od jego szorstkiego zarostu, i sięgnął po brzytwę. Skrzywił się, zrozumiał nagle, co robi, i odłożył brzytwę na polkę, rozmyślnie rezygnując z golenia. Idzie przecież tylko na kolację. Tylko na kolację...

Owinąwszy się w pasie ręcznikiem, poszedł bosy do saloniku i oparł się o ścianę, patrząc z posepną zadumą na resztkę whisky Alistaira. Pokusa była silna, ale jednak za słaba, by zdołała wziąć górę nad rozsądkiem, w końcu więc nie tknął alkoholu. Celowo skupił się dla odmiany na laptopie, który zdawał się z niego szydzić, stojąc w przeciwległym rogu pokoju. Mineły trzy dni, a Nathan właściwie nie ruszył z robotą. Postanowił, że odtąd będzie inaczej. I to od zaraz. Libby spodziewa się go dopiero za godzinę. Akurat zdaży dokończyć indeks.

Kiedy jednak miał już niebawem ubrać się i wyjść, zamąciło mu się w oczach. Oderwał wzrok od ekranu komputera i spojrzał prosto przed siebie, na ścianę, po czym dotknął ręką głowy i jęknął - w środku pola widzenia kłębiła się znajoma mgielka, a w skroni zaczynał pulsować równie znajomy, tępy ból. Doskonale wiedząc, co go czeka w ciągu najbliższych kilku minut, uświadomił sobie, że musi dotrzeć do domu Libby, zanim przestanie widzieć. Nie może dopuścić, aby pomyślała, że po prostu nie chciało mu się przyjść.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Libby właśnie wstawiała warzywa do piekarnika, kiedy w drzwiach stanął przyjaciel Alistaira, prawie całkiem nagi. Wyprostowała się, nie zwracając nawet uwagi na ciało mężczyzny, zaabsorbowana bladością i napięciem w jego twarzy.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Migrena - odparł. Zataczając się, wszedł do kuchni i złapał krzesło, jakby chciał nim się podeprzeć. - Przepraszam - wymamrotał, osłaniając oczy dłonią. - Nie miałem migreny od lat.

Libby szybko zgasiła światło; od wpadającej przez okno wieczornej poświaty w kuchni było dość widno, by zdołała mu pomóc usiąść na krześle.

- Proszę. - Przysunęła mu dużą salaterkę, w której przed chwilą zamierzała przyrządzić deser. - Będziesz miał torsje?

- Chyba nie - odrzekł zachrypniętym głosem, ale zaraz potem chwycił salaterkę i zwymiotował. - Cholera! - mruknął. - Przepraszam.

- Nie szkodzi.

Libby podstawiła mu inną miskę, a salaterkę wyniosła do łazienki. Gdy po kilku minutach wróciła, zbladła, widząc jego fatalny stan.

- Masz jakieś tabletki? - spytała.

- Nic nie mam. Minęło już tyle czasu od ostatniego ataku. Myślałem, że nigdy więcej mnie coś takiego nie dopadnie.

Podeszła do niego i pogłaskała go po karku, czując pod palcami jego zimny, wilgotny pot.

- Zadzwońię po lekarza - powiedziała.

- Nie. - Spróbował podnieść głowę, ale musiała go przy tym strasznie zboleć, bo natychmiast znów ją spuścił. - Niepotrzebny mi lekarz. Zresztą i tak już za późno. Muszę to po prostu odespać. Może potrwać kilka dni, zanim przejdzie. - Zaszurał nogami pod stołem, jakby chciał wstać. - Muszę wrócić do domu Alistaira.

- Zostań tutaj - powiedziała. - Zajmę się tobą.

- Nie. - Pokręcił głową i znowu jęknął. - Muszę wrócić.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Położyła mu dłoń na karku, czując, jak go boli. - Przecież prawie nic nie widzisz.

Zgarbił się, zrozumiał, że Libby ma rację, i czym prędzej sięgnął po miskę. Kiedy atak torsji minął, zabrała ją i wymyła, a potem pomogła mu

dojść do sypialni. Ułożyła go w swoim łóżku, przykryła dwoma kocami, bo było mu zimno, i przykucnęła obok łóżka.

- Masz skłonność do owrzodzeń w ustach? - spytała. Zmarszczył brwi i skrzywił się, jakby pytanie wydało mu się głupie, ale z bólu tak osłabł, że nie miał siły się spierać.

- Nie, nie mam.

Dotknęła grzbietem dłoni jego czoła, sprawdzając, czy ma gorączkę, ale czoło też miał chłodne.

- Zaraz wracam - rzekła cicho i poprowadziła jego rękę w stronę miski, by w razie czego wiedział, gdzie jej szukać. Kiedy wróciła, jeszcze nie spał. Oczy miał zaciśnięte, czoło zmarszczone z bólu.

- Usiądź na chwilę - poprosiła - Tylko na chwilę, a potem już dam ci spać.

Dał się posadzić, lekko uniósł powieki i z niechęcią spojrział na kanapkę, którą mu podała.

- Nie mogę jeść - zaprotestował słabo.

- Musisz.

Spokojnie wytłumaczyła mu, że w kanapce jest coś, co mu pomoże. Zacisnął usta, lecz gdy oderwała kawałek chleba i mu go podała, ustąpił i zaczął żuć pomarańczę, ze znużeniem, aż ją na ten widok zabolalo serce. Podtrzymała go, póki nie skończył, a potem pomogła mu z powrotem się ułożyć, przykładając na czoło ciepły kompres. Jej palce pragnęły go pieścić, pragnęły ukoić jego ból, wiedziała jednak, że jest ciężko chory. Obawiała się, że jej dotyk może wręcz przysporzyć mu cierpień.

- Spróbuj zasnąć - szepnęła. - Będę niedaleko. Trochę się uspokoił i z drzemki stopniowo zapadł w głęboki sen. Libby przyniosła olejki, żeby go nasmarować, gdyby nie mógł zasnąć, lecz odstawiła je na bok, gdy okazało się, że nie będą potrzebne. Jeszcze parę razy potem do niego zaglądała, a w przerwach trochę się przesypiała na leżance w swoim gabinecie. Gdy o dziewiątej rano wstała, jeszcze spał. Leżał na brzuchu, z rękami na prawo i lewo od poduszki, twarzą do ściany. Nogi miał rozrzucone, lewą zgiętą w kolanie. W nocy zrzucił z siebie koce i teraz przykryty był tylko prześcieradłem, które zsunęło mu się na wysokość bioder.

Ukucnęła przy nim i dotknęła jego ramienia, by sprawdzić temperaturę. Z ulgą stwierdziła, że znów jest ciepły. Zamiast jednak cofnąć rękę, patrzyła z bezradnym zdumieniem, jak jej dłoń sunie po jego plecach, a cała ta fikcja, jakoby był po prostu pacjentem, gdzieś się ulatnia. Wmawiając sobie, że robi to dla niego, a nie dla siebie, zmusiła się, by oderwać dłonie od jego pleców i

namaścić je olejkami. Lecz gdy znów się nad nim pochyliła, ogarnęła ją znamienna fala ciepła. Nigdy jeszcze z takim skupieniem nie patrzyła na żadną ludzką istotę, nigdy nie była tak zaciekawiona, żeby pragnąć zobaczyć wszystko, każdy szczegół. Wpatrywała się w gładkie wzgórki i zagłębienia wzdłuż kręgosłupa, badała płytkie zakola żeber, przebiegając palcami po wklęsłych odstępach między nimi, jakby je liczyła. Była tak blisko Nathana, że widziała każdy włos, który porastał jego skórę. Nie miała pojęcia, jak długo już tak klęczy; ale kiedy wsunęła palce pod prześcieradło, drgnął, a ona zamarła ze zgrozy.

Nawet gdy już dotarła do kuchni, nie od razu przestała dygotać. Tym razem koty spały do późna; leżały zwinięte we wspólnym koszyku, najwidoczniej nieświadome, jak ciężkie chwile przeżywa ich pani. Libby osunęła się na taboret i patrząc na Duncana i Wiliama czekała, aż uspokoi się jej spłoszony oddech. Jestem zboczona, powiedziała sobie w duchu. Szalona. Przecież to chory człowiek, a ja...

Wzdrygnęła się, wyobraziwszy sobie, co by było, gdyby się obudził i stwierdził, że ona klęczy przy nim. Czy by się zirytował? William podniósł głowę, spojrzał wprost na Libby i ziewnął. Wyszedł z koszyka, zostawiając w nim śpiącego Duncana, i delikatnie przeciągnawszy wszystkie łapy po kolei, podszedł do swojej pani i otarł się o jej nogi.

- Ty nie masz nic przeciwko temu, żebym cię dotykała, prawda? - szepnęła, biorąc go na ręce. Kot rozkosznie zamruczał. - Miło ci, co?

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch przy drzwiach, a potem usłyszała cichy głos:

- Mnie też było miło.

Zerwała się na równe nogi i odstawiła kota na podłogę.

- To ty nie spałeś? - spytała oszołomiona.

Stał oparty o futrynę drzwi, z założonymi rękami, owinięty w pasie kocem. Milczał, ale z samego wyrazu jego twarzy mogła wyczytać całą prawdę. Poczowała wypieki na policzkach.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że nie śpisz? - spytała. - Trzeba było mnie powstrzymać.

Minęła chwila napiętego milczenia, zanim powiedział:

- Muszę wziąć prysznic.

- Łazienka jest obok sypialni. - Skoncentrowała się na praktycznych drobiazgach. - Ręczniki w szafce.

Po kilku minutach uświadomiła sobie, że nawet go nie spytała, czy ból głowy już minął.

- To dopiero ze mnie pielęgniarka - ze smutkiem rzekła do Williama. - Wystarczy, że raz na niego spojrzę, i robię się kompletnie niepoczytalna.

Szum wody ustał. Zerwała się z miejsca, by podjąć szalony wyścig z losem i spróbować zapobiec temu, co i tak już wydawało się nieuniknione. Nalała wodę do czajnika i postawiła go na gazie, a potem ustawiła na stole filiżanki. Otworzyła konserwę dla kotów, uśmiechając się blado, kiedy Duncan, słysząc dźwięk otwieranej puszki, podbiegł do miski. Zanim przyjaciel Alistaira wyszedł z łazienki, ubrany w jeden ze szlafroków przeznaczonych dla klientek, na stole stały już dwie miseczki musli, a Libby właśnie wyjmowała z tosterka grzankę.

- Jak tam migrena? - spytała, starając się nadać swojemu głosowi promienne brzmienie, z nadzieją, że jeśli będzie udawała, że nic się nie stało, męczyzna zrobi to samo.

- Jeszcze trochę ćmi - odparł, skinieniem głowy dziękując za filiżankę herbaty, którą mu podała. - Co było w tej kanapce? - spytał z uśmiechem. - Petydyna?

- Liście maruny.

Uniósł brwi, a ona poczuła, że się rumieni.

- To środek na rozszerzenie naczyń - wyjaśniła, podając mu talerz z grzanką. Gestem wskazała talerzyki z marmoladą. - Poczęstuj się. Musisz coś zjeść.

On jednak nie patrzył na jedzenie, tylko na nią.

- Czy Cen masaż był elementem kuracji? Z trudem przełknęła ślinę.

- Masaż pomaga zmniejszyć napięcie, które może być przyczyną bólu głowy - odparła. - Natarłam cię olejkami. Lawendowym, oregano, rumiankowym i imbirowym. Maruna to pospolity lek ziołowy - wyjaśniła. - Nie miałam żadnych konwencjonalnych leków przeciwbólowych, a ty nie chciałeś lekarza, no więc pomyślałam, że może w ten sposób ci ulżę.

Upił łyk herbaty i skrzywił się.

- Ohyda - stwierdził. - Znowu jakieś ziółka?

- Pomyślałam, że nie powinieneś pić kawy - wyjaśniła słabym głosem. - Kofeina czasem pomaga w początkach migreny, ale potrafi ją też wywołać.

- Libby, nie wątpię w twoje dobre chęci, ale tego się po prostu nie da wypić. - Odsunął filiżankę i przetarł oczy. Zauważyła jednak z ulgą, że wcale nie jest zły, tylko rozbawiony. - Dziękuję, że się mną zająłeś.

W odpowiedzi skinęła głową. Uwielbiała na niego patrzeć, ale wołała się do tego nie przyznawać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziała tylko. Przez kilka niepokojących sekund spoglądali sobie w oczy, lecz tym razem to on pierwszy zrobił unik, sięgając po marmoladę.

- Chyba domowej roboty - domyślił się.

- Według przepisu mojej babci - wyjaśniła. Jego uśmiech wzniecił pożar w jej sercu.

- Oczywiście. Niepotrzebnie pytałem.

Śniadanie minęło bez przygód. Mężczyzna więcej nie wspominał o tym, że go dotykała, za to dokładnie ją wypytał, jaka jest w tej okolicy przestępczość. Zapewniła go, że przestępstwa - jeśli w ogóle się zdarzają - przybierają zwykle formę drobnych kradzieży i wandalizmu, a ona w czasie nieobecności Alistaira zawsze uważnie obserwuje, co dzieje się koło jego domu. Chyba jednak go to nie przekonało, bo spytał, czemu nie zainstalowała systemu alarmowego i czy nie przyszło jej na myśl, żeby kupić psa.

Nie bardzo potrafiła zrozumieć, czemu tak się przejął czymś, co dla niej było błahą sprawą. W końcu zdołała zmienić temat i zaczęła opowiadać mu o miejscach, które jej zdaniem powinien zwiedzić.

- Przyjechałem tu pracować - odparł z ironią, przerywając jej w chwili, gdy przedstawiała mu trasę wycieczki po najbardziej malowniczych miejscach wokół St. Ives i Penzance. - Nie mam czasu na zwiedzanie.

Przechyliła głowę, łapczywie chłonąc tę pierwszą konkretną wiadomość o jego życiu.

- A co to za praca? - spytała.

- Opisuję wyniki dwuletnich badań - wyjaśnił, odsuwając pusty talerz. - Kazano mi wziąć urlop, więc pomyślałem, że nareszcie będę miał okazję z tym się uporać. Dotąd zawsze byłem zanadto zajęty, żeby dokończyć robotę.

- Jesteś dziennikarzem? To stąd znasz Alistaira?

- Nie wiesz, kim jestem, Libby? - spytał zdumiony.

- Wiem, że jesteś przyjacielem Alistaira...

- Nie wiesz, jak się nazywam? - spytał sucho. - Nie przedstawiłem ci się?

Patrzył na nią spod zmrużonych powiek, nagle czymś ubawiony, a ona zdała sobie sprawę, że istotnie jej się nie przedstawił, że nie zna nawet jego imienia.

- Jestem Nathan. Nathan Thomas. - Wyciągnął do niej rękę. - Najstarszy brat Alistaira.

Raptownie wyrwała rękę z jego dłoni.

- Brat Alistaira? - spytała drżącym głosem, jakby nie wierzyła własnym uszom. - Nathan? Ten Nathan?

- Nie pomyślałem... - zaczął, unosząc jedno ramię i równocześnie zastanawiając się, czemu powiedziała „ten Nathan”. - Nie do wiary. Naprawdę zapomniałem, że ci nie wyjaśniłem, kim jestem.

- Jesteś chirurgiem.

- Tak.

- Słyszałam o tobie. - Kiedy podniosła rękę i niepewnym krokiem przeszła pod przeciwległą ścianę, zauważył, że jej paznokcie pozostawiły na drewnianym blacie stołu maleńkie półkoliste ślady. - Jesteś nałogowym pracusiem.

- Owszem, Alistair zapewne tak uważa. - Spojrzał na nią ze skupieniem, kiedy schyliła się, by wziąć na rękę kota, i skryła twarz w jego futrze. Kot wlepił w Nathana zajadłe, żółte ślepie. - Moja praca stawia mi wysokie wymagania.

Libby podniosła głowę. Twarz miała zdenerwowaną i zatroskaną. Nathan badawczo jej się przyglądał, zastanawiając się, co też jeszcze mógł o nim opowiedzieć Alistair. Tym jednak razem nie było mu dane się dowiedzieć, bo rzekła słabym głosem:

- Spodziewam się kogoś. Czy mógłbyś...?

- Już idę - odparł. Cokolwiek Alistair o nim naopowiadał, nie mogło to być nic dobrego. Wziąwszy zresztą pod uwagę, jakie myśli chodziły mu po głowie przez ostatnie kilka dni, nawet najbardziej oczerniająca charakterystyka nie byłaby tu przesadna. Otworzył tylne drzwi. - Jeszcze raz dziękuję za to, co dla mnie zrobiłaś.

- Nie ma za co - odrzekła z roztargnieniem, nie patrząc nawet na niego, tylko na kota.

Wróciwszy do domu, spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta, ale mimo tej wczesnej pory czuł, że musi się napić.

Hojną ręką nalał sobie potrójną porcję szkockiej, podniósł szklankę do ust, lecz zamiast wychylić do dna, jak pierwotnie zamierzał, ścisnął ją w palcach i z rozmachem wrzucił do kominka, patrząc obojętnie, jak szkło rozbija się o cegły. Ten gwałtowny gest o dziwo mu pomógł, a przynajmniej częściowo rozładował frustrację. Nathan ubrał się, a potem przystąpił do sprzątnięcia.

Pomyślał, że w sumie dobrze zrobił, tłumiąc w sobie to nagłe pragnienie alkoholu. Minęły cztery dni, odkąd poznał Libby, i zdążył w tym czasie wypić więcej niż przez ostatnie dwa lata. Wystarczy.

Wrzucił odłamki szkła do kubła na śmieci, wytarł rozlaną whisky, włączył komputer i odszukał pliki, nad którymi pracował poprzedniego wieczoru. Lecz już po półgodzinie odsunął urządzenie, ze znużeniem uzmysławiając sobie, że tego dnia też niczego nie dokona. Zaczął przechadzać się po domu, kolejno biorąc do ręki fotografie i inne pamiątki Alistaira. Nie znalazł żadnych zdjęć Libby, lecz pomyślał, że widocznie Alistair zabrał je z sobą do Brazylii. On, Nathan, i bez fotografii dokładnie ją pamiętał. Ilekroć zamykał oczy, jej postać wyraźnie ukazywała mu się pod powiekami. A wtedy diabli brali całą koncentrację.

Wspominanie chwil/kiedy go dotykała, też nie sprzyjało skupieniu. Zrobił powolny wydech, rzucił się na bujany fotel i zamknął oczy. Nic dziwnego, że trudno mu pracować. Wcale przecież nie spał, gdy Libby rano weszła do sypialni.

Początkowo dotykała go powściągliwie, lecz po chwili dotyk jej zmienił się, a Nathan zrozumiał, że powinien ją powstrzymać, ale był na to za słaby. Jej cichy, lecz wzburzony oddech, szybkie bicie puls w nadgarstkach, wilgotne ciepło dłoni, nieznośnie delikatne muśnięcia długich włosów, które czuł na plecach... Jej usta, chwilami nieomal dotykające jego skóry... Wszystko to mówiło mu, że jest podniecona, a myśl ta doprowadzała go nieledwie do szaleństwa.

Bezgłośnie powtarzał imiona Pauli i Alistaira, i tylko dzięki tej zbawiennej mantrze zdusił w sobie pokusę, by obrócić się na bok i przyciągnąć dziewczynę do siebie.

Wstał z fotela, podszedł do okna i spojrzał na łupkowy dach domu Libby. Jest sobota. Za tydzień przyjedzie do niego Paula, a wtedy będzie już wiadomo, czy czeka go ojcostwo.

A jeśli nie zostanie ojcem? To także niczego by nie zmieniło. Nie miał przecież Libby nic do zaoferowania. W Kornwalii była u siebie - a on bawił tu przejazdem. Oby tylko pamiętał o tym, kiedy znów ją zobaczy.

Nim nadeszło niedzielne popołudnie, zdążyła doprowadzić się do stanu graniczącego z histerią. Przez cały ubiegły dzień martwiło ją pytanie, czemu sąsiedni dom jest zamknięty na głucho, chociaż stoi przed nim auto Nathana. Obawiała się, że dostał nawrota migreny i teraz wije się z bólu, pozostawiając ją samotną.

stawiony samemu sobie. Raz nawet podeszła do jego kuchennych drzwi, ale w ostatniej chwili zawróciła, dygocząc ze zdenerwowania.

A jeśli naprawdę się rozchorował? A jeśli... umarł?

Wzdrygnęła się, odpychając tę przerażającą myśl, chociaż prześladowała ją ona od wielu godzin. Od migreny się nie umiera, tłumaczyła sobie ze złością. Ale przecież głowa mogła go rozboleć z całkiem innego powodu. Może miał krwotok podpajęczynówkowy? Opiekowała się kiedyś pacjentem, który przeżył wylew krwi do mózgu, a po dwóch tygodniach dostał drugiego wylewu i umarł. Może więc i Nathan jest ciężko chory?

Albo po prostu pracuje, a jeśli tak, potrzeba mu ciszy i spokoju, przekonywała się, usiłując zachować resztkę poczytalności. Może po wczorajszych wydarzeniach postanowił jej unikać. Byłoby to całkiem zrozumiałe, zważywszy, że jej tak zwany „masaż” musiał go wprowadzić w spore zakłopotanie. Ukryła twarz w dłoniach, starając się o tym nie myśleć.

Alistair często opowiadał o swojej rodzinie, ale Libby najwyraźniej zapamiętała to, co mówił o Nathanie. To właśnie o Nathana się martwiła, o nim myślała i jego losem się przejmowała, chociaż wcale się nie znali.

- On nie wyjeżdża na urlopy - powiedział raz Alistair

- więc pewnie nigdy go tu nie zobaczysz.

Mówił to lekkim tonem, lecz Libby wystarczająco dobrze go znała, żeby odgadnąć ukryte w tych słowach uczucie -wyraźny ton uwielbienia, jakim darzył starszego brata.

- Wszyscy się boimy, że umrze młodo z przepracowania

- wyznał jej. - Jego ojciec umarł na serce, zanim skończył pięćdziesiąt lat.

- Wiedziała już, że mieli wspólną matkę, ale różnych ojców. - Nate ma końskie zdrowie, ale musi się nauczyć, że życie to nie tylko praca.

W wyobraźni ujrzała zaciętą twarz Nathana i dłonie same jej się zacisnęły. Nie mogła znieść myśli, że może mu się stać coś złego. Drżącą ręką zastukała do jego kuchennych drzwi. Podejrzewała, że leży półżywy, a przynajmniej nieprzytomny, więc odskoczyła z przerażeniem, kiedy otworzył drzwi raptownym szarpnięciem. Był nie ogolony i wyraźnie zirytowany, ale niecierpliwłość, którą Libby dostrzegła w jego oczach, nie miała w sobie nic chorobliwego.

- Tak? - spytał.

Czym prędzej cofnęła się o krok.

- Przepraszam - wyjąkała, napawając się jego widokiem.

- Przyniosłam obrazek - wyjaśniła, podając mu akwarelę.

Wziął ją do ręki bez słowa, a Libby pospiesznie spytała:

- Nic ci nie jest?

- Oczywiście, że nie. - Przez chwilę wyglądało na to, że zaraz zamknie jej drzwi przed nosem, ale potem musiał widocznie zauważyć jej nieszczęśliwą minę, bo jego spojrzenie zmiało. - Już dobrze się czuję - dodał łagodniej, stawiając obrazek pod ścianą w przedpokoju. - Migrena przeszła. Nie musisz się więcej o mnie martwić, Libby.

- Bałam się, że się rozchorowałeś.

- Usiłowałem wziąć się do pracy. Uświadomiła sobie, że mu przeszkadza.

- Nie będę cię od niej odrywać - powiedziała. - Mam nadzieję, że obrazek ci się spodoba. No to cześć.

- Zaczekaj! - Chwyił ją za ramię. - Przepraszam - rzekł z ciężkim westchnieniem. - Chyba jestem w nie najlepszym nastroju. Praca idzie mi jak z kamienia, ale naprawdę nie chciałem się na tobie wyżywać.

- To nie ma znaczenia - powiedziała słabym głosem.

- Właśnie, że ma - odparł. Puścił ją i szerzej otworzył drzwi. - Muszę trochę odpocząć - wyjaśnił spokojnie. - Wejdz, zrobię ci herbaty.

Pokręciła głową, niepewna, czy podoba takiej próbie.

- Miałam zamiar popływać.

- Za duża dzisiaj fala - stwierdził, marszcząc brwi.

- Nie, wcale nie za duża. Dla mnie w sam raz. Jestem dużo silniejsza, niż wyglądam. - Spojrzała w stronę morza, unikając wzroku Nathana, by nie odgadł jej myśli.

- Skoro się upierasz mimo takiej pogody, idę z tobą.

- Naprawdę nie ma potrzeby. - Jego słowa wprawiły ją w popłoch. - Pływam w tej zatoce od dzieciństwa. Nic mi nie będzie.

- Pięć minut - rzekł władcym tonem, nie zważając na jej protesty. - Spotkamy się przy schodkach.

Wróciwszy do swego domu, Libby przebrała się w kostium kąpielowy, chociaż ręce tak jej się trzęsły, że ledwo sobie z tym poradziła. Duncan i William stanęli na progu sypialni i ze zdumieniem patrzyli, co robi ich pani.

- Idę pływać - oznajmiła im, wciągając dzinsy i sukienkę, którą zwykle wkładała przy malowaniu. - Z Nathanem.

William natychmiast ziewnął i koty spokojnie wróciły do kosza. Czyżby uznały, że pod opieką Nathana będzie bezpieczna? Ona sama miała co do tego wątpliwości: kiedy szła bosą ku miejscu, gdzie Nathan na nią czekał, nogi jej dygotały, a puls wariował.

- Ale masz małe stopy - rzekł Nathan. - Całkiem jak dziecko. - Podwinęła palce, wbijając je w trawę, a jemu drgnęły usta, kiedy spostrzegł ten objaw zakłopotania, lecz ku jej uldze nijak go nie skomentował. Skinął głową w stronę ścieżki i powiedział: - Idź przodem.

Czuła się jak ostatnia niezdara, gdy schodziła w dół, ale się nie pośliznęła, bo choć zejście było strome, tyle razy chodziła tą trasą, że mogłaby ją przebyć z zawiązanymi oczami. Zanim dotarła na plażę, wiatr zupełnie potargał jej włosy. Przystanąła, by je związać, a Nathan przez ten czas ją wyprzedził. Nie zdejmując dzinsów, wbiegł do wody, pochylił się, żeby sprawdzić, czy zimna, a potem z uśmiechem wyprostował się i zawołał:

- Lodowata!

Wybuchnęła śmiechem, nie posiadając się z radości, że jednak wyzdrowiał i jest z nią razem na plaży.

- Dobrze ci tak! - zawołała. - Przestań się z sobą cackać, ty zniewieściały londyńczyku!

Uśmiechnął się szeroko, po czym nabrał w garść wody.

- Chodź tu i powtórz, co powiedziałaś - zażądał. Cofnęła się w stronę urwiska, lecz śmiech zamarł jej na

ustach, gdy Nathan wyszedł na brzeg i zaczął rozpinać dzinsy. Posłał jej krótkie, nieomal drwiące spojrzenie, a ona odwróciła się z zażenowaniem. Zdjęła potem dzinsy i sukienkę, a gdy znów odwróciła się w stronę morza, zobaczyła, że Nathan zdążył już wejść dość głęboko i woda sięga mu aż po nogawki bokserek. Dopiero gdy całkiem się zanurzył, wbiegła w ślad za nim. Stała w zimnej wodzie po kolana, zaczerpnęła tchu, dała nurka prosto w nadciągającą falę i wypłynęła w odległości kilku metrów od Nathana.

- Ścigajmy się - zaproponował z uśmiechem.

Była dobrą pływaczką, raczej jednak szybką niż wytrwałą, zanim więc Nathan zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od brzegu, zostawił ją daleko w tyle. Nie czekając, aż go dogoni, zawrócił i popłynął prosto w jej stronę, toteż musiała się zatrzymać, żeby z nim się nie zderzyć.

- To niesprawiedliwy wyścig - zaprotestowała bez tchu. - Jesteś większy ode mnie. Powinnam dostać fory.

Wybuchnął triumfalnym śmiechem, a Libby spojrzała na niego ze zdumieniem i bolesną tęsknotą.

- Zwyciężyłem bezsprzecznie i zasłużenie - odparł żartobliwym tonem.

Spojrzał na nią, a kiedy ich oczy spotkały się, wszystko się zmieniło. Przestał się śmiać i patrzył na Libby z twardą, zajadłą determinacją, a jej

nerwy napięły się, jakby miały trzasnąć. Wolno wyciągnął ku niej rękę, objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie, nagle bezwolną.

- A teraz należy mi się nagroda - szepnął.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Od tego krótkiego pocałunku zakręciło jej się w głowie. Poczowała, że Nathan mocno chwyta ją za biodra i przyciska do siebie. Woda podeszła jej do gardła i straciła równowagę.

- Nathan... - szepnęła, chwytając go za ramiona.

- Otwórz usta - mruknął rozkazującym tonem. Zapominając o reszcie świata, spełniła polecenie, a on znów ją pocałował. Poczowała, że topnieje, nie mogąc uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Nathan był istotą z wody i soli, jej pragnieniem i wszechświatem, i nic ją nie obchodziło, że oboje toną.

On jednak pociągnął ją wreszcie z powrotem. Młóćąc wodę nogami, wywlókł ją na światło dzienne, chociaż ona sama nie miałaby nic przeciwko temu, by dalej zapadać się w otchłań. Wynurzyła się, kaszląc, rozpaczliwie chwytając oddech, podczas gdy Nathan masował jej plecy. Minęło parę minut, nim zaczęła spokojniej oddychać, ale nadal drapało ją w gardle, podrażnionym od słonej wody, której jeszcze przed chwilą było pełne. Kiedy odzyskała wzrok, nie dostrzegła na twarzy Nathana śladu tej popędliwej namiętności, którą widziała na chwilę przed pocałunkiem.

- Trzeba cię odholować do brzegu - rzekł ponuro. Wciąż ją obejmował, wsunawszy ręce pod jej pachy, a ona podniosła głowę z wyrazem niemej prośby. Póki ją całował, wszystko było w porządku.

- Proszę cię... - szepnęła.

- O co mnie prosisz, Libby? - Miał zagniewaną minę, ale nie wiedziała, czy jest zły na siebie, czy na nią. - Żeby cię tym razem rzeczywiście utopił? - spytał ostro. - Popełniłem błąd. Nie powinienem był cię dotykać.

Poczowała, że robi jej się gorąco. Zrozumiała, że pocałował ją tylko dla zabawy, by uczcić swe zwycięstwo w wyścigu. A ją tak to nieprzytomnie uszczęśliwiło! Chemie dałaby się utopić z powodu czegoś, co dla niego nie miało żadnego znaczenia, było wyłącznie chwilową pomyłką. Ależ to żałosne. Ogarnął ją wstyd i złość na samą siebie. Dzięki tym burzliwym emocjom odzyskała władzę w rękach i nogach.

Wierzgnęła tak raptownie, że musiał ją puścić. Bez słowa popłynęła w stronę plaży, szybciej niż kiedykolwiek w życiu, mówiąc sobie, że jeśli tylko zdoła dopłynąć do brzegu przed Nathanem, wszystko da się puścić w niepamięć i życie wróci do normy. Dogonił ją, kiedy wybiegła na plażę, i przyciągnął do siebie tak gwałtownie, że straciła oddech.

- To nie twoja wina - rzekł szorstko, jakby czytał w jej myślach. - Wyłącznie moja. Nie zrobiłaś nic złego. - Nieco zmniejszył uścisk, więc wyrwała się i uciekła, grzęznąc w piasku, ale znów ją złapał. - Przestań - mruknął stanowczo. - Przestań uciekać. - Objął ją, głaszcząc po ramionach, tak jak tamtego popołudnia na szczycie urwiska. - To ja powinienem się wstydzić, a nie ty. Straciłem rozum. Byliśmy pod wodą. Mogłaś się przeze mnie utopić.

- Ale ja przecież chciałam utonąć! - krzyknęła. - Było mi wszystko jedno.

- Nieprawda. Byłaś przerażona. - Mylił się, ale nie miała siły zaprotestować. - Powinnaś się na mnie obrazić.

- Było mi wszystko jedno - powtórzyła ochryple, bo gardło miała tak przeżarte solą, że mówienie było bolesne.

Czyżby nie rozumiał? Czyż nie czuł, że stawiała opór, gdy ciągnął ją ku powierzchni?

- Jestem dużo silniejszy od ciebie - ciągnął. - Nadużyłem tej przewagi. Nie mogłaś mi się wyrwać.

- Ale ja wcale nie chciałam się wyrwać! - załkała. - Chciałam tylko, żebyś mnie dalej całował.

- Nie! - Objął ją mocniej i zaczął delikatnie kołysać. -Do diabła! - mruknął. - Przepraszam cię, Libby. Nie powinienem był zbliżać się do ciebie.

Rozpaczliwie usiłowała pohamować płacz i wreszcie nadludzkim wysiłkiem woli zdołała uspokoić oddech, który dotychczas spazmatycznie nią wstrząsał. Osunęła się w objęcia Nathana, bezwolnie spuszczać powieki.

- Uratowałeś mi życie - szepnęła.

- Jak możesz tak mówić? - spytał, dotykając ustami jej czoła. - Przecież o mało cię nie zabiłem.

Nie o to szło, lecz była za słaba, by z nim się spierać. Zresztą już się wyplakała i w znacznej mierze rozładowała targające nią uczucia.

- Było mi wszystko jedno - powtórzyła omdlewającym tonem. \^ne było tylko to, by trzymał ją w ramionach.

Tym razem na szczęście jej nie odepchnął, tylko podniósł rękę, którą obejmował ją w talii, i dotknął włosów.

- Jesteś zupełnie potargana - rzekł ochryple. Poczwała, że ściąga jej z głowy opaskę, a włosy mokrą, ciężką falą spadają na ramiona. Nathan ujął je oburącz i delikatnie wyjął z nich wodę. Krople spadały na piasek, szmerząc

jak lekki deszczyk. Potem wolno przeciągnął po włosach dłonią, rozdzielając splecione pasma. Muskał przy tym jej ramiona, plecy, biodra, lekko i może całkiem bezwiednie, ale ten ledwie wyczuwalny dotyk rozniecał w niej bolesny żar. Cesał ją w ten sposób długo i wolno, bez pośpiechu, aż poczuła, że cała pręży się jak kotka, oszołomiona czysto zmysłową rozkoszą. Kiedy jego ręka w końcu znieruchomiała, zaprotestowała cichym jękiem. Gdy spróbował obrócić jej głowę ku sobie, oparła się czołem o jego pierś. Wtedy zaczął głaskać ją po karku, dotykając wrażliwych miejsc za uszami. Nie otwierając oczu, słyszała miarowe bicie jego serca. Był to cudowny dźwięk.

- Libby? - Jego ochryply głos usłyszała nie z powietrza, tylko prosto z jego piersi, o którą opierała głowę. - Już dosyć, Libby.

Spojrzała na niego, mrugając powiekami, olśniona blaskiem słońca i obecnością mężczyzny.

- Idź do domu - rozkazał. Tęsknie patrzyła na jego usta, żałując, że nie śmie sama go pocałować. - Do domu, Libby - powtórzył, zaciskając wargi, jakby czytał w jej myślach, i stanowczym gestem odsunął ją od siebie. - Proszę cię, idź.

Była tak słaba, że chwiała się na nogach, ale on jej nie podtrzymał, nawet nie dotknął, więc odwróciła się i poszła do podnóża schodków, gdzie zostawiła ubranie. W połowie drogi na górę jeden jedyny raz obejrzała się za siebie, ale Nathan nie szedł jej śladem, nawet nie patrzył w jej stronę. Akurat w tej chwili wbiegł do wody i zanurkował, a potem szybkimi, płynnymi ruchami wypłynął w morze.

Nim nadeszło wtorkowe popołudnie, poczuł, że ma dość tego dobrowolnego aresztu domowego. Odsunął od siebie komputer i zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju. Sporo pracował w niedzielę wieczorem i przez cały poniedziałek, więc zrobił niezłe postępy, ale teraz słońce świeciło tak zachęcająco, a niebo było tak czyste, że nagle zapragnął uciec z domu, wyrwać się dokądkolwiek.

Wiedział, że nawet jeśli spotka Libby, zdoła nad sobą zapanować. Owszem, raz go poniosło, ale był to chwilowy wybryk, na który więcej sobie nie pozwoli. Jest przecież człowiekiem, a nie zwierzęciem. Ma sumienie i moralność. Jest też uczciwy i lojalny. Tak mu się przynajmniej wydaje.

Skrzywił się, uzmysławiając sobie, że nie są to wcale takie znowu szlachetne myśli. Tak zwane sumienie i moralność niewiele mu pomogły,

kiedy ich naprawdę potrzebował. Powstrzymała go jedynie straszliwa świadomość, że lada chwila utopi tę dziewczynę.

Po raz nie wiedzieć który spojrział na akwarelę. Podobał mu się ten łagodny, słoneczny pejzaż. Wciąż jeszcze jej za ten obraz nie zapłacił. Nie powiedziała co prawda, ile jest winien, lecz pieniądze mogą jej być potrzebne.

Kuchenne drzwi jej domu były otwarte, ale zamiast Libby zastał w kuchni dwie nieznanne kobiety. Zawahał się, ale ta, która siedziała bliżej wejścia - rumiana, rudowłosa - spojrzała na niego i zaraz się rozpromieniła.

- Dzień dobry - odezwała się radośnie, wstając na powitanie. Mówiła z najczystszy akcentem z Kornwalii. - To pan jest przyjacielem Alistaira.

- Bratem - sprostował odruchowo.

Dwie pary brwi uniosły się z namysłem, a jego ogarnęło krępujące uczucie, że kobiety poddają go dokładnej ocenie. Wynik najwidoczniej był pomyślny, bo ta druga - krucha, starsza pani o szpakowatych włosach - też wstała z miejsca.

- Libby niedługo przyjdzie - oznajmiła. - Napije się pan herbaty?

- Hmm - bąknął, ale one, nie czekając na odpowiedź, postawiły na stole trzecią filiżankę i nalały do niej jakiegoś ciemnego naparu o niepokojącym wyglądem. Nathan wszedł do kuchni, a kiedy kobiety znowu usiadły, on także zajął miejsce przy stole. - Dziękuję - powiedział, ale nie pił.

- Libby właśnie zajmuje się klientką - wyjaśniła młodsza. Nathan wywnioskował z tego, że Libby zarabia malowaniem. - Kłopoty sercowe - dodała kobieta.

Wzdrygnął się.

- Mówi pani o kłopotach Libby? - spytał. Roześmiały się, a potem wymienili znaczące spojrzenia.

- To Megan ma kłopoty - sprostowała ruda, patrząc na niego stalowo-błękitnymi oczami. - Libby nie ma kto sprawiać kłopotów sercowych.

Zastanawiając się, czemu nic nie wiedzą o Alistairze, upił łyk naparu, który smakował sianem i był obrzydliwie słodki.

- Libby aplikuje Megan specjalny eliksir - rzekła starsza pani, uważnie go obserwując. - Bo Libby ma taki wielki dar.

Widząc po jej minie, że powinien jakoś odpowiedzieć, powtórzył:

- Dar?

- No właśnie - przytaknęła młodsza. Upił jeszcze łyżeczek upiornego naparu.

- To bardzo przydatne - mruknął. Obie rozpromieniły się.

- Wyleczyła moją nogę - powiedziała starsza, unosząc rąbek spódnicy, by pokazać zabandażowaną goleń. Ku ogromnemu zdumieniu Nathana zaczęła odwijać bandaż.

- Nie trzeba - próbował ją powstrzymać. - Wierzę pani na słowo.

- Musi pan zobaczyć - wtrąciła młodsza, pochylając się, by pomóc przyjaciółce. - To istny cud.

Pod bandażem był opatrunek, a pod nim ślad po dużym przedpiszczelowym skaleczeniu, prawie zupełnie zagojonym pomimo wieku kobiety i delikatności jej skóry. Odetchnął z ulgą na widok czystej ziarniny, bo spodziewał się jakiegoś ziejącego, straszliwie zainfekowanego wrzodu.

- Wygląda bardzo zdrowo - orzekł. - Niebawem pewnie do reszty się zablizni.

- Chodziłam z tym więcej niż rok - oświadczyła kobieta.

- Lekarz mówił, że nigdy się nie zagoi i że jakbym poszła na operację plastyczną, toby zrobili przeszczep. Ale nie dawał mi skierowania, bo oboje byliśmy pewni, że krajania to ja nie przeżyję.

- Naprawdę? - westchnął Nathan. Z przekonaniem pokiwała głową.

- Całymi miesiącami dzień w dzień przychodziła do mnie pielęgniarka. Antybiotyków tyle się nałykałam, że mi uszami wychodziły. W końcu pomogły mi liście nagietka - oświadczyła.

Nathan znowu poczuł, że oczekuje się od niego jakiegoś komentarza, ale w głowie miał zupełną pustkę, więc po paru sekundach starsza pani podjęła przerwany wątek:

- No i przez parę tygodni nosiłam pod bandażem okłady z żywokostu, ale głównie wyleczył mnie nagietek.

- W pięć tygodni - uściśliła młodsza. - Minęło raptem pięć tygodni, zanim z wielkiej, zgangrenowanej dziury w nodze zrobiła się taka śliczna blizna.

- Imponujące - skrzywił się Nathan. Upił trzeci łyk, równie wstrętny jak oba poprzednie.

- A co do moich... problemów - tajemniczo dodała młodsza - to już od pięciu lat ciągle mnie piekło i szczypało, ale wystarczyła miesięczna kuracja u Libby i dwa masaże tygodniowo, żeby znów zaczęło mi być dobrze z mężem.

- Nieustraszenie patrzyła Nathanowi w oczy i w końcu to on spuścił wzrok. - Jeśli rozumie pan, co mam na myśli - dodała znacząco.

Miał wrażenie, że chyba trafnie się domyśla, ale nie zamierzał dociekać szczegółów. Przez chwilę zastanawiał się, czyby się nie wymknąć pod

jakimkolwiek pretekstem, nim jednak zdąży! ruszyć się z miejsca, usłyszał dobiegający z przedpokoju lekko zachrypnięty głos Libby. Po kilku sekundach weszła do kuchni i spojrzała na niego zdumiona. - O! - westchnęła. - Jesteś.

- Przyjdę później - rzekł pośpiesznie i wstał, napawając się widokiem jej delikatnej urody. - Jesteś zajęta.

Ale rudowłosa kobieta wzięła sprawy w swoje ręce.

- Libby, idź zająć się Isabel - rzekła stanowczo. - Jej mąż czeka w aucie. A ja dotrzymam towarzystwa...? - Zwróciła się w jego stronę, pytająco unosząc brwi.

- Jestem Nathan.

- Dotrzymam towarzystwa Nathanowi. Na imię mi Monica. Posiedzę z nim, póki nie skończysz - dodała, zwracając się do Libby. - Na pewno znajdziemy mnóstwo wspólnych tematów.

Niezadowolenie Libby nie uszło uwagi Nathana, ale Monica nie dała za wygraną i została z nim.

- No to powiedz - zaczęła z ostrożnym, jakby lekko zmijowatym uśmiechem. - Jesteś żonaty czy rozwiedziony?

- Samotny - odparł czujnie. - Mieszkasz w tej okolicy?

- Niedaleko. Długo z nami zostaniesz?

- Póki Alistair nie wróci z Ameryki Południowej.

- Cudownie. - Znowu zaszczyciła go promiennym uśmiechem. - Kornwalia o tej porze roku jest taka piękna. Nie jesteś podobny do Alistaira.

- Mamy różnych ojców - wyjaśnił. - Alistair jest bardzo podobny do mojego ojczyma.

- Aa - westchnęła, łagodniejąc. - Twój ojciec jest...?

- Zmarł, kiedy byłem jeszcze mały.

Dolała sobie herbaty, przysuwając mu czajniczek, ale stanowczo podziękował.

- Libby w dzieciństwie straciła oboje rodziców - rzekła.

- Owszem, wspomniała mi, że wychowała ją babka.

- Wypadek samochodowy - ciągnęła Monica. - Jechali z Londynu. Libby ledwie raczkowała. Wyleciała przez okno i nic jej się nie stało. Rzeczywiście wychowała ją babka. Elspeth była alfą i omegą od ziół i różnych eliksirów. Niektórzy ludzie w tych stronach twierdzili, że jest wiedźmą, ale i tak przychodzili do niej po pomoc.

Uśmiechnął się w duchu, zadając sobie pytanie, czy to właśnie ten „dar” odziedziczyła Libby. Monica jakby wyczuła jego sceptycyzm, bo w jej twarzy pojawiło się napięcie.

- Libby jest wyszkoloną pielęgniarzką - powiedziała. - Dyplomowaną, tak to się chyba nazywa. Wiedziałeś o tym?

- Nie, nie wiedziałem. - Rzeczywiście był zaskoczony. Pielęgniarki, z jakimi dotychczas miewał do czynienia, były praktyczne, przyziemne. Libby wydawała się zanadto eteryczna.

- Uczyła się w Londynie - wyjaśniła Monica. - Potem jeszcze przez kilka lat mieszkała tam i pracowała, ale po śmierci Elspeth na dobre wróciła do Kornwalii. Czuje się tu u siebie. - Urwała, patrząc na niego z niepokojącą bezpośredniością. - Ale nie jest staruszką jak jej babka. Nie powinna żyć sama. Dwa koty do towarzystwa to za mało.

- Jest jeszcze Alistair - wtrącił Nathan. Monica prychnęła.

- Alistair to Alistair - rzekła zagadkowo. - Chociaż to twój brat.

Wielki czarny kot Libby wepchnął się Nathanowi na kolana, oszczędzając mu wysiłku, jakim byłoby wymyślanie odpowiedzi na tak niezrozumiałą uwagę. Nathan z roztargnieniem pogłaskał zwierzę pod brodą. Kot zamruczał i podreptawszy w miejscu, zwinął się w kłębek.

- William cię lubi - stwierdziła Monica. - To dobrze wróży, bo zwykle jest bardziej nieufny od Duncana. Więc może masz tu jakąś przyszłość.

- Mieszkam w Londynie - odparł spokojnie, usiłując zachować obojętną minę. Zgadzał się z Moniką, że Libby w Kornwalii jest na swoim miejscu, nie zmieniało to jednak niczego w jego życiu. - Tam pracuję i tam też jest moje miejsce. Lubię swoje życie. Nie mam zamiaru się przenosić.

Wydawało mu się, że wyraził się z wystarczającą stanowczością, ale Moniki ani trochę to nie speszyło.

- Ludzie rezygnują z najrozmaitszych rzeczy dla miłości. Drapiąc Williama za uchem, zastanawiał się, jak by tu

wywinąć się od dalszej rozmowy, nie urażając osoby, którą uważał za przyjaciółkę Libby. Problem sam się rozwiązał, bo w przedpokoju rozległy się głosy rozmawiających kobiet, a zaraz potem Libby weszła do kuchni. Widząc, że jeszcze nie poszedł, lekko się zdziwiła, a Monica znów przejęła kontrolę nad sytuacją.

- Poczekaj - rzekła do Libby, spoglądając w stronę Nathana, jakby był jakimś krnąbrnym niemowlakiem. - Możemy iść.

Zauważył, że krtań Libby drgnęła konwulsyjnie.

- W porządku. - Wyprowadziła Monikę do przedpokoju i popatrzyła na Nathana, marszcząc brwi. - To może potrwać trochę dłużej - wyjaśniła. - Może nie czekaj...

Spojrzał w dół. Żółte ślepia Williama kategorycznie nakazywały mu zostać.

- Dobrze mi tu - odparł. - Nigdzie się nie spieszę. Niebawem jednak znowu usłyszał głosy w przedpokoju.

Monica wyjrzała zza drzwi i na odchodnym puściła do niego oko. Wkrótce potem wróciła Libby. Przebrała się w spłowiełe džinsy i kolorową bawełnianą koszulkę, a włosy rozpuściła. Nathan z uznaniem zmrużył oczy.

- Przeszedłem spytać, ile jestem ci winien za obrazek - wyjaśnił. - Nie powiedziałaś.

Przymknęła oczy, zdążył jednak zauważyć jej zdenerwowanie.

- Niech to będzie prezent - powiedziała - za to, że uratowałeś mi życie.

- Tę sprawę już omówiliśmy - odparł sztywno. - Nic mi nie jesteś winna.

Z wdziękiem okrążyła stół i sięgnęła po czajnik.

- Skoro tak, to dziesięć funtów - rzekła, wylewając resztkę herbaty do plastikowego wiadra.

- Chyba według taryfy ulgowej - odparł kpiącym tonem.

- Oboje wiemy, że w sklepie zapłaciłbym dużo więcej.

- Niewiele ponad dwadzieścia - powiedziała, wciąż stojąc do niego tyłem.

- Napijesz się jeszcze herbaty?

Ze zdumieniem usłyszał własny śmiech, a kiedy wreszcie zwróciła się twarzą do niego, jej rozszerzone ze zdziwienia oczy tym bardziej go rozbawiły.

- Libby - wykrztusił. - Ta herbata to najgorsze świństwo, jakie w życiu piłem. Jeszcze gorsze niż ten płyn, który we mnie wmusiłaś. Omal się nie porzygałem. Jeśli naprawdę chcesz, żebym sobie poszedł, to po prostu mnie wyproś.

- Wcale nie chcę. - Na chwilę zmarszczyła czoło w wyrazie zatroskania, zaraz jednak się uśmiechnęła, a jemu puls załomotał w skroniach. - Przepraszam - powiedziała. - One nie dały ci herbaty, tylko napar dla pani Spalding.

- Liście nagietka?

- Między innymi - przyznała zdziwiona. - Pewnie niezbyt to pyszne.

Nie zamierzał z nią się o to spierać.

- Może by tak trochę kawy? - spytał.

- Nie mam kawy. Jest wódka, mogę też poszukać brandy. Nathan skrzywił się i pokręcił głową. Patrząc, jak Libby parzy herbatę, wyczuwał jej skrepowanie, ale nie mógł go rozładować. W niedzielę na plaży stało się to, co się stało. Najlepiej będzie, jeśli żadne z nich nigdy więcej o tym nie wspomni. Kiedy herbata była gotowa, Libby usiadła przy stole.

- Przepraszam, że William jest taki natarczywy - rzekła. - Jak już raz się rozgości, trudno go ruszyć z miejsca.

- Nie przeszkadza mi - odparł, nie przestając miętosić kocich uszu. - Nie wiedziałem, że jesteś pielęgniarką.

- Monica to straszna gaduła.

- Wspomniała o tym tylko mimochodem. Gdzie byłaś na stażu?

- W Londynie. - Upiła łyk herbaty. - W szpitalu York. Nathan skinął głową. Był to jeden z najstarszych szpitali londyńskich, w których kształcono stażystów.

- A teraz co robisz? - spytał. - Jesteś pielęgniarką? Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Interesuję się medycyną alternatywną. Stosuję naturalne leki i masaż. Czasem przydaje mi się to, że byłam pielęgniarką, ale już się nią nie czuję.

- Obie twoje dzisiejsze pacjentki są pod wrażeniem.

- Bałam się, że mnie bezlitośnie skrytykujesz.

- Dlaczego?

- Przecież jesteś chirurgiem.

- No cóż, pewnie istotnie minie trochę czasu, zanim dam się przekonać - przyznał. - Nie jestem entuzjastą medycyny naturalnej. Ja rozumiem kategoriami czerni i bieli. Można by powiedzieć, że zajmuję się hydrauliką ludzkiego organizmu. Owszem, jestem stronniczo przywiązany do konwencjonalnej medycyny i znałem przypadki, kiedy zwłoka w korzystaniu z jej pomocy wywoływała komplikacje. Ale to nie znaczy, że mam klapki na oczach. Chyba że chodzi o szarlatanów, którzy stwierdzają u pacjentów fikcyjne choroby, a potem żądają bająńskich sum za ich leczenie. To zwykli oszuści. Bez pośpiechu skinęła głową.

- Co do tego oczywiście masz rację.

- Jesteś pielęgniarką, więc na pewno postępujesz bardzo ostrożnie. Wszystko wskazuje na to, że naprawdę wyleczyłaś wrzód na nodze tej kobiety, a mnie migrena pod twoją opieką też przeszła szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Uśmiechnęła się melancholijnie.

- Nathan, przecież ty wcale nie wierzysz, że to ja cię wyleczyłam.

A więc przejrzała go na wylot.

- Rzeczywiście - przyznał. - Dalej jestem cynikiem. Wątpię, czy te napary i liście cokolwiek działały. W sprawie wrzodu na nodze prawdopodobnie sam czas zrobił swoje, no i troskliwa pielęgnacja. Podobnie pewnie było z... problemami Moniki - dodał, krzywiąc usta. - Ale nie będę się upierał, że mam rację. Możemy tak to zostawić?

- Możemy - zgodziła się z uśmiechem, od którego zrobiło mu się ciepło. Zaprzagnął, żeby częściej tak się uśmiechała.

- Opowiedz mi o tych swoich kuracjach - poprosił ostrożnie. - Naucz mnie czegoś.

Jej piękne zielone oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Serio? - spytała.

- Podchodzę do tego sceptycznie, ale z zainteresowaniem.

- A co byś chciał wiedzieć?

Wszystko, co cię dotyczy, pomyślał, ale nie mógł jej tego wyznać, więc odpowiedział banalnie profesjonalnym pytaniem:

- Jakie przypadki leczysz? Skąd wiesz, co zastosować?

- Zajmuję się najprostszymi dolegliwościami, takimi jak stres, alergie, kłopoty z cerą czy z trawieniem - wyjaśniła.

- Interniści przysyłają mi swoją klientelę, a jeśli podejrzewam, że jakaś sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się na pozór wydaje, albo potrzebuję rady lekarza, odsyłam pacjentów do homeopaty lub do ich własnego doktora. - Upiła parę łyków herbaty. - Nietrudno jest się nauczyć dobierania właściwych leków. Odbyłam gruntowne studia, a i babcia sporo mnie nauczyła. Po tak długiej praktyce decyzje podejmuje się prawie instynktownie.

- Naprawdę? - Pytanie to miało być uprzejmą zachętą do dalszego opowiadania, ale Libby zleje zrozumiała, i jej twarz oblał nagle rumieniec złości.

- Ponad połowa nowoczesnych medykamentów to wyroby z ziół i pleśni albo chemiczne imitacje substancji roślinnych - rzekła podniesionym tonem.

- Zielarze przez całe wieki stosowali aspirynę, penicylinę, chininę i setki innych leków, zanim „odkryła” je oficjalna medycyna. - Jej oczy przybrały żywy, szmaragdowy odcień. - Starożytni Egipcjanie okładali rany spleśniałym chlebem kilka tysięcy lat wcześniej, zanim z tej samej pleśni wypreparowano penicylinę.

Nathan podniósł ręce w obronnym geście.

- Wierzę ci - powiedział, oczarowany jej energią. - Nie będę się z tobą spierał.

- Och! - Zaczerwieniła się lekko i jakby zawahała. - Przepraszam - szepnęła, spuszczać oczy. - Odezwała się moja pielęgnarska przeszłość. Lekarze potrafią dość jadowicie wyrażać się o alternatywnej medycynie. Myślałam, że się ze mnie naigrawasz.

- A nie chciałaś zostać lekarką? - spytał, bo jemu nigdy do głowy nie przyszło, że mógłby wybrać inny zawód.

Rzuciła mu ostre spojrzenie, jakby podejrzewała ukrytą w tym pytaniu nagane, ale wyraz jego twarzy widocznie rozproszył te obawy, bo odpowiedziała spokojnie:

- Nie.

- Czemu? Trochę się zjeżyła.

- Choćbym nawet miała w szkole dostatecznie dobre stopnie, żeby się dostać na uczelnię, to i tak nie czułabym się dobrze w roli lekarki - odparła z pośpiechem. - Nie pochwalam wielu metod medycyny konwencjonalnej. Uważam, że leczenie czysto objawowe za pomocą toksycznych leków mija się z celem. Moim zdaniem trzeba leczyć człowieka, a nie chorobę.

- Ale przecież byłaś pielęgniarką.

- Bo wydawało mi się, że pielęgniarka to ktoś, kto opiekuje się pacjentami.

- A czy tak nie jest?

- Chyba niezupełnie. Kiedy zaczęłam pracę, rzeczywistość przeszła moje najgorsze oczekiwania. Zaraz po skończeniu szkoły musiałam się zajmować całym szpitalnym oddziałem. Czasem oprócz mnie nie było na dyżurze żadnej dyplomowanej pielęgniarce. Nie miałam czasu dla pacjentów. Nie mogłam nimi porządnie się zająć, bo musiałam wypełniać formularze, obsługiwać komputery, nadzorować studentów, przedstawiać budżet do zatwierdzenia. - Z napiętą twarzą opowiadała o swym rosnącym zwątpieniu. - Właściwie nikomu nie potrafiłam pomóc. Oprócz ziołarstwa nauczyłam się aromaterapii i masażu, bo myślałam, że będę mogła użyć tych technik w szpitalu, ale nigdy nie znalazłam na to czasu. Staralam się tylko przebrnąć przez każdy kolejny dzień, wspierając system, dla którego pieniądze były ważniejsze niż pacjenci. Nie chciałam w ten sposób żyć.

Ogarnęło go bolesne poczucie, że właściwie ją rozumie, bo w jej słowach słyszał echo własnych wątpliwości. Różnica polega tylko na tym, że Libby miała wybór, a on nie.

- No i w końcu zrezygnowałaś - stwierdził.

- Nie przyszło mi to łatwo - przyznała z wahaniem. - Katalizatorem okazała się śmierć babki. Zdałam sobie wtedy sprawę... - Uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Przepraszam. Niemożliwe, żeby cię to naprawdę interesowało.

- Mów dalej.

- Moja babka prowadziła tu bardzo proste życie. Pielęgnowała ogród, studiowała zielarstwo i opiekowała się kotami, ale była z tym wszystkim bardzo szczęśliwa i naprawdę pomagała ludziom. Po jej śmierci uświadomiłam sobie, że właśnie tak chcę żyć, - Spuściła powieki. - No i tak żyję.

Ze zdwojoną wyrazistością uzmysłowił sobie, jak mocno jest zakorzeniona w tym domu nad zatoką, i pozazdrościł jej spokoju ducha. Ale czyżby ani trochę nie tęskniła za miejskimi atrakcjami?

- Niczego nie żałujesz?

- Niczego - odparła po prostu. - Kocham to miejsce. Mogę spędzić z pacjentką godzinę albo i dwie, jeśli zajdzie potrzeba. A moja terapia pomaga, nie szkodząc.

- Daje się z tego żyć? - spytał, przekrzywiając głowę.

- Nie każę sobie płacić - odrzekła nieomal wyzywająco. - Ludzie przynoszą mi różne rzeczy. Warzywa z własnych ogrodów, owoce, wypieki, mięso dla kotów. Niektórzy dają mi pieniądze, a ja nie protestuję, skoro sami tak wolą, ale właściwie nie potrzebuję zapłaty. Moi rodzice byli dość zamożni. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, odziedziczyłam spory spadek. - Zmarszczyła brwi. - Mam nadzieję, że pochwaliliby moje postępowanie - dodała głosem dobiegającym jakby z bardzo daleka.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogli nie pochwalić - odparł, ochłonawszy ze zdziwienia. Gdyby rzeczywiście był pewien, że nad sobą zapanuje, chemie dotknąłby jej dłoni - ot tak, dla dodania otuchy - ale w końcu nie zdecydował się na to ryzyko. - Opowiedz mi o ziołach, Libby - poprosił.

- Sama je hodujesz?

Jej śliczna twarz rozpozodziła się.

- Owszem, wiele z nich. Pokazać ci ogród?

- Czemu nie? - Zsunął Williama z kolan, nie zważając na kocie protesty, i podszedł do frontowych drzwi.

Mijając ją, wyczuł dyskretny zapach jej perfum. Ta delikatna, kwiatowa woń wydała mu się ucieleśnieniem Libby. Zniewoliła go tak samo, jak

ledwie dostrzegalny ruch drobnych piersi pod bawełnianą koszulką, jak twarda wypukłość bioder i płynna smukłość ud pod dzinsami. Gdy szła wdzięcznym krokiem w stronę ogrodu, przez kilka sekund stał w drzwiach z kamienną twarzą, ogarnięty bolesnym pragnieniem, by jej dotknąć.

Paula i Alistair, powtórzył w myślach. Paula i Alistair. Zanim w ślad za Libby wyszedł na dwór, mruknął całkiem serio:

- Powinieneś wytatuować sobie te imiona na dłoni...

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W piątek wieczorem Libby nuciła, przygotowując kolację: zapiekany makaron i sałatkę. Miała za sobą udany dzień pracy, najważniejsze jednak było to, że na kolację przyjdzie do niej Nathan. Hołubiła tę myśl jak drogocenną nagrodę.

Upięła włosy w węzeł, wzięła Duncana na rękę i patrząc prosto w jego pomarszczony pyszczyk, oznajmiła:

- Nathan nie jest podobny do tych okropnych lekarzy, z którymi pracowałam. Nie ma takich kłapek na oczach.

Przez ostatnie dni coraz wyraźniej jej to udowadniał. Kiedy we wtorek poprosił, żeby go czegoś nauczyła, z początku podejrzewała, że powiedział to wyłącznie z uprzejmości, ale nie miała racji. Okazał się pilnym uczniem. Zaniedbał nawet swą pracę, żeby spędzić z Libby ostatnie trzy popołudnia. Czują wprawdzie nadal jego sceptycyzm, ale nie przesadził, kiedy wyznał, iż zawsze gotów jest dowiedzieć się czegoś nowego. Słuchał jej objaśnień i nigdy nie zachowywał się protekcyjnie. A ona kochała go do szaleństwa, aż jej ciarki przechodziły po skórze.

- Desperacko - rzekła do Duncana. - Desperacko...

Godziny spędzane z Nathanem przeżywała co prawda nieomal jak torturę, ale była to tortura słodka, elektryzująca. Libby miała wrażenie, że dopiero teraz ożyła. Postawiła Duncana na ziemi i przeciągnęła się, rozkoszując się zmysłowym, płynnym mchem własnych mięśni. Jej skóra jakby się przebudziła. Nawet lekki dotyk ubrania zdawał się nieść z sobą jakąś zakazaną, niebezpieczną przyjemność.

Z cichym westchnieniem opuściła rękę, bo uświadomiła sobie, że kocha bez wzajemności. Wiedziała, że Nathan musi wiedzieć o jej uczuciach; czasem cały się napinał i uważał, by nie dotknąć jej choćby przypadkiem. Pamiętała jednak jego pocałunek pod wodą i wspomnienie to napawało ją nadzieją, której czepiała się tak, jak wodorosty czepiają się skały.

- Trochę mnie lubi - oznajmiła Duncanowi, który czujnie słuchał, i włożyła sukienkę kupioną poprzedniego wieczoru w Truro, dokąd pod wpływem nagłego impulsu wybrała się po sprawunki. - A to już jest jakiś punkt wyjścia.

Nathan zastukał w okno i wszedł prosto do kuchni, akurat w chwili, gdy Libby kosztowała zapiekanki. Wyprostowała się niezręcznym ruchem, bo taksujące spojrzenie mężczyzny krępowało ją bardziej niż kiedykolwiek.

- O! Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

- Pospieszyłem się o parę minut - odparł stłumionym głosem. Miał na sobie znoszone dżinsy i niebieską koszulę, rozchełstaną na piersi. - Nie wiedziałem, że się stroimy. Chcesz, żebym się przebrał?

- Ależ skąd. - Nerwowym ruchem przyglądała lniąną sukienkę w kolorze bursztynu, bez rękawów, za to z wysokim kołnierzem i z wycięciem na plecach. Zauważyła, że Nathan z aprobatą mruży oczy. Nawet w tym codziennym stroju był tak przystojny, że burzyło to jej spokój. - Po prostu miałam ochotę dla odmiany włożyć coś innego niż dżinsy.

Zrobił powątpiewającą minę, ale nic nie powiedział, tylko pokazał jej butelkę czerwonego wina, którą przyniósł.

- Może być? - spytał.

- Jasne. - Znowu zaczęła się krzątać przy kuchence, bez potrzeby manipulując pokrętłami. - Korkociąg jest w górnej szufladzie. - Odczekała, aż rozlegnie się dźwięk wyciąganego korka, po czym odwróciła się i powiedziała przez ściśnięte gardło: - Zrobiłam tylko zapiekankę. Mam nadzieję, że lubisz.

- Uspokój się, Libby. - Spojrzał na jej dłonie, których niespokojne gesty klóciły się z wymuszoną lekkością tonu.

- Przez tyle dni jadłem zupy z puszek i kanapki, że zapiekanka będzie prawdziwą ucztą.

Libby schowała ręce za plecy i pośpiesznie rzekła:

- Trzeba było mi powiedzieć. Mogłam ci gotować...

- Przestań. - Minę miał rozbawioną, ale ton stanowczy.

- Nie po to o tym mówię. Nie potrzebowałam pomocy.

I nie chciał jej, pomyślała, czytając między wierszami.

- Nalać ci? - spytał, wskazując ręką wino.

Rzadko pijała alkohol, ale nie chcąc wyjść na jeszcze większą prostaczkę niż dotychczas, wzięła do ręki kieliszek, który jej podał. Ostrożnie upiła łyżeczek i wymamrotała jakiś ogólnikowy komplement, chociaż wino smakowało jej jak sfermentowany sok ze zbyt długo przechowywanych żurawin. Uważnym gestem odstawiła kieliszek, ignorując rozbawione spojrzenie Nathana, który pociągnął spory haust, a potem jeszcze jeden, rozkoszując się aromatem trunku.

- Wino jest bardzo zdrowe - zauważył. - Zmniejsza ryzyko chorób serca i obniża poziom cholesterolu.

- Lepiej spróbuj czosnku, owsa i żeń-szenia - odparła.

- Od nich przynajmniej nie mać się w głowie.

Roześmiał się.

- Czasem dla przyjemności warto zaryzykować - powiedział kpiąco. - Jesteś zupełną abstynentką?

- Ale gdzie tam - odrzekła sztywno, czując się nieswojo.

Czym prędzej wypła drugi łyk, a potem kilka następnych, zaskoczona, że ten niecodzienny napój tak ją piecze w podniebienie i język. - Wszystko dobre, byle w miarę.

- Rzeczywiście wszystko? - upewnił się, szelmowsko przechylając głowę.

Poczuła, że się rumieni, ale dzielnie spojrzała mu w oczy.

- Prawie wszystko - odparła, nie bardzo wiedząc, do czego może doprowadzić ta rozmowa. - W granicach rozsądku.

- A jeśli się zdarzy - powiedział, wpatrując się w nią przenikliwie - że coś wykracza poza te granice?

Zdając sobie sprawę, że w tej dziedzinie za nim nie nadąży, nerwowo umknęła spojrzeniem w bok. Usłyszała, że Nathan mruknął coś półgłosem, ale zaraz potem dodał tonem najzupełniej obojętnym:

- Wspaniale pachnie ta zapiekanka.

Skwapliwie korzystając z wymówki, którą jej w ten sposób podsunął, zwróciła się w stronę kuchenki i pochyliła nad naczyniem z zapiekanką. Potrawa była gotowa. Kiedy wyjęła ją z piekarnika, w powietrzu rozeszła się woń pomidorów, bakłażanów i oregano. Na wierzchu bulgotał roztopiony, zbrązowiły ser. Unikając wzroku Nathana, utarła jeszcze trochę parmezanu, a potem przyrządziła sałatkę. Nathan zaś, ku jej wielkiej uldze, zupełnie zmienił temat.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tej marunie, którą wyleczyłaś mnie z migreny - oznajmił. - Jeśli rzeczywiście rozszerza naczynia, można by ją podawać niektórym chorym z zaburzeniami krążenia. Chyba jeszcze ci nie mówiłem, że moją specjalnością jest właśnie chirurgia naczyniowa. Czy marunę zaczęto już stosować w produkcji leków?

- Podobno istnieje jakiś ekstrakt, który można dostać na receptę. Dziwne, że jeszcze o nim nie wiesz - dodała, marszcząc brwi. - W „Lancecie” już kilka lat temu był cykl artykułów na ten temat. Myślałam, że skoro tak, to widocznie medycyna konwencjonalna zaaprobowała marunę.

- W każdym razie do mnie ta wiadomość nie dotarła. Przynajmniej nie słyszałem o marunie w postaci ziela, chociaż niewykluczone, że znam

otrzymywane z niej leki, jeśli już je się produkuje. Na czym ma polegać jej działanie?

- Z moich książek wynika, że na rozszerzaniu naczyń. Jest też hipoteza, jakoby maruna hamowała uwalnianie czynników migrenotwórczych z białych ciałek i płytek krwi. Czy to wystarczająco naukowe wyjaśnienie?

- Nie jestem pewien, czy mi się podoba. Wydajesz mi się teraz mniej tajemnicza - odparł z uśmiechem.

Jego łagodne spojrzenie dziwnie ją wytrącało z równowagi, więc pospiesznie spuściła oczy. Jakby wyczuwając jej zakłopotanie, spytał rzeczowo:

- Wiesz, który składnik decyduje o działaniu?

- Jest ich kilka. Nie pamiętam konkretnych nazw, ale mogę sprawdzić - odparła ze spuszczoną głową, udając, że koncentruje się na papryce, którą krajała do sałatki. - Ale i tak ważna jest przecież cała roślina. Składa się z rozmaitych elementów, które się równoważą. Jeśli wypreparuje się jeden związek chemiczny, przepadnie cała harmonia.

Przelotnie spojrzała na Nathana.

- Oczywiście - powiedział lekkim tonem, uśmiechając się do niej. - Nie zapomniałem wczorajszej lekcji.

Odpowiedź ta przywróciła między nimi relację, w której pozostawali przez kilka ostatnich dni.

- Maruna działa też przeciwzapalnie - podjęła Libby - i antyprostaglandynowo, więc można ją stosować w przypadkach ostrego artretyzmu i do łagodzenia bólów miesięczkowych związanych z przekrwieniem macicy.

Poza tym skutecznie przyspiesza wydalanie łożyska.

- Imponujące - powiedział, unosząc brwi.

- Niestety, są też skutki uboczne - przyznała Libby. - Owrzodzenie jamy ustnej.

- A, to dlatego mnie pytałaś, kiedy byłem chory!

- No właśnie. - Wygarnęła resztę warzyw do dużej drewnianej salaterki. - Nie miałam w domu tynktury, tylko liście, więc gdyby się okazało, że jesteś uczulony, zastosowałabym zupełnie co innego.

- Czyli?

Postawiła salaterkę na stole.

- Na przykład lawendę albo rozmaryn. A może miętę. - Włożyła rękawice ochronne, przyniosła naczynie z zapiekanką i nałożyła Nathanowi obfitą

porcję. - Czasem najprostsze środki bywają najskuteczniejsze. Jest parę różnych leków przeciw migrenie, ale u pacjentów, którzy nie są uczuleni na marunę, najlepiej sprawdza się właśnie ona, chociaż raczej w profilaktyce niż w leczeniu. Miałaś szczęście, że tak na ciebie podziałała.

- A może po prostu była to dosyć lekka migrena.

Nie rozproszyła więc jego wątpliwości. Karcąc się w duchu za to, że w ogóle próbowała go przekonać, powiedziała:

- Oczywiście mogło tak być. Po kolacji pomógł jej posprzątać.

- Od jak dawna jesteś wegetarianką? - spytał.

Podniosła głowę znad naczynia po zapiekance, które właśnie szorowała. Jego pytanie spłoszyło ją. Nie pomyślała o tym, żeby go uprzedzić.

- Od urodzenia - odparła nieco zbity z tropu. - Pewnie spodziewałaś się, że na kolację będzie mięso. Przepraszam.

Wzruszył ramionami, jakby na znak, że nie jest to problem, ale Libby poczuła się okropnie. Wiedziała, że mięsożercy przyzwyczajeni są jeść mnóstwo białka. Nathan był pewnie głodny po tak lekkim posiłku.

- Mam w lodówce trochę wołowiny - rzekła pospiesznie. - Monica przynosi ją dla kotów, ale zawsze kupuje najlepszą.

- Spokojnie - roześmiał się. - Najadłem się do syta. A zresztą nawet gdybym był głodny, nie naruszyłbym spiżarni tych potworów - dodał, zerkając na koty baraszkujące na podłodze. - Mogłoby im się to nie spodobać.

Z uśmiechem podała mu czysty talerz do wytarcia.

- Przesadzasz - powiedziała. - Lubią cię. Zacisnął usta i nagle atmosfera zrobiła się cięższa.

- Nie znają mnie - odparł.

Libby poczuła napięcie. Koty znały go równie dobrze jak ich pani, która go kochała.

- Naprawdę cię lubią - zapewniła go. - I to bardzo.

- Znają mnie bardzo mało. Podobnie zresztą jak ty. Unikając jego spojrzenia, wyciągnęła ze zlewu zatyczkę i spuściła wodę, a potem zdjęła gumowe rękawiczki.

- Jesteś dla nich dobry - rzekła nerwowo. - Głaszczesz je i bawisz się z nimi piłką. Koty właśnie na tej podstawie oceniają ludzi.

Nathan rzucił ścierkę na wieszak, podszedł do Libby i z posępną miną powiedział:

- Ale byłyby to gruby błąd, gdybyś ty mnie oceniała według kocich kryteriów.

- Jeszcze nigdy nie byłeś dla mnie niedobry.

- Jesteś niewiarygodnie naiwna - stwierdził.

- Nie jestem dzieckiem - zaprotestowała z niechęcią. Oczy mu pociemniały, gdy omiótł ją taksującym spojrzeniem, które pozostawiło na jej skórze piekące smużki.

- Widzę. - Zatrzymał wzrok na jej ustach, aż poczuła, że nabrzmiwiają. - W tej sukience i fryzurze wyglądasz prawie na swoje lata.

Zaczerwieniła się i drżącą dłonią spróbowała przygłodzić węzeł na czubku głowy, nie bardzo rozumiejąc, czemu nagle żałuje, że nie została w dżinsach.

- To dobrze - odparła.

- Rozpuść je - zażądał, patrząc na jej włosy. Zamarła. Fala gorącej krwi uderzyła jej do głowy. Nigdy jeszcze tak do niej nie mówił, nigdy. Ten półgłosem rzucony rozkaz sprawił, że powietrze między nimi stało się nagle ciepłe i ciężkie.

- C.co? - wyjąkała. Ani drgnął.

- Włosy, Libby. Rozpuść je - powtórzył.

Bezwolnie sięgnęła ku spince, ale zamiast ją zdjąć, spojrzała na niego, jakby mimo całego oszołomienia próbowała zrozumieć, co się właściwie dzieje.

- Dlaczego? - spytała.

- W ten sposób łatwiej mi będzie pamiętać, że nie jesteś aż taka dorosła, jak się chwilowo wydaje - odrzekł posepnie.

Wyraźnie zniecierpliwiony jej opieszałością, odtrącił jej dłonie i paroma pociągnięciami rozwiązał węzeł. Włosy spłynęły na jej ramiona ciężką, swobodną kaskadą. Libby zaparło dech, kiedy jedwabście musnęły ją po nagich plecach. Nathan zmrużył oczy, jakby odgadł jej uczucia.

- Ależ ty jesteś zmysłowa - powiedział cicho. - Jak ten Alistair to robi, że jeszcze się do ciebie nie dobrał?

- Przyjaźnimy się - odrzekła głucho. - Tylko tyle. Zacisnął usta, jakby zirytowała go ta odpowiedź.

- Za dwa tygodnie przyjedzie i wszystko wróci do normy.

- Bo ty wrócisz do Londynu - szepnęła, dodając to, co on przemilczał. - Ale na razie tu jesteś. Chcesz mnie pocałować?

- Nie. - Podniósł jednak rękę i delikatnie przesunął palcem po wardze Libby. Rozchyliła usta, a on zawadził paznokciem o jej zęby. - Każ mi

odejść - zażądał, lecz nie potrafiła się na to zdobyć. - Nawet nie wiesz, o co pytasz - dodał, popychając ją lekko, aż oparła się o kant kamiennego blatu.

Ale ona wiedziała, o co pyta. Nathan chwycił ją za biodra i posadził na blacie, tak że ich głowy znalazły się na tej samej wysokości.

- Libby - szepnął - jesteś bardzo piękna i pociągająca, ale cię nie tknę. Nie mogę.

Z zapartym tchem, doprowadzona nieomal do obłędu własną śmiałością, wzięła go za rękę i położyła ją na swojej piersi. Przez chwilę się wzbraniał, ale potem jego palce wolno objęły miękką wypukłość.

- No widzisz, jednak możesz - szepnęła, słysząc własne słowa, jakby wymówił je ktoś inny, jakaś osoba pewna siebie i kobieca.

Zamknęła oczy, skupiając się na reakcjach swojego ciała, odurzona upojnie słodkim dotykiem mężczyzny, i odchyliła głowę do tyłu. A kiedy Nathan musnął jej pierś, poczuła, że gdzieś głęboko w niej samej poruszyły się cieniuteńkie struny odczuć. Przyciągnęła do siebie jego głowę, nie bardzo rozumiejąc, czego właściwie potrzebuje, ale zdając sobie sprawę, że tylko on może jej to dać.

Stał z pochyloną głową, nie zbliżając się do niej, i wciąż jeszcze jej nie pocałował. Przybliżył za to usta do jej szyi, policzków, uszu, pogłaskał piersi, aż rozplomieniła się i zaczęła błagać o więcej. Wciąż jednak nie chciał jej pocałować. Sunął tylko ustami tuż przy jej skórze, tak blisko, że czuła ciepło jego oddechu. Ona sama właściwie już nie oddychała, lecz urywanie dyszała. Wyprężyła się, usiłując dosięgnąć ustami jego ust, ale pozwolił się pocałować tylko w podbródek. Ogarnęło ją bolesne łaknienie, tęsknota za dotykiem jego warg, zapamiętanym z morskiej kąpieli.

Stojąc wciąż w tej samej odległości, chwycił ją dłońmi za uda. Podparła się od tyłu rękami i wygięła w łuk. Utkwił w jej oczach natarczywe spojrzenie, jakby pytał, czy może, ale ona przecież niczego by mu nie odmówiła. Patrzyła bez tchu, jak podwija jej sukienkę, odsłaniając kolana. Spuścił wzrok i wolno rozchylił jej nogi. Kiedy znów podniósł oczy, twarz miał pociemniałą, lecz jej wyraz był nieodgadniony. Oboje dyszeli, lecz Libby widziała, że Nathan panuje nad sobą, i to ją przerażało. Nagle poczuła chłód. Wyprostowała się, patrząc na jego dłonie zaciśnięte na swoich napiętych udach, i zdziwiła się, że marznie, chociaż on jej dotyka.

- Nie mogę, Libby. - Słowa te wbiły się niczym ostrze w jej serce. - Chcę, jasne, że chcę, ale nie jestem wolny.

Poczuła się, jakby nagle uszło jej z płuc całe powietrze. Oboje na chwilę znieruchomieli, a potem Libby wybuchnęła szlochem. Czar prysł, a Nathan nagle jakby sobie uświadomił, w jak niestosownej, wręcz nieprzyzwoitej pozycji Libby siedzi, i pozwolił jej złączyć nogi. Odczekał parę sekund, obserwując ją z chłodną uwagą, a ona wiedziała, że dostrzegł wszystko: jej bladość, ból, zażenowanie, a zwłaszcza wstyd.

- Jesteś żonaty? - spytała zdławionym głosem.

- Jestem... z kimś związany - odparł. - Myślimy... o małżeństwie. Ona ma na imię Paula. Przyjedzie tu na weekend. Pewnie jest już w drodze.

- Nie uprzedziłeś mnie - szepnęła. - Gdybym wiedziała, że masz dziewczynę, nigdy bym... Nie wiedziałam.

- Przepraszam.

Podniosła głowę. Ból był niewyobrażalny, ale nie chciała, żeby Nathan ujrzał całą jego dojmującą głębię.

- Kochasz ją? - spytała. Pokręcił głową.

- Pasujemy do siebie.

- Ale skoro jesteś tego taki pewien, to po co...? - Bezradnie uniosła rękę. - Po co to wszystko? I po co ja?

- Seks, Libby. - Usłyszawszy to słowo, zadrżała, lecz Nathan mówił dalej.

- Jesteś czarująca, delikatna i pociągająca. Chcę cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. A dzisiaj... przestałem panować nad sobą. Po tym, co zaszło w zeszłym tygodniu, postanowiłem, że już cię nie dotknę. W ogóle nigdy nie powinienem był cię dotykać.

- Nathan, ja cię kocham...

- Nie. - Zasłonił dłonią jej usta. - Nie mów tak - rzekł cicho, lecz stanowczo. - Rozumiem, że może ci się tak wydawać, ale mylisz się. Opowiedziałas mi o swoim życiu. Oprócz Alistaira jestem zapewne jedynym mężczyzną, z jakim w ciągu ostatnich dwóch lat spędziłaś trochę czasu. To naturalne, że zbudziły się w tobie takie uczucia, ale po moim wyjeździe zaczniesz sobie uświadamiać ich płytkość i ulotność. Nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną. Musisz znaleźć jakiegoś rówieśnika, który mieszka w tej okolicy. Ktoś taki jak ja próbowałby cię wyrwać z twojego środowiska i zniszczyłby ci życie. Nie mógłbym ci tego zrobić. Nie wiem, czy to dla ciebie jakakolwiek pociecha, ale nigdy nie daruję sobie tego, co zaszło między nami dziś wieczór.

Libby poczuła, że ogarnia ją bezwład. Nathan mylił się, sądząc, że jej miłość to uczucie chwilowe, zbudzone wyłącznie dzięki temu, że znała w

życiu niewielu mężczyzn. Kochała go za to, jaki był, za jego ciepło i dobroć; za to, jak się śmiał; za to, jak ona sama czuła się, kiedy na nią patrzył. Jej miłość wcale nie wzięła się z rozpaczyny ani z samotności, bo jednej ani drugiej nigdy dotychczas nie odczuwała.

- Proszę cię, nie obwiniaj się. W gruncie rzeczy nic się nie stało - szepnęła, gdy podniósł głowę. - Nawet mnie nie pocałowałeś. No i wypiliśmy prawie całą butelkę wina. Zresztą, sama cię przecież zachęcałam. Cóż, takie rzeczy się zdarzają.

Jej słowa wcale go nie pocieszyły. Wręcz przeciwnie: twarz wykrzywił mu wyraz rozpaczyny. Wszedł, nie mówiąc już ani słowa, nie zamykając za sobą drzwi. Kiedy same się zatrzasnęły, Libby bezsilnie oparła się o ścianę, spowita mgiełką bolesnej samotności.

Paula nigdy przedtem nie była w Kornwalii, więc nazajutrz po południu Nathan zabrał ją na przejażdżkę po wybrzeżu. Był ciepły, wiosenny dzień. Od morza nadciągał leciuteńki wietrzyk. Przez godzinę spacerowali po malowniczym St. Ives, a później pojechali na północ, zaparkowali auto przy plaży w pobliżu Newquay i patrzyli, jak młodzi ludzie na deskach surfingowych żwawo uwijają się wśród fal.

- Woda musi być lodowata - wzdrygnęła się Paula. - Jak oni wytrzymują?

Nathan spojrzał na nią z ukosa. Wyobraził sobie nagle Libby, wyłaniającą się z morza w pełnym blasku swojej nagości. Skarcił się w duchu za tę wizję.

- Nie lubisz pływać? - spytał.

- Owszem, w Morzu Śródziemnym - odparła, po czym dodała ze znaczącym spojrzeniem: - Gdyby nie to, że mój organizm odwołał próbny alarm, moglibyśmy pojechać tam na miodowy tydzień.

- Chyba nie byłbym zbyt dobrym mężem - westchnął.

- Co ty wygadujesz! - odrzekła, wydymając kształtne usta. - Jesteś znakomitym materiałem na męża.

- Przerażająco techniczne określenie. Tak właśnie mnie widzisz?

- Ależ, kochanie, przecież to prawda! Z pewnością nie ja pierwsza ci to mówię. Wiesz, że bym ci nie odmówiła, nawet i bez dziecka. Bardzo do siebie pasujemy.

- Tak, wiem. Daj mi czas do namysłu, Paula.

- Oczywiście. - Pochyliła się ku niemu i pocałowała go, muskając go palcem po udzie. Ale jego ciało pozostało obojętne. - Strasznie jesteś dzisiaj ponury, kochanie - szepnęła. - Bardzo to podniecające. Może byśmy skoczyli do naszej kryjówki?

Była to ostatnia rzecz, na jaką Nathan miał ochotę. Próbując ukryć przed Paulą swój brak zainteresowania, niby to pieszczotliwym gestem chwycił ją za palec, który trzymała na jego udzie.

- Później - odparł. - Przejdźmy się po miasteczku. Zdołał odwlec powrót nad zatokę aż do późnego wieczoru.

Na kolację zjedli przepyszne owoce morza w prostej restauracyjce na północnym wybrzeżu Kornwalii. W drodze powrotnej wspomniał, że chciałby odtąd mniej poświęcać się pracy w szpitalu, zostawić sobie tylko pół etatu, a za to rozpocząć prywatną praktykę. Paula przyjęła to z zachwytem. No i nic dziwnego, skoro od lat namawiała Nathana, żeby tak właśnie postąpił.

- Kochanie, może byś zaczął w Leighton? - zaproponowała. Sama robiła już tam kilka zabiegów tygodniowo. - Mają świetny sprzęt, a kiedy Raymond przejdzie na emeryturę, moglibyśmy pracować razem.

Uznał, że to niezły pomysł, gdyby rzeczywiście zdecydował się odejść z państwowej służby zdrowia.

- A nigdy nie miewasz wątpliwości co do moralnego aspektu prywatnej praktyki?

- Masz takie staroświeckie zasady, Nathan - roześmiała się. - Przyszłość należy do lekarzy prywatnych. No i pomyśl o pieniądzach, chociaż to może brzmi brutalnie. W Leighton przez dwa dni zarabiam więcej, niż zarobiłabym w państwowym szpitalu przez dwa tygodnie na pełnym etacie. We dwoje zbijemy fortunę!

Jej zaprzątnięcie finansową stroną sprawy wydało mu się obrzydliwe, znał jednak Paulę dość dobrze i wiedział, że nie warto dyskutować. Celowo zmienił temat, co mu się chwilowo powiodło. Trudniej jednak było później odwieść ją od rozmowy o seksie. Tuż po północy weszła do pokoju, w którym siedział przy komputerze. Spod przezroczystej koszuli nocnej prześwitywało jej ciało, napięte i zniecierpliwione.

- Co się z tobą dzieje, kochanie? - spytała, z urazą wydymając usta. - Jeszcze nie dojrzałeś, żeby się położyć?

- Muszę to dokończyć - odparł, zdejmując jej dłonie ze swych ramion. - Przepraszam cię, późno się dzisiaj położę.

- Ależ, kochanie - zaprotestowała. - Nie byliśmy ze sobą ponad miesiąc.

- Przepraszam - powtórzył. Nie cierpiał uciekania się do wymówek; wolałby po prostu zignorować Paulę, to jednak było niewykonalne. -

Utknąłem w trudnym punkcie. Nie czekaj na mnie. Wczoraj zasiedziałem się aż do świtu.

Owszem, siedział do świtu, pochłonięty wcale nie pracą, lecz posepnymi rozmyślaniami. Nie miał jednak zamiaru zwierzać się z nich Pauli.

- No to dobranoc - odrzekła wyniośle, obróciła się na pięcie i wyszła.

Koło czwartej rano Nathan rzucił się na kanapę i zasnął. Obudził go plusk wody lecącej z prysznica. Najwidoczniej Paula była już na nogach. Wstał, wciągnął sweter i poszedł zaparzyć herbatę. Plusk wody ucichł. Nathan usłyszał, że Paula wraca do sypialni, a w chwilę potem jej obcasy zastukały po podłodze kuchni.

- Zjemy śniadanko, kochanie? - spytała radośnie, chociaż spodziewał się wybuchu słusznego gniewu.

- Najpierw wezmę prysznic - odparł ociężale i ruszył w stronę drzwi. - A potem będziemy musieli porozmawiać.

- Nie ma pośpiechu. - Na jego mroczne spojrzenie odpowiedziała miłym uśmiechem. - Mam nadzieję, że nie zużyłam całej ciepłej wody.

Choćby nawet zużyła, i tak nie miałyby to znaczenia, bo Nathan puścił na siebie lodowaty strumień i stał pod nim, póki całkiem nie zdrętwiał. Kiedy wszedł do sypialni, wciągnąwszy dżinsy i koszulę, nie było tam po Pauli ani śladu. Śniadanie stało nietknięte. Boso wyszedł do ogrodu.

- Paula? - zawołał. Nie było odpowiedzi.

Poszedł na sam skraj urwiska, spojrzął na plażę i zaklął. Paula stała daleko, przy stosie drewna wyrzuconego przez morze - ale nie była sama. Nathan pognał na dół.

Biegając plażą, widział, że Paula, zwrócona do niego plecami, rozmawia z Libby, która stoi ze zwieszoną głową i go nie widzi. Dostrzegły go za to jej koty. Stały przy swojej pani jakby na straży, lecz gdy podbiegł bliżej, trochę się uspokoiły, a w każdym razie przestały się jeżyć.

Jego nagłe przybycie spłoszyło obie kobiety, a zwłaszcza Libby, która miała na sobie kostium kąpielowy, a talię przewiązała sobie ręcznikiem. Przez wilgotną tkaninę przebijały jej twarde piersi, mokre włosy opadały na ramiona i plecy. Choć jednak nadal wydawała mu się najpiękniejszą istotą na ziemi, widział, że jest zdenerwowana. Ponuro spojrzął na Paulę, zastanawiając się, co też takiego powiedziała, że doprowadziła Libby do tego stanu.

- Przepraszam, kochanie - rzekła Paula, całując go w usta, jakby byt jej własnością. Jedną dłoń prowokacyjnym gestem oparła mu na udzie i nagle znieruchomiała, bo wyczuła, jak jest podniecony. - Tęskniłeś za mną?

Zobaczył, że Libby przymyka oczy, i zrobiło mu się mdło.

- Właśnie się poznałyśmy - ciągnęła Paula. - Nie mówiłeś mi, że masz taką interesującą sąsiadkę. Libby potrafi przyrządzać najrozmaitsze tajemnicze mikstury. Poprosiłam, żeby mi przygotowała eliksir miłosny, ale potem sobie przypomniałam, że i bez tego bywasz dziko namiętny. - Znowu zawadziła palcami o suwak jego dżinsów. - Więc właściwie nie potrzebuję eliksiru, prawda?

- Przestań, Paula. - Chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał, zdając sobie sprawę, że cała historia zbacza na jakiś fatalny tor. - Jak się czujesz? - spytał Libby.

- Trochę mnie boli głowa - odparła cicho, unosząc ku skroni smukłą dłoń, a on ledwie zdołał się powstrzymać, żeby jej nie chwycić w objęcia.

- Ojej! - westchnęła Paula. - Lepiej schowaj się w cień. Nathan łypnął na nią wściekle, a potem znów spojrzął na Libby. Była roztrzęsiona i niewiarygodnie krucha.

- Odprowadzę cię do domu - rzekł cicho.

- Nie! - zawołała, wyciągając rękę przed siebie, jakby chciała go odepchnąć, a on wzdrygnął się, widząc w jej oczach autentyczne przerażenie.

- Nie jest aż tak źle.

- No to radź sobie sama - zdecydowała Paula. - Chodź, Nathan - dodała, biorąc go pod rękę. - Nie dręcz małej.

Czyżby ją dręczył? Unikając jego spojrzenia, Libby schyliła się, żeby wziąć na ręce jednego z kotów.

- Nic mi nie będzie - powiedziała stłumionym głosem, wciskając usta w futro. - Miłego dnia.

- O, na pewno będzie miły - odparła Paula. - Nawet jeżeli mi się nie uda wyciągnąć Nathana z sypialni.

Nathan zmarszczył brwi. Na chwilę ogarnęło go takie oszołomienie, że nie przyszła mu na myśl żadna riposta, a Paula zdążyła tymczasem powiedzieć:

- Nie bądź takim świętoszkiem, kochanie. Libby na pewno jest już uświadomiona. Przecież to całkiem spora dziewczynka.

Poczuł, że robi mu się gorąco.

- Dostyc tego - rzekł, widząc, że Libby jest bliska zemdlenia. - Przepraszam - szepnął, ale niczym nie okazała, że go słyszy.

Odwróciła się ku morzu, a on pociągnął Paulę w stronę ścieżki. Dopiero gdy wrócili do domu, rzekła z zimnym uśmiechem:

- No, no. Cicha woda brzegi rwie. Wakacyjny romans. A jaka ona młoda! Wręcz niebezpiecznie. Myślisz, że w ten sposób objawia się u ciebie kryzys wieku średniego?

Nathan skrzywił się.

- Nawet jej nie dotknąłem.

- Ale wyraźnie widać, że chciałbyś. Oparł się o ścianę i zamknął oczy.

- Paula... - zaczął.

- Tylko się nie usprawiedliwiał - przerwała mu. - Proszę cię. Żadnych wyznań, żadnych bólów. Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie. Jestem jak najdalej od tego, żeby ci radzić, jak powinieneś żyć, ale chyba szczęśliwie się złożyło dla nas obojga, że tu przyjechałam, nie sądzisz?

Poszła do sypialni, a on podążył za nią i patrzył, jak zbiera swoje kosmetyki i przybory toaletowe.

- Jestem pewna, że gdybym była w ciąży, postąpiłbyś szlachetnie, ale na szczęście nie musisz. - Zapięła suwak walizki i wyprostowała się, posyłając Nathanowi jeszcze jeden chłodny uśmiech. - Nie masz nic do powiedzenia?

- Tylko tyle, że jest mi przykro. Nie musisz wyjeżdżać. Chciałaś przecież spędzić tu weekend, więc zostań. - Jeszcze wczoraj przypuszczał, że może Paula jednak jest w ciąży, toteż wymyślił, że w poniedziałek wieczorem odwiezie ją do Londynu, a swój samochód zostawi w miejscowym garażu i każe potem dostarczyć do miasta. - Pojedziemy gdzieś na wycieczkę, zjemy coś. Będę dzisiaj spał w drugiej sypialni.

- Nie sądzę, kochanie. - W przelocie poklepała go po policzku. - Strasznie jesteś spięty - zauważyła. - To pewnie szaleństwo hormonów tak na ciebie działa. Lepiej prześpij się chociaż raz z tą dziewczyną. Inaczej nigdy ci nie przejdzie. Wierz mi, znam mężczyzn.

Zgrzytnął zębami, po czym wziął do ręki walizkę Pauli, otworzył drzwi, przepuścił ją przodem i ruszył za nią do auta. Kiedy otworzyła bagażnik, włożył do niego walizkę i poczekał, aż Paula wsiądzie.

- Mimo wszystko chętnie za ciebie wyjdę - oświadczyła, wyraźnie ubawiona jego drętwą miną - jeżeli mnie poprosisz. Kiedy po wakacjach wrócisz do Londynu i będziesz już miał za sobą tę... awanturkę. Widzisz, jestem bardzo praktyczną kobietą, a z takiego smakowitego kąska jak ty niełatwo się rezygnuje. Zastanów się, kochanie.

Nathan poczuł, że rysy twarzy mu tężeją. Zatrzasnął drzwiczki, ledwie się hamując.

- Jedź ostrożnie, Paula - powiedział.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy Nathan odszedł z kobietą, którą najwidoczniej zamierzał poślubić, Libby osunęła się na piasek. Siedziała skulona, odruchowo głaszcząc Duncana, utkwivszy w morzu nie widzące spojrzenie. Minęło wiele czasu, zanim na piasku wylądował William, przyniesiony przez Nathana.

- Przyszedł po mnie - rzeki Nathan cicho i usiadł przy niej. - Przepraszam cię, Libby.

- Twoja narzeczona jest bardzo piękna - odparła, spoglądając w stronę ścieżki zaczerwienionymi oczami. - Ustaliliście już datę?

- Nie. - Wzruszył ramionami, jakby sam nie bardzo był pewien. - W tej chwili nie chcę nawet myśleć o Pauli, ale potem...? Kiedy już wrócę do swojego życia...? Prawdę mówiąc, Libby, nie wiem, co się jeszcze wydarzy.

- Została w domu Alistaira?

- Wróciła do Londynu. - Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się. - Szkoda, że zeszła na plażę. Miałem nadzieję nie dopuścić do tego. Nie chciałem, żebyście się spotkały.

Libby puściła Duncana, żeby mógł ruszyć śladem swojego brata w stronę ścieżki.

- Nie spodobałam się jej - powiedziała.

- Nie. - Nathan przechylił się do tyłu, podpierając się łokciami. - Nie zwracaj nią sobie głowy.

- Nie powiedziałam nic złego - zapewniła go czym prędzej. Powinien wiedzieć, że niczego tej kobiecie nie zdradziła, nie wspomniała o wydarzeniach ubiegłego wieczoru. - Nie rozumiem, dlaczego tak się złościła...

- Była zła na mnie, a nie na ciebie, Libby.

- Ale czemu? Przecież nic jej o tobie nie mówiłam.

- Nie musiałaś. Daj spokój, nawet ty nie jesteś chyba aż tak naiwna. Sama zauważyła, jak na ciebie reaguję. - Wyczuwając jej powątpiewanie, chwycił ją za Tekę i położył ją na udzie. - Dotknij, Libby. Teraz już wiesz, co mi robisz?

Wyrwała mu dłoń, zaszokowana twardością, którą wyczuła pod palcami, a on dodał łagodniejszym tonem:

- Widzisz, to nie twoja wina, tylko moja.

- Ale...

- Żadne ale. - Usiadł prosto, obejmując rękami kolana. - Wczoraj powiedziałem ci, że cię pragnę. Gdybyś nie była takim niewiniątkiem, od początku byś to zauważyła.

W myślach Libby powstał taki zamęt, że głowa ją rozbolała, lecz jedno przynajmniej wydawało się oczywiste. Nathan jej pragnie. Nawet jeśli kocha tę swoją Paulę, zarazem pragnął Libby.

- I... i co ona na to?

- Uważa, że przeżywam kryzys wieku średniego. Spłoszyła na twarzy, gdy spostrzegła jego niewzruszone spojrzenie.

- Jesteś na to za młody - odparła.

- Nieprawda. Myślę, że Paula ma rację.

Mężnie spojrzała mu w oczy. Wiedziała wprawdzie, że tym sposobem odsłoni przed nim każdą ze swoich potajemnych tęsknot, ale już było jej wszystko jedno.

- Chce, żebyś stąd wyjechał? - spytała.

- Wręcz przeciwnie. Radziła, żebym się z tobą przespał. Twierdzi, że tylko tą metodą zdołam się od ciebie uwolnić.

Serce Libby raptownie załomotało.

- I co? Prześpisz się ze mną?

- Czy to nie zależy od ciebie?

- Chyba chciałabym - szepnęła. Nawet świadomość, że Nathan wróci od niej do Pauli, niczego nie zmieniała.

- Libby, jesteś bardzo młoda...

- Jestem dorosła!

Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie zdawała sobie sprawy ze swej dorosłości, a kiedy poczuła, że Nathan przysuwa się do niej, kiedy oparł dłonie na jej ramionach i delikatnie przytulił ją do piersi, serce zaczęło jej bić tak głośno, iż ledwie słyszała głos mężczyzny.

- A Alistair? - spytał z ustami przy jej uchu. Zamknęła oczy.

- Bardzo się przyjaźnimy - odparła - ale bez względu na to, co ci naopowiadał, nic między nami nie zaszło.

- Kazał mi traktować cię z szacunkiem - szepnęła, przelomie zaciskając palce na jej dłoni. - Twierdził, że jesteś największą miłością jego życia.

- Cały Alistair. Wiecznie żartuje. Znasz go przecież. Lubi zimne blondynki. - Serce jej nagle ścisnęło się, gdy zdała sobie sprawę, że sądząc po tym, jaki typ reprezentuje Paula, Nathan podziela upodobania brata. - Nie zauważyłeś?

- Gusta się zmieniają - odrzekł po prostu. Nie wiedziała, jak go przekonać.

- Nigdy nie próbował mnie ani pocałować, ani dotknąć - oznajmiła, przechylając głowę do tyłu, by spojrzeć na Nathana. - Nigdy nic mi nie wyznawał. Znam go dwa lata. Gdyby się mną interesował, coś bym chyba zauważyła, nie sądzisz?

- Mojego zainteresowania jakoś nie wyczułaś - przypomniał jej, mrużąc oczy.

- Alistair nie jest aż taki... nieprzenikniony.

- Nieprzenikniony? - Wsunął dłoń pod jej kostium kąpielowy, chwycił jej pierś i przyciągnął do siebie. Od niewiarygodnej poufałości tego dotyku dech jej zaparło. Przełknęła ślinę, czując, że natychmiast umrze, jeśli Nathan przestanie ją pieścić. Nagle obrócił ją, tak że położyła się twarzą na piasku, i przygniótł własnym ciężarem. - Nie kocham cię - powiedział z naciskiem, jakby bardzo zależało mu na tym, by zrozumiała. - Przynajmniej nie taką miłością, z jakiej mogłoby dla ciebie wyniknąć cokolwiek dobrego.

- Wiem.

Wsunął pod nią rękę i znów chwycił ją za piersi. Omal nie oszalała, czując dotyk jego dłoni, szorstkich od piasku.

- Nie wiesz, co mi robisz - rzekł ochryple. Przez kilka minut leżeli bez ruchu, a potem wstał i ją także podniósł.

- Chodźmy na górę, do domu - powiedział.

- Nie! - Nie mogła dopuścić, żeby stało się to pod tym samym dachem, pod którym był wcześniej z inną kobietą.

Skrzywił się, jakby odgadł powód jej nagłej zgrozy.

- Nie tutaj, Libby - rzekł, omiatając plażę melancholijnym spojrzeniem. - Nie teraz.

- No więc chodźmy do mnie. - Te małostkowe, praktyczne ustalenia brzmiały wręcz absurdalnie, wzięwszy pod uwagę ogrom tego, co zamierzali zrobić. - Łóżko mam co prawda jednoosobowe, ale wcale nie takie wąskie.

- Jesteś słodka - powiedział, czule patrząc jej w oczy. Pocałowała go w rękę, a on objął ją w talii i wolno poszli ścieżką pod górę. Na szczycie urwiska zawahał się.

- Muszę na chwilę zajrzeć do domu Alistaira - oświadczył. - Jeszcze masz czas się rozmyślić.

- Wróć, proszę - powiedziała.

Nie chciała bez niego wejść do środka, więc zaczekała na werandzie, przycupnąwszy na schodku z kolanami przyciśniętymi do piersi, na wpół

oszołomiona. Kiedy niedługo później wrócił, minę miał posepną, a gdyby nie to, że już trochę go znała, pomyślałaby, iż jest zdenerwowany. Podał jej rękę i pomógł wstać. Mimo widocznego w twarzy napięcia spojrzenie miało łagodne, więc trochę się rozluźniła.

- Chce mi się pić - powiedział. - Może zaparzysz trochę tej okropnej herbaty?

Zdołała lekko się uśmiechnąć.

- Dobrze - zgodziła się, czując nagle, że też musi się napić rumianku, by ukoić stargane nerwy. - Tu ją przyniosę.

On jednak nie został na werandzie, lecz w ślad za Libby wszedł do kuchni.

- Dużo poznałaś dziewczyn Alistaira? - spytał. Raptownie podniosła głowę znad czajnika.

- W sumie cztery czy pięć. A ty ich nie znałaś?

Nie odpowiedział, tylko przechylił głowę i pytał dalej:

- Czy na którejś mu rzeczywiście zależało?

- Nie sędzę. - Wsunęła włosy za uszy i pokręciła głową. - On chyba tylko się nimi bawi.

- Podoba ci się? - zapytał obcesowo. Postawiła czajnik na gazie i dopiero wtedy rzekła:

- Owszem. Jest bardzo przystojny. - Widząc pochmurną minę Nathana, dodała: - Ale to nie znaczy, że mnie pociąga. Zresztą już o tym rozmawialiśmy. Nic mnie z Alistairem nie łączy.

Założył ręce na piersi i oparł się o ścianę, posepnie wpatrując się w Libby.

- A gdyby się jednak okazało, że jest tobą zainteresowany, mogłoby was coś połączyć?

Żeby potem na każdej uroczystości rodzinnej spotykali Nathana i jego żonę? Była to nieznośna myśl.

- Nigdy - odparła.

Trochę jakby go to uspokoiło. Zmarszczki wokół jego oczu na chwilę się wygładziły, a ona zdała sobie sprawę, że Nathan naprawdę obawia się konsekwencji tego, co zamierzają zrobić. Najwidoczniej bał się, że jeśli Libby zwiąże się z jego bratem, w rodzinie zaczną się tarcia.

- Nigdy mu o nas nie powiem - obiecała, a kiedy z nieomal skruszoną miną umknął przed jej spojrzeniem, pomyślała, że trafnie odgadła powód jego niepokoju. Odpowiedział jej jednak tak zdecydowanym tonem, że zawahała się co do słuszności swoich domysłów:

- Możesz mu mówić, co chcesz. To nic nie zmieni.

- Twoja herbata - powiedziała, podając mu filiżankę. - Chciałbyś coś zjeść? Kanapkę?

- Nic mi nie trzeba. - Upił parę łyków gorącej herbaty, tylko trochę się krzywiąc.

Pili w milczeniu, lecz było to milczenie niezręczne, pełne napięcia. Libby zaczęła się bać, że Nathan jednak odejdzie. Parokrotnie otwierała usta, żeby go o to spytać, ale wydawał się całkowicie pochłonięty własnymi myślami, więc mu nie przerywała. Kiedy skończyli, wzięła od niego filiżankę i odwróciła się w stronę zlewu.

- Jest coś, czego ci dotąd nie powiedziałam - rzekła wreszcie, patrząc w stronę urwiska. - Zdaję sobie sprawę, że wczoraj wieczorem i przedtem na plaży zachowałam się może trochę... nieskromnie, ale nigdy jeszcze... chcę powiedzieć, że z tobą... będzie mój pierwszy raz...

- Nie szkodzi, Libby. Wiem - odparł, jakby ubawiony tym, że tak się tłumaczy, lecz gdy szybko się odwróciła i spojrzała na niego, miał nieodgadnioną minę.

Spuściła głowę, on zaś ani drgnął. Pomyślała, że widocznie zmienił zdanie. Już jej nie chce.

Znowu zajęła się zmywaniem, zaraz jednak usłyszała szuranie krzesła, na którym siedział, a już po paru sekundach objął ją w talii. Poczowała taką ulgę, że omal nie zemdląła.

- Włosy ci jeszcze nie wyschły - wymamrotał, trącąc nosem jej skroń. Odgarnął ciężkie pasma, szukając ustami jej szyi. Delikatnie polizał skórę, a potem leciuteńko ją ugryzł, nie wypuszczając Libby z objęć. - Smakujesz solą.

Przechyliła głowę do tyłu.

- Powinnam wziąć prysznic - powiedziała.

- Mim - mruknął.

Pochylił się i porwał ją w ramiona, a kiedy niósł ją do łazienki, odważnie całowała go w szyję. Odkręcił kran i nie czekając, aż popłynie ciepła woda, wstawił Libby pod zimny strumień, śmiejąc się, gdy zaczęła przenikliwie krzyczeć, wyrwana zimnem z błogostanu.

- Dobrze ci zrobi - zakpił, nie wypuszczając jej spod prysznica i chwytając za ręce, którymi usiłowała zakręcić kurek. - Przecież lubisz zimne kąpiele.

Ale woda w kranie była jeszcze bardziej lodowata niż w morzu. Libby w końcu się roześmiała, chociaż nie przestała się wyrывać, bo była przynajmniej w kostiumie kąpielowym, podczas gdy Nathan w dżinsach i

koszuli zmókł od stóp do głów. Szarpnęła go za rękę i wciągnęła pod prysznic.

- A masz! Dobrze ci tak! - zawołała z triumfem. Przycisnął ją do ścianki kabiny i poszukał ustami jej ust.

Kiedy potem podniósł głowę, dyszał równie szybko jak Libby. Woda zrobiła się tymczasem ciepła i w kabinie było tyle pary, że Libby widziała tylko jego. Na chwilę zostawił ją samą, uciszając jej protesty kolejnym upajającym pocałunkiem, ale po kilku sekundach wrócił, kompletnie nagi, a jej dech zapało, gdy ujrzała dowód jego żądzy. Znowu ją objął i tak pocałował, aż zakręciło jej się w głowie, a potem wyszedł z kabiny.

- Rozbierz się dla mnie, Libby - poprosił.

Wciąż jednak była onieśmielona, zawahała się więc, nie wiedząc, jak go zadowolić. W końcu nabrała odwagi i wolno zsunęła ramiączka kostiumu.

- Grzeczna dziewczynka - szepnął, ale tak cicho, że ledwie go usłyszała przez szum wody. Kiedy obnażyła piersi, dodał: - Więcej, Libby. Chcę cię widzieć całą.

Lecz gdy odsłoniła brzuch, opuściła ją odwaga. Zawahała się i błagalnie spojrzała na niego, a on, jakby wyczuwając jej lęk, natychmiast znów chwycił ją w ramiona.

- Jesteś piękna - mruknął z ustami przy jej ustach. - Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety.

Zaczął ją namydlać, równocześnie całując. Wodził dłońmi po jej plecach, piersiach, brzuchu - delikatnie, aż powoli ściągnął z niej kostium, podnosząc ją do góry, żeby mokra tkanina zsunęła się z nóg. Potem, nie przestając jej całować, pieścił dłońmi jej skórę, a gdy jego palce zawędrowały między jej uda, łazienka jakby zawirowała. Libby westchnęła i oparła się o ścianę.

- Nathan - szepnęła, nie bardzo rozumiejąc, co się z nią dzieje.

- Spokojnie - odparł, zniżając usta ku jej piersi. - Zdaj się na mnie. Niczym się nie przejmuj.

Wczepiła się oburącz w jego ramiona, śliskie od gorącej wody, bliska szaleństwa. Nathan ssał jej piersi, uwalniając ją od resztek zahamowań, ale najbardziej działał na nią delikatny nacisk jego dłoni: to właśnie pod wpływem tej pieśczoły dyszała, aż wreszcie nieprzytomny spazm niewiarygodnej rozkoszy zalał całe jej ciało, opróżniając mózg z wszelkich myśli, a płuca z powietrza. Bezwładnie osunęła się w ramiona Nathana, drżąca, obolała i bez tchu. Niejasno zdała sobie sprawę, że podnosi ją, opiera o ścianę i znowu namydla, dotykając palcami leciuteńko, nie tak, żeby

podniecić, lecz żeby ukoić. Usłyszała, że woda przestaje lecieć, i poczuła, że Nathan owijają ręcznikiem i mesie do sypialni.

Jak przez mgłę dotarła do niej kolejna fala piesszczot. Czuta, że jej znużone ciało reaguje na te muśnięcia, ale było to tak, jakby wszystko przytrafiało się jakiejś innej kobiecie, gdzieś daleko. Ledwie zauważyła, że na kilka sekund zostawił ją samą, a potem wrócił i delikatnie rozchylił jej uda, zanim wśliznął się między nie, prosto w leniwy żar. Nie czuła bólu, tylko mokre tarcie. Wsunął się w nią głęboko, a później usłyszała, że wypowiedział jej imię i opadł na nią wyczerpany. Objęła go, uśmiechnięta, a jej ciało zapadło w sen.

Obudziła się, czując, że Nathan lekko skubie ustami jej skórę. Kiedy się poruszyła, podniósł głowę. W ostatnich promykach dziennego światła, które wkradało się do pokoju, zobaczyła jego twarz.

- Jak się masz, śpiochu - powiedział. - Odpoczęłaś?

Kiedy napotkała wzrokiem jego rozbawione spojrzenie, poczuła, że całe jej ciało czerwienieje.

- Przepraszam - wyjąkała, nie wiedząc, gdzie oczy podziać.

- Nawet sobie nie zdawałam sprawy, jaka jestem zmęczona.

Roześmiał się cicho i delikatnie musnął jej policzek.

- Nie szkodzi - odparł, znów kładąc głowę na jej piersi.

- Jakoś sobie dawałem radę przez ten czas, kiedy spałaś.

Zamknęła oczy.

- Pewnie jesteś głodny - rzekła słabym głosem. Uniósł się nad nią, podpierając się łokciami.

- A ty jesteś głodna? - zapytał.

Pokręciła głową. Zaschło jej w ustach, kiedy pogodziła się z myślą, że tym, czego pragnie, wcale nie jest jedzenie.

- Ja też nie - podjął Nathan i zaczął ją całować. - Chcę się z tobą kochać, Libby. Teraz, już.

Oplotła go nogami, przyciągając bliżej do siebie.

- Ja też - szepnęła nieśmiało. Znowu wybuchnął śmiechem.

- Bezczelna! - zakpił, odgarniając jej włosy, które spadły na jej piersi. - Jak ci nie wstyd.

Uniosła się na łokciach i sięgnęła ustami jego ust, chwytając go za włosy, żeby być jak najbliżej.

- Nie przerywaj - poprosiła bez tchu.

On jednak uciszył ją, wyplątał się z jej nóg i pochylił się, by podnieść coś z podłogi.

- Chwileczkę - rzekł łagodnie, kiedy jęknęła z niezadowoleniem. Rozpieczętował małą paczuszkę i po kilku sekundach znowu wziął Libby w ramiona. Kiedy w nią wszedł, szczelnie otoczyła go swoim ciałem. Tym razem w kulminacyjnym momencie wygięła się w łuk, a jej okrzyk zmieszał się z jego westchnieniem. Zdyszani, rozgrzani, razem zapadli w głęboki sen bez snów. W nocy zbudziła się na chwilę i poczuła, że Nathan leży przytulony do jej pleców. Kochali się wtedy jeszcze raz - długo, bez pośpiechu, jakby godzinami - a potem znowu zasnęli.

Obudził się bardzo wcześnie, koło piątej, schwytyany w sieć pięknych włosów Libby. Przez jakąś godzinę leżał bez ruchu, patrząc, jak śpi. Twarz miała idealnie owalną, cerę gładką i jasną, z odrobiną uroczych piegów na małym nosku. Długie rzęsy, czarne jak sadza, kontrastowały z bladymi policzkami. Najbardziej wzruszała go jednak nie jej fizyczna uroda, lecz to, co ujrzał, kiedy otworzyła oczy: nieśmiały, tajemniczy wyraz, który oczarował go i zniewolił, tak że zapragnął dowiedzieć się o niej wszystkiego.

Jedno bowiem było oczywiste. Wbrew nonszalanckim radom Pauli jedna noc z Libby wcale mu nie wystarczyła: od samego patrzenia na nią przenikał go ból. Po jednej nocy pragnął jej bardziej niż przedtem. Liznął językiem kącik jej ust, a one posłusznie się otworzyły.

- Obudź się, kotku - mruknął, sięgając ręką do jej piersi, która też natychmiast zareagowała, aż poczuł, że napinają mu się uda. - Już rano.

Potem wrócił do domu Alistaira, by wziąć prysznic i się przebrać, a w godzinę później poszedł do Libby na śniadanie. Stwierdził, że chyba jest szczęśliwa. W oczach miała nieśmiały uśmiech, na policzkach lekki rumieniec, w ruchach leniwy wdzięk. Ucieszył się na ten widok, chociaż przecież wiedział, że nie zrobił dla niej nic, czego nie potrafiłby dokonać każdy w miarę doświadczony mężczyzna.

Bo też właściwie należałby jej się ktoś inny, przyznał w duchu, zdając sobie sprawę, że Libby - chociaż tak się zarzekała - niełatwo będzie znieść rozstanie. Była na to zbyt wrażliwa, zbyt bezbronna. Miał sobie za złe, że zlekceważył jej delikatność. Nie było już jednak odwrotu.

Libby właśnie niosła talerze do zlewu, a kiedy odwróciła się bokiem do Nathana, słońce prześwieciło jej bluzkę, ukazując zarys piersi. Poczuł, że pięści same mu się zaciskają.

- Libby? - odezwał się cicho.

Odwróciła się w jego stronę, a on ujrzał w jej twarzy najpierw zaskoczenie, potem zaś radość, która niezmiernie go wzruszyła. Jednym płynnym ruchem zdjęła bluzkę przez głowę i włosy spłynęły jej na piersi. Nathanowi zaparło dech na widok tego gestu, w którym było tyle pewnej siebie kobiecości. Dałby jej wszystko na świecie - wszystko, czego by zapragnęła, ale miał do zaofiarowania tylko siebie. Bez słowa wziął ją w ramiona i zaniósł z powrotem do sypialni.

Poszli potem na spacer wzdłuż urwiska, ścieżką, która mijała po drodze kilka kolejnych zatok. Co pewien czas przystawali i całowali się, a kiedy ruszali dalej, trzymali się za ręce, żeby przynajmniej w ten sposób się dotykać.

Dzień był chłodniejszy niż poprzednie, oboje mieli więc na sobie dzinsy i wełniane swetry. Późniejszym popołudniem wiatr się wzmógł, zrobił się wręcz porywisty. Przy którymś szczególnie silnym podmuchu Libby ze szczerym zachwytem zadarła głowę, wdychając świeżą woń morza i wilgoć słonej piany.

- Cudownie! - zawołała. Jej zielone oczy miały iskry, a włosy unosiły się na wietrze niby ciemny, jedwabny żagiel. - Prawda, że wspaniale?

Nathan roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Ty wariatko - powiedział, całując ją w usta. - Normalni ludzie nie lubią wietrznej pogody.

Przy trzeciej z kolei zatoce zeszli na plażę. Zaczął się odpływ, ale morze wciąż było wzburzone. Nathan zdał sobie sprawę, że oboje celowo przedłużają ten upajający spacer, by po powrocie do domu tym bardziej cieszyć się niczym nie ograniczoną bliskością.

Zanim wreszcie wrócili, ciemne, złowrogie chmury przesłoniły niebo i rozszałała się wichura. Wbiegli ścieżką na górę i wpadli do domu. Nathan najchętniej wziąłby Libby natychmiast, w kuchni na podłodze. Wiedział jednak, że nie czułaby się bezpieczna, pohamował się więc i zaniósł ją do sypialni.

Kiedy nazajutrz po południu Libby wpuściła do swojego gabinetu Monikę, ta przyjrzała jej się dociekliwie.

- Nie wiem, co zażywasz - rzekła bez ogródek - ale daj mi to samo. Wyglądasz po prostu kwitnąco.

Libby poczuła, że się rumieni.

- Świeże powietrze i gimnastyka - wyjaśniła zwięźle, zadowolona, że Monica rozbiera się za parawanem i nie widzi jej zakłopotanej miny. - Ostatnio bardzo dużo spaceruję.

Monica wyszła z za parawanu i spojrzała na nią sceptycznie.

- To pewnie dlatego nie protestowałaś, kiedy wczoraj prosiłam, żebyśmy przełożyły wizytę - powiedziała, siadając na leżance. - Chciałaś pospacerować.

- Właśnie - przytaknęła Libby, mieszając olejki.

- Widujesz się z Nathanem? - śmiało spytała starsza kobieta, gdy Libby zsunęła prześcieradło, by namaścić jej ramiona. - Wiesz, obie doszliśmy do wniosku, że on jest niesamowicie seksowny...

- Dosyć tego, Moniko - zaprotestowała Libby, przybierając najbardziej profesjonalną minę, na jaką potrafiła się zdobyć. - Zrelaksuj się. Zamknij oczy.

Po wizycie Moniki zajęła się pracą w ogrodzie, pieląc chwasty i usuwając szkody powstałe w czasie nocnej burzy. Na szczęście ogród w większości otoczony był kamiennym murem i żywopłotem, toteż ucierpiały tylko te rośliny, które rosły na środku trawnika: rozmaryn, maruna i koper włoski.

Co pewien czas spoglądała przez żywopłot w stronę domu Alistaira. Świadomość, że Nathan siedzi w środku przy komputerze, nie pozwalała jej skupić się na ogrodniczych zabiegach. Zwłaszcza że miała go zobaczyć dopiero za parę godzin. Po śniadaniu oświadczył jej stanowczo, że musi przez cały dzień pracować, a chociaż ociągał się z odejściem, nie śmiała zaproponować mu wspólnego lunchu.

Co prawda zdążyła już zawrzeć z nim bliską znajomość, lecz mimo to wciąż jeszcze istniała między nimi jakaś bariera, którą Nathan wzniósł i której najwidoczniej nie zamierzał znieść. W sensie fizycznym przez ostatnie dwie noce zbliżyli się tak, że nie sposób bardziej, ale w sferze emocjonalnej

Libby nie rozumiała go ani trochę lepiej niż wtedy, kiedy jeszcze nie zaczęli się kochać. Nawet gdy leżeli, trzymając się nawzajem w ramionach, pozostawał dla niej wielką zagadką.

Z roztargnieniem pogłaskała Williama, bo akurat podszedł, żeby zobaczyć, co robi jego pani; zastanawiała się, czy Nathan zachowywał się inaczej wobec Pauli. Skrzywiła usta na wspomnienie tej chłodnej, eleganckiej kobiety, przy której wtedy na plaży poczuła się dziecinnie niedoświadczona. Teraz próbowała chwytać każdą mijającą chwilę, ignorując wszystko poza tym; nie mogła jednak nie przyjmować do wiadomości, że Nathan kocha

inną, bo jeszcze zaczęłyby snuć głupie marzenia i tylko by jej to nie wyszło na dobre.

Ze złością wyrwała z ziemi niewielki chwast, którego korzenie splątały się z korzeniami werbeny. Czy Paula zna prawdziwą twarz Nathana? Czy kiedykolwiek przestał się przy niej kontrolować? Czy choć raz sprawił jej tę satysfakcję, że dał się popchnąć aż na skraj szaleństwa, tak jak sam popychał Libby, której zdawało się wtedy, że lada chwila wyzwoli się z własnego ciała i odfrunie? A może ta jego tarcza nie pozwala podejść nawet ukochanej kobiecie?

- Jesteś zamyślona - usłyszała jego głos. Raptownie poderwała głowę i zaczerwieniła się, napotkawszy przenikliwe spojrzenie Nathana.

- Nie słyszałam cię - wyjąkała, wstając szybko, żeby z nim się przywitać. Strasznie jej się podobał - mroczny, nieprzenikniony i bardzo męski, nieznośnie przystojny w tych swoich dzinsach i jasnej koszuli. Z drżeniem uświadomiła sobie ten niewiarygodny fakt, że Nathan przynajmniej chwilowo należy do niej. - Myślałam, że pracujesz.

- Nie mogłem się skoncentrować. - Powiedział to jednak niechętnym tonem i zaciskając usta w wyrazie zniecierpliwienia, objął Libby. - Tęskniłem za tobą - wyznał jakby wbrew sobie, dotykając wargami jej policzka. - Za twoimi ustami - dodał, całując ją. - I piersiami.

Wsunął ręce pod jej bluzkę i nakrył dłonią pierś. Libby jęknęła, a on chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę domu. W jego oczach widać było posępne skupienie. Wiedząc, że pożądanie wzięło w nim górę, chociaż zamierzał pracować, Libby poczuła się pewniej i tym razem to ona poprowadziła go do sypialni, a potem wolno i uważnie rozebrała, robiąc uniki przed jego rozbieganymi dłońmi, aż poddał się i zostawił jej wolną rękę.

Ze śmiechem przewróciła go na łóżko, a sama bez pośpiechu się rozebrała, zdejmując z siebie kolejne warstwy odzieży, składając w kostkę każdą część garderoby i osłaniając się włosami, wiedziała bowiem, że właśnie to go najbardziej rozpala. Oszołomiona własną odwagą i świadomością, jak bardzo jest podniecony, usiadła na nim i musnęła piersiami jego usta, sięgając pojedną z małych paczuszek, które zostawił przy łóżku, i zaczęła ją rozpieczętowywać. On jednak tak ścisnął oburącz jej pośladki, że zachwiała się w swym postanowieniu i nie potrafiąc już dłużej zwlekać, uniosła się i nadziała na niego jak na włócznię. Jej ruchy straciły płynność, stały się pospieszne i łapczywe. Nie liczyło się już to, kto jest górą, kto kieruje

przebiegiem zdarzeń; ważne było wyłącznie narastające ciśnienie między nimi dwojgiem.

Dopiero tym razem poczuła, jak Nathan cały się spina wcześniej niż ona, jak drży. Przeżyła chwilę najczystszej triumfu, lecz on nie znieruchomiał, tylko wygiął się w łuk, pociągając ją w dół i biorąc pod siebie, aż zadygotała i przeżyła moment kompletnego wyzwolenia, wydając z siebie przeciągły krzyk. A kiedy potem leżała obok niego, zdyszana i spocona, zdała sobie sprawę, że znowu jej się nie udało.

Nawet w chwili najwyższej rozkoszy widziała opanowanie Nathana, jego opiekuńczość, i wiedziała, że nie oddał jej się cały. Czowała, że nie potrafi dorównać temu człowiekowi. Odwróciła głowę w bok i zamknęła oczy. Nathan jak zwykle natychmiast się zorientował.

- Libby...? - Leniwie objął ją w talii i przyciągając z powrotem do siebie. - Co się stało?

- Nic - odparła słabym głosem, wiedząc, że nigdy nie zdoła mu tego wytłumaczyć. Sama nie bardzo rozumiała, co się z nią właściwie dzieje. Dał jej niewyobrażalną rozkosz. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że wolałaby, by się o nią nie troszczył.

- Bolało cię? - spytał z troską.

- Ależ skąd. - Pomału, z rozmysłem otworzyła zaciśnięte pięści. - Byłeś cudowny - szepnęła. - Obejmij mnie.

Zniżył usta ku jej piersi, lecz powstrzymała go, bliska łez.

- Tylko mnie obejmij - rzuciła mu łagodny rozkaz, osuwając się w jego ramiona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W następnym tygodniu Nathan oznajmił Libby, że w niedzielę wyjeżdża, a kiedy na dwa dni przed planowanym wyjazdem obudził ją rano, wiedziała, że chce z nią porozmawiać. Rozmowa musiała jednak dotyczyć rozstania, chcąc więc jak najbardziej odwlec chwilę męki, zrobiła unik, twierdząc, że przez cały ranek będzie zajęta, chociaż w rzeczywistości spodziewała się tylko Isabel Spalding i Dorothy Penrose.

I właśnie z tą ostatnią zdarzył jej się wypadek: zanim zdążyła podejść do telefonu, by zasięgnąć rady doktora Geoffreya, klientka zamknęła oczy, konwulsyjnie wciągnęła powietrze i osunęła się bezwładnie na leżankę, na której siedziała. Libby pognęła do niej z łomoczącym sercem. Dotknęła jej szyi, a kiedy stwierdziła brak pulsu, podbiegła do okna, otworzyła je szeroko i zawołała Nathana.

Gdyby nie przyszedł, musiałyby zatelefonować po karetkę, tymczasem jednak przechyliła zemdłonej głowę do tyłu, sprawdziła palcem, czy drogi oddechowe nie są czymś zatkane, i zaczęła robić sztuczne oddychanie połączone z masażem serca. Po kilku sekundach przybiegł Nathan.

- Libby... ? - zawołał.

- Zatrzymana praca serca - odparła bez tchu. - Dzwonź po pogotowie. Poproś, żeby przysłali helikopter.

Gdy się dodzwonił, usłyszała, że opisuje sytuację i podaje adres. Następnie wrócił do niej i powiedział:

- Helikopter jest zajęty. Przyślą karetkę. - Ściągnął sweter i przytknął napięstek do dolnej części mostka Dorothy, czekając, aż Libby skończy cykl.

- Jest jakaś reakcja? - spytał.

- Jak dotąd puls nie wrócił - odrzekła z przejęciem, próbując namacać palcami tętnicę szyjną.

Karetką bardzo długo nie przyjeżdżała. Od czasu do czasu zamieniali się rolami, by Nathan mógł odpocząć: Libby zastępowała go przy masażu serca, a on przez chwilę robił sztuczne oddychanie. Potem wszystko działało się już bardzo szybko. W karetce przywieziono defibrylator, tlen i odpowiednie leki. Libby usunęła się na bok, ustępując miejsca jednemu z przyjezdnych lekarzy, ten zaś wsunął w usta Dorothy rurkę, włożył jej maskę na twarz i zaczął pompować tlen.

Nathan wyjaśnił, kim jest, i zajął się defibrylatorem, a drugi lekarz pogotowia stanął nad zemdloną, gotów w razie potrzeby kontynuować masaż

serca. Nathan włączył urządzenie i zaaplikował Dorothy wstrząs, po kilku sekundach drugi, mocniejszy, i wreszcie trzeci. Za każdym razem dawał głową znak lekarzowi z pogotowia, by zrobił sztuczne oddychanie. Po ostatnim wstrząsie kazał mu przestać. Libby zobaczyła na ekranie defibrylatora w miarę normalny wykres.

- Jest puls - z triumfem powiedział lekarz.

Libby z ulgą osunęła się na leżankę, a pierś Dorothy uniósł pierwszy samodzielny oddech. Drugi lekarz wyjął dożylną kaniulę, ale nie bardzo mógł trafić w żyłę, toteż Libby zebrała się w sobie i oburącz ścisnęła przedramię Dorothy, żeby uwydatniły się naczynia. Tymczasem Nathan przebierał wśród leków przywiezionych w karetce.

- Pojadę z wami do Truro - oświadczył. - Libby, spróbuj się skontaktować z kimś z rodziny.

Spróbowała, ale nikt nie odbierał telefonu.

- Jej męża nie ma w domu - rzekła do Nathana, stwierdzając z ulgą, że Dorothy zaczyna się lekko poruszać. - Pewnie krząta się gdzieś w obejściu. Podjadę tam i go poszukam.

Zastała Jima Penrose'a w stodole. Ostrożnie wytłumaczyła mu, co zaszło, i zawiozła go do Truro, gdzie przekazała go pielęgniarce z oddziału intensywnej terapii. Okazało się, że Dorothy jest przytomna, a jej stan przynajmniej chwilowo nie daje powodu do obaw.

- Doktor Thomas właśnie wyszedł - dodała pielęgniarka. Libby dopiero po paru sekundach zrozumiała, że mowa o Na-thanie. - Mówił, że złapie taksówkę. Jeśli się pani pospieszy, może go pani dogoni.

Ale Nathan był szybszy. Po powrocie do domu Libby zastała go na werandzie.

- Zawiozłam Jima do szpitala - wyjaśniła, padając mu w ramiona, spragniona jego uścisku. - Był taki roztrzęsiony, że ledwo szedł. Musiałam się z tobą minąć o włos.

Nathan objął ją tak mocno, jak tego potrzebowała.

- Dorothy chyba z tego wyjdzie - powiedział. - Naprawdę spokojny będę dopiero, jeżeli przeżyje następną dobę, ale kiedy wychodziłem ze szpitala, zaczynała mówić.

- Nie chcę jeszcze raz przechodzić przez coś takiego

- odparła, trzęsąc się nie mniej niż przedtem Jim Penrose.

- Nie widziałam szans, żeby ją uratować. Na moje szczęście byłeś tu.

- Sama też nieźle sobie radziłaś - odrzekł z uśmiechem, odsuwając się. - Nawet gdyby mnie tu nie było, utrzymałabyś ją przy życiu aż do przyjazdu karetki.

- Owszem, wiele razy robiłam sztuczne oddychanie i masaż serca - przyznała. - Ale co innego w szpitalu, a co innego w takich warunkach jak tu. Do tej pory się trzęsę.

- Świetna z ciebie pielęgniarka - zapewnił ją, całując w usta. - Po prostu odwykłaś od takich ostrych przypadków.

- Ona myślała, że to niestrawność. Ja podejrzewałam, że coś z sercem, no i rzeczywiście.

- Dobra diagnoza - przytaknął. - Cała jesteś zgrzana.

- Wiem. - Pozwoliła, żeby rozpiął jej bluzkę, a sama zajęła się guzikami jego koszuli. - Od paru godzin jestem w biegu. Weź mnie do łóżka - szepnęła. - Teraz, Nathan, proszę cię. Muszę być blisko ciebie.

Cisnęło jej się na usta tyle pytań, tyle spraw do omówienia w związku z ostatnimi wydarzeniami, że na nic innego nie było miejsca. Ale kiedy rano obudziła się u jego boku, przypomniała sobie, że to ich ostatni wspólny dzień, i odczuła tę świadomość jak fizyczny ból w piersi. Odprawiła więc Nathana tak samo jak poprzedniego dnia, mówiąc.

- Chcę dokończyć obraz i popracować w ogrodzie. Poznała po jego minie, że przejrzał jej grę, przyznał jednak, że sam też chce nadrobić zaległości.

Późnym popołudniem przyszedł do niej. Wstała, kiedy wyłonił się zza żywopłotu - w wystrzępionych zielonych szortach i butach do biegania. Skórę miał opaloną, a chociaż Libby czuła wręcz ból w koniuszkach palców, bo tak bardzo pragnęła go dotknąć, by się upewnić, że wciąż jeszcze jest przy niej, zacisnęła pięści, zmrożona jego beznamiętnym spojrzeniem, które powiedziało jej, że nie pora teraz na to.

Jakby rozumiejąc jej lęki, Nathan poprzestał na tym, że skosił trawę staroświecką kosiarką, podczas gdy Libby dalej pielila. W powietrzu unosiła się woń świeżo ściętej trawy, a ilekroć milkł warkot kosiarki, dawało się słyszeć brzęczenie owadów i daleki łoskot morza.

Nathan dokończył koszenie i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił, niosąc dzbanek lemoniady. Usiadł na trawie obok Libby i podał jej szklanekę zimnego napoju. Po paru minutach milczenia westchnął i zapytał zniecierpliwionym tonem:

- Co zrobić? Spakować się i wyjechać bez słowa?

Z trudem zaczerpnęła tchu i spojrzała w stronę morza.

- Wtedy na plaży powiedziała wszystko, co było do powiedzenia - odparła, siląc się na rzeczowy ton. - Nie ma o czym mówić. Poproszę jeszcze lemoniady.

- Cholera! - zaklął, waląc szklanką w tacę, aż wzdrygnęła się i spojrzała mu w oczy. - Potraktuj to, co mówię, jako próbę przeprosin - dodał, zgrzytając zębami.

- Nie masz mnie za co przepraszać - rzekła z bólem.

- Wtedy na plaży myślałem, że to będzie tylko jedna noc - przekonywał ją. - A było ich więcej.

- Nie żałuję, że nie skończyło się na jednej - oświadczyła, patrząc na niego wyzywająco. - A ty?

- A jak ci się wydaje? - odparł i nagle jakby uszedł z niego cały gniew.

Libby znów odwróciła głowę, zdumiona, że w sumie nie najgorzej znosi tę sytuację.

- Nie jestem taka krucha, jak ci się zdaje. - Zwróciła się ku niemu i chłodno spojrzała mu w oczy. - Ja naprawdę lubię to swoje tutejsze życie. Oczywiście będę za tobą tęsknić, ale prędzej czy później pojawią się inni mężczyźni.

Spodziewała się, że Nathan odetchnie z ulgą, ale zrobił nieprzeniknioną minę i odrzekł:

- Zmieniłaś się.

Nie odpowiedziała. Jej palce zaczęły skubać trawę.

- Alistair jutro wraca? - spytała.

- Chyba późnym wieczorem. Dzisiaj rano miał przylecieć do Londynu, ale na pewno jest poumawiany.

- Poczekasz, żeby się z nim zobaczyć?

- Nie - odparł, raptownie wstając. Pociągnął Libby za sobą i powiedział: - Wyjeżdżam z samego rana. Chodź i poradź mi, jaka ramka będzie najlepsza - dodał.

Później przyrządziła kolację, ale tym razem Nathan miał równie słaby apetyt jak ona. Ledwie tknąwszy jedzenie, wstali i poszli w stronę urwiska. Księżyc w pełni zalewał swym blaskiem ścieżkę prowadzącą na plażę. Rozumiejąc się bez słów, zeszli na dół i stanęli, trzymając się za ręce.

Trafili na kulminacyjny moment przypląwu. Spienione fale połyskiwały w świetle księżyca. Wzmagający się wiatr targał włosami Libby, zasłaniając jej twarz. Nagle roześmiała się, a jej poważny nastrój ustąpił miejsca brawurowej beztrósci. Jednym ruchem ściągnęła sukienkę przez głowę.

Nago pobiegła w stronę kipieli, wołając Nathana, i dała nurka w chłodne fale. Z zaciśniętymi zębami podążył za nią, jakby udzieliło mu się jej pragnienie, by stawić czoło żywiołom. Popłynęli przez zatokę, walcząc z przyływem. Libby wiedziała, że Nathan musi zdawać sobie sprawę, jakie to ryzykowne, ale zachowywał się, jakby on także zobojętniał na wszelkie zagrożenia. Kiedy zawrócili, próbował ją schwytać, lecz wymknęła się, nurkując między jego udami.

Dopędził ją i złapał za nogę, ale wyrwała się, wierzgając, jakby było jej wszystko jedno, czy go boleśnie ugodzi -jakby wręcz chciała zadać mu ból. Znów ją pochwycił, a potem jeszcze raz, lecz nieustannie mu się wymykała. Byli coraz bliżej brzegu. Wreszcie Nathan krzyknął z gniewu i rozpacz, a Libby ze śmiechem wyskoczyła na plażę. Był jednak szybki, ona zaś widząc jego upór, śmiała się dalej, lecz teraz już z nutą szalonego triumfu. Dogonił ją w kilka sekund, chwycił brutalnie i powalił na piasek, a potem bez żadnych wstępów wszedł w nią, zdyszana i spragniona.

Był nieposkromiony, a jej brakowało tchu, gdy wgniatał ją w piach. Właśnie takim chciała go widzieć. Była zachwycona, że nareszcie jest rozpasany, samolubny, niedbały, a jego żądza przesłania mu cały świat. Przeorała paznokciami jego napięte, muskularne ramiona, opierając mu się, gryząc go, nienawidząc i kochając zarazem. Gdy kończył, wypowiedział jej imię, i ten wściekły zaborczy krzyk wzniósł się na wietrze, a ją wprowadził w nieprzytomną ekstazę.

Niedzielny ranek wstał chłodny i mglisty, a Libby koło siódmej wreszcie zwlokła się z łóżka, obolała ze znużenia. Nawet koty wydawały się wytrącone z równowagi. Nie tknęły jedzenia, lecz ocierały się o jej nogi, cicho miaucząc. Z westchnieniem wzięła je na kolana i zaczęła głaskać po łebkach, zastanawiając się, czy Nathan wstąpi, by jeszcze się z nią zobaczyć przed wyjazdem do Londynu.

Natychmiast po tym, co zaszło na plaży, pograżył się w sobie i oddalił. Kiedy wracali na górę, prawie się nie odzywał, a potem nie został na noc u Libby, lecz wymówił się tym, że musi się spakować, i wrócił do domu Alistaira.

Koło ósmej nie wytrzymała oczekiwania, ale gdy szła w stronę sąsiedniego domu, nogi pod nią drżały. Koty wysforowały się naprzód i wbiegły pierwsze do kuchni.

Nathan wyszedł z Williamem w objęciach, zanim przeszła przez trawnik. Patrzył na nią w milczeniu.

- Chciałam się pożegnać - wyjaśniła. - Spakowałeś się?

- Tak - odparł, puszczając kota na ziemię. - Daj mi znać, gdyby coś się stało. To znaczy, jeśli się okaże, że jesteś w ciąży.

Libby zbladła jak ściana.

- Wykluczone - odparła. - To nie był mój płodny dzień. Podał jej kartkę z londyńskim numerem telefonu.

- W razie czego chciałbym jednak wiedzieć. Starannie złożyła kartkę i wsunęła do kieszeni szortów.

Było to zaledwie kilka cyfr, a chociaż wiedziała, że nigdy nie zrobi z nich użytku, dawały jej miłe poczucie więzi. Nathan podążył oczami za tym ruchem i spytał takim tonem, jakby przemocą wrywał sobie słowa z piersi:

- Lubisz dzieci?

Raptownie wciągnęła powietrze i poczuła w płucach chłodne ukłucie.

- Oczywiście - odparła cicho. - I kiedyś będę chciała je mieć. Ale znam swoje ciało. Nie ma w nim teraz dziecka.

- Zadzwoń do mnie tak czy owak. Żebym miał pewność.

- O tej porze na szosie nie będzie tłoku - odrzekła, spuszczając wzrok. - Powinno ci się dobrze jechać.

- Gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała...

- Zadzwonię - odparła pośpiesznie. - Dziękuję.

- Mówię serio, Libby. - Głos na chwilę mu stwardniał. - Chciałbym ci pomóc.

Ona jednak wątpiła, czy jego żona przykłaśnie tej chęci. Wyciągnęła do niego rękę, modląc się, by nie zauważył, że się trzęsie.

- Do widzenia, Nathan - powiedziała. Ujął jej dłoń i na chwilę mocno ścisnął.

- Do widzenia, Libby. Dbaj o siebie - odparł.

- Postaram się. - Wyrwała rękę z jego uścisku, zrywając ostatnią niejaka ich łączyła. - Jedź ostrożnie.

Szybko wzięła koty na ręce i zwawym krokiem ruszyła w stronę własnego domu. Wkrótce potem usłyszała warkot silnika i podniosła głowę, leżąc na łóżku, na które padła bezwładnie. Odgłos jadącego samochodu stopniowo się oddalał, aż wreszcie ucichł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W poniedziałek rano asystent Nathana wszedł do jego gabinetu i ze zdumienia uniósł brwi.

- Myślałem, że jedziesz na urlop - powiedział. - Wspaniale się opaliłeś, ale wyglądasz na tak zmęczonego, jakbyś cały miesiąc nie schodził z dyżuru.

- Jakież problemy z pacjentami? - spytał Nathan, myśląc, że czuje się gorzej niż po miesięcznym dyżurze.

- Z pacjentami nie - odparł Richard, sięgając po filiżankę kawy, którą przysunął mu szef - ale obcięli ci wtorkową listę. Co za bezczelne typy siedzą w tej dyrekcji.

Nathan zmarszczył czoło.

- Jeszcze dzisiaj z nimi porozmawiam - rzekł. - Będą musieli cofnąć decyzję.

Richard z powątpiewaniem wzruszył ramionami.

- Czasy są ciężkie - mruknął, patrząc na Nathana. - Nowy dyrektor administracyjny przepracował trzydzieści lat w wielkim biznesie. Jeśli wierzyć prasie, nie był w szpitalu nawet jako pacjent. Zmniejszył też normę transplantacji. W zeszłym tygodniu musieliśmy odesłać do Londynu nerkę od dawcy, bo nie mieliśmy jak operować. Owszem, były wolne łóżka, ale administracja nie chciała nam przydzielić pielęgniarek.

Nathan poczuł przelotne ukłucie tęsknoty za spokojem Kornwalii, lecz czym prędzej je stłumił.

- Absurd - powiedział znużonym tonem. - Przecież to szpital, a nie przedsiębiorstwo, które ma przynosić dochody. Co na to prasa i telewizja? Richard pokręci! głową.

- Każdy troszczy się o swoją posadę.

- Może powinniśmy troszczyć się raczej o pacjentów - odparł Nathan, dopijając kawę. - Przejdźmy się po klinice.

Nim nadeszło piątkowe popołudnie, miał zdecydowanie dosyć. Dyrekcja nie tylko uparła się na stałe ograniczyć mu liczbę operacji, lecz chciano go także pozbawić kolejnych czterech łóżek na oddziale intensywnej terapii. Znaczyło to, że mniej będzie mógł przeprowadzać poważnych zabiegów, a ciężkie przypadki trzeba będzie częściej niż dotychczas odsyłać do innych szpitali. W ciągu czterech nocnych dyżurów, które odbył w swoim pierwszym tygodniu po urlopie, zdarzyło się to aż cztery razy. A tu jeszcze zapowiadano dalsze ograniczenia.

Zirytowany kolejną bezowocną awanturą, podczas której on i pozostali chirurdzy starli się z dyrekcją, wpadł do gabinetu, sięgnął po telefon i zadzwonił do wieczornej gazety, zamierzając przekazać informacje o tym, jak nieprzemyślana reorganizacja zagraża życiu pacjentów. Potem sprawy potoczyły się szybko. Dziennikarz, który wieczorem odwiedził go w domu, był zaskoczony i przejęty tym, co usłyszał. Prasa dotąd nie pisała o cięciach budżetowych w szpitalu St. Stephens, od lat wymienianym przez ministrów kolejnych rządów jako przykład skuteczności reform.

- Damy ten artykuł do poniedziałkowej popołudniówki - oświadczył reporter. - W poniedziałek rano przyślę fotografa. Proszę się liczyć z tym, że znajdzie się pan w centrum zainteresowania.

Nathan nie przewidział jednak, jak wielkie będzie to zainteresowanie. Artykuł pod tytułem „Wybitny chirurg demaskuje cięcia” okazał się kijem w mrowisko. Trafił do wszystkich ważniejszych gazet i stacji telewizyjnych. W sumie dobrze się złożyło, że Nathanowi odebrano wtorkowe operacje, bo i tak przez większość dnia udzielał wywiadów dziennikarzom, którzy zaczęli się na niego w szpitalnym holu.

We wtorek wieczorem zadzwoniła Paula. Złapała go w gabinecie, kiedy kończył ostatnią wypowiedź do kamery.

- Tyś chyba oszalał - powiedziała. - Przecież cię wyleją. Wygodnie rozsiadł się w fotelu i zmrużył oczy, słuchając jej głosu, w którym wyczuwał z trudem powściąganą furję.

- A nie chciałabyś, żeby wylali? - zapytał spokojnie. - Dotąd zawsze byłaś za tym, żebym stąd odszedł i razem z tobą leczył w prywatnej klinice.

- Ale musisz zachować przynajmniej ćwierć etatu w państwowym szpitalu. To kwestia prestiżu.

- Powiedz raczej: pieniędzy - odparł z grymasem.

- Oczywiście nie tylko o to mi chodzi, kochanie - odrzekła po krótkiej pauzie. - Niepokoję się o twoją karierę.

Westchnął, uświadamiając sobie, jaką mrzonką było oczekiwanie, że Paula poprze jego krucjatę. Tylko dwaj koledzy publicznie potwierdzili to, co powiedział prasie, chociaż domyślał się, że większość personelu po cichu mu sprzyja. Zdawał sobie sprawę, że ludzie nie chcą się wychylać, bo się boją stracić posady, i, prawdę rzekłszy, nie bardzo rozumiał swą brawurę.

- Jestem zmęczony - powiedział, nie mając ochoty dyskutować na ten temat. - Zobaczmy się jutro.

Kiedy tuż przed wpół do jedenastej wszedł do mieszkania, zadzwonił telefon. Z bijącym sercem sięgnął po słuchawkę, ale rozległ się w niej głos jego matki.

- Widzieliśmy cię w wiadomościach - powiedziała, gdy już się przywitali.

- Jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Wzruszyło go to.

- Mogę stracić pracę - przestrzegł ją.

- Nie wątpię, że zawczasu o tym pomyślałeś - odparła ze zdumiewającym spokojem, a po chwili wahania dodała: -Wiesz, nie mówiłam o tym od dawna, a ty pewnie zapomniałeś, ale w sobotę wypada nasza trzydziesta rocznica ślubu. Chcemy urządzić kolację w kameralnym gronie.

Nathan zmarszczył brwi, mając sobie za złe, że istotnie zapomniał o tej uroczystości.

- Przyjadę - oznajmił stanowczo. Matka skwitowała to cichym okrzykiem zdumienia, skądinąd zresztą uzasadnionego. Ale przecież jeszcze w Kornwalii postanowił, że będzie odtąd poświęcał rodzinie więcej czasu. - O której zaczynacie?

- Wpół do ósmej - odparła z zachwytem. - A gdybyś chciał przyjechać z kimś...

- Przyjadę sam - odrzekł kwaśno. - No, to do soboty.

W sobotę rano zrobił z Richardem obchód, by się upewnić, czy podczas weekendu nie zaczną się jakieś problemy, zwłaszcza że obaj mieli akurat wolne.

- Myślałem, że będę tu dzisiaj sam - zażartował Richard - bo ty pójdziesz tymczasem szukać nowej pracy.

Sam się dziwił, że tak się nie stało. Lawina reportaży w prasie i telewizji zdążyła już się trochę uspokoić, a on wciąż jeszcze nie usłyszał od dyrekcji ani słowa wymówki. Nawet go nie wezwano, żeby się wytłumaczył.

- Może zrobiłem się zanadto sławny, żeby można mnie było ruszyć - rzekł melancholijnie, niezbyt pewien, czy go to cieszy, czy martwi. - Teraz pewnie mam już spokój do końca życia.

- Nie mów hop - z uśmiechem ostrzegł go Richard.

- Tyle że nic się, o ironio, nie zmieniło - ciągnął Nathan, otwierając drzwi oddziału intensywnej terapii. W bocznej salce, którą dyrekcja kazała zamknąć, stały dwa łóżka bez pościeli. Wkrótce takich łóżek miało być więcej. - Administracja obstaje przy swoim.

- Sprawa jeszcze nie jest przegrana - pocieszył go Richard, kiedy wkładali fartuchy i myli ręce. - To dopiero początek. Zresztą, warto było ją zacząć choćby po to, żebyśmy mogli zobaczyć, jak dyrektor wije się przed kamerą.

Jedynym pacjentem na oddziale był trzydziestodwuletni mężczyzna z chroniczną niewydolnością nerek wywołaną przez liczne cysty. Od lat regularnie poddawano go dializie, ale w piątek rano Nathan i Richard wszczepili mu po prawej stronie miednicy zdrową nerkę.

Zdażył tymczasem odzyskać przytomność. Wszystko wskazywało na to, że nowa nerka działa. Rana najwidoczniej się goiła.

- Nieźle panu idzie - pochwalił pacjenta Nathan. - Z chirurgicznego punktu widzenia wszystko wygląda znakomicie.

- Dziękuję, panie doktorze - odparł rekonwalescent. Podszedł do nich Peter Jones, urolog.

- Zdaje się, Nate, że to dzięki tobie mogliśmy w ogóle przeprowadzić tę operację. Gdybyś nie narobił tego zamierzania, już w środę stracilibyśmy to łóżko i nie mielibyśmy pana gdzie położyć.

Nathan ze zdumienia zmarszczył brwi, a zarazem ucieszył się, że z rozgłosu, jaki nadał sprawie cięć budżetowych, wynikło jednak coś dobrego.

Resztę weekendu zamierzał poświęcić na dokończenie artykułu, którego nie zdążył napisać w Kornwalii, ale jakoś nie umiał wykrzesać z siebie animuszu dla tego przedsięwzięcia, zaczął więc nerwowo przechadzać się po mieszkaniu. Minęły już dwa tygodnie, odkąd wrócił, a Libby ani razu nie zadzwoniła. Czyżby jednak była w ciąży? Parokrotnie sam sięgał po słuchawkę, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Postanowił odczekać jeszcze tydzień, a potem... sęk w tym, że nie wiedział, co począć.

Otworzył szafę, w której trzymał jej akwarelę, i po raz nie wiedzieć który rozpakował ją. Wpatrując się w ten jasny, słoneczny pejzaż przypomniał sobie, jaka nieskalana i delikatna była Libby tamtego dnia. Twarz mu stężała. Jeśli pod koniec jego pobytu pozostały w niej jeszcze choćby resztki niewinności, unicestwił je ostatniej nocy, jaką spędzili razem. To, co się między nimi wydarzyło na plaży, było po prostu egoistycznym, bezmyślnym spółkowaniem. Od tamtej pory nie mógł już dłużej udawać, że panuje nad przebiegiem romansu. Co gorsza, bezgraniczna rozkosz, jakiej wtedy doznał, strzaskała jego wyobrażenie o sobie samym.

Zacisnął palce na krawędziach akwareli, ale pohamował się, świadom, że mimo całego bólu, jaki mu sprawiała swoim widokiem, nie potrafi jej zniszczyć. Była piękna. Nie zasługiwała na to, by na zawsze zamieszkać w

jakimś ciemnym kącie, tylko dlatego że on nie może na nią patrzeć. Jest największym skarbem, jaki posiada, tyle że nie umie z nim żyć.

Starannie zapakował ją z powrotem i ruszył w stronę drzwi. Libby wyjaśniła mu, jaka ramka będzie najbardziej stosowna, on zaś wiedział, że jego matce spodoba się taki obraz. Akwarela znajdzie się w odpowiednim dla niej miejscu, a on nie będzie musiał się zadrećzać wspomnieniami, jakie odzywają się w nim na jej widok. Z determinacją zacisnął zęby. No cóż, wrócił do domu. Do pracy i do prawdziwego życia, w którym nie ma miejsca dla Libby.

Na długim półkolistym podjeździe do zgrabnego domu w stylu georgiańskim stało mnóstwo samochodów, więc Nathan z niechęcią zaparkował saaba na ulicy, rozumiejąc, że nie będzie to tak kameralne spotkanie, jak twierdziła matka. Najwidoczniej rodzina stawiała się w pełnym składzie.

Na dworze było ciepło i jeszcze dość widno. Wszystkie okna i drzwi stały otworem. Zgrzyt kroków Nathana po żwirze tłumiły dźwięki muzyki, śmiech i tupot dziecięcych nóżek na schodach.

Nie wiedzieć czemu zjeżyły mu się nagle włoski na przedramionach. Na sekundę zastygł na progu domu, spostrzegłszy smukłą postać kobiety, ledwie widoczną przez ażurowe firanki kuchennego okna. Za późno było, by się cofnąć, tym bardziej, że stanęła przed nim matka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Alistair usiłował wyciągnąć Libby z kuchni, lecz ona wolała tam zostać i pomagać. Nie była przyzwyczajona do tak licznych zgromadzeń, a zwłaszcza obawiała się spotkać jednego z zaproszonych gości. Usłyszała za plecami głos pani domu, potem kilka innych głosów, wytarła ręce w fartuch, odwróciła się - i nagle ziemia zakołysała jej się pod stopami.

Wczepiła się palcami w krawędź blatu, ale do kuchni wtargnął roześmiany, gadatliwy tłum i zaczęło się rozpakowywanie prezentów. Kiedy Nathan do niej podszedł, zauważyła jego bladość i poczuła się, jakby byli sami.

- Alistair mówił, że nie przyjedziesz - wyjąkała.

- Dobrze, dobrze - odparł, mówiąc z nie mniejszym trudem niż ona. W tym momencie stanęła obok niego matka.

- Nathan, jakie to piękne - rzekła, pokazując wszystkim akwarelę. - Cudowne. Dziękuję.

Libby poczuła na sobie palące spojrzenie Nathana, ale odwróciła się twarzą do zlewu, odruchowo sięgając po tacę z pomidorami, która stała na kuchennym blacie. Zaczęła je opłukiwać, gdy podszedł do niej Alistair.

- Zostaw je - powiedział. - Rozerwij się wreszcie.

Wcale nie była spragniona rozrywek, lecz dała się odciągnąć od zlewu. Nathan stał przy drzwiach kuchni z piwem w ręce i rozmawiał z miłym panem, o którym wiedziała, że jest jego ojczymem. Obaj zwrócili uwagę na to, że Alistair obejmuje Libby w talii. Starszy pan zrobił umiarkowanie zaciekawioną minę, ale w oczach Nathana pojawił się wściekły błysk. Zbladła i odsunęła się od Alistaira, uśmiechając się blado w odpowiedzi na jego zdumione spojrzenie. Szybko popatrzył w stronę Nathana i rozpogodził się, jakby zrozumiał powód jej skrepowania.

- Znacie się, prawda? - spytał. - Chyba że Nathan pod pretekstem, że musi napisać dzieło swego życia, swoim zwyczajem zaszył się na cały miesiąc przy komputerze.

- Owszem, poznaliśmy się - odparła sztywno.

Nathan upił kilka łyków piwa i milczał, ale w kuchni zapanowało takie napięcie, że chyba nawet Alistair je wyczuł, bo roześmiał się trochę nienaturalnie.

- Powinienem być cię ostrzec - rzekł do dziewczyny. - Libby jest zielarką - wyjaśnił ojcu.

- A, rozumiem - powiedział starszy pan, z zainteresowaniem spoglądając na Nathana. - Pewnie toczyliście spory? - Nie doczekawszy się odpowiedzi od pasierba, dobrotliwie uśmiechnął się do Libby. - Na pani miejscu nie przejmowałbym się. Nathan jest po prostu bardziej konserwatywny niż my wszyscy. Chyba za mało tolerancyjnie odnosi się do medycyny alternatywnej.

Ze zdumieniem spojrzała na Nathana.

- Ale przecież on wcale nie... - zaczęła.

- Daj spokój, Libby - wtrącił Nathan. - Nie teraz. Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, czemu jej przerwał, lecz w tym samym momencie do kuchni tanecznym krokiem » biegła jego matka, a za nią kilka innych osób. Ktoś ścisnął Nathanowi rękę, gratulując mu czegoś, nim jednak Libby zdołała pojąć, o co w tym wszystkim chodzi, Alistair wyprowadził ją do pokoju po drugiej stronie korytarza.

Kolację podano na stojąco. Gości zjawilo się takie mrowie

- liczne rodzeństwo Alistaira, wujowie, ciotki i chyba całe tuziny dzieci - jakby była to największa rodzina na świecie.

- Tylko ośmioro - odparł Nathan, kiedy spytała go, ile właściwie ma braci i siostr - ale wszyscy prócz mnie i Alistaira pozakładali rodziny i rozmnożyli się jak króliki.

Spojrzał na nią z rozbawioną miną, wiedziała jednak, że to tylko maska, pod którą kryje się coś niepokojącego.

- Ośmioro to wcale nie tak dużo.

- Wydaje się, że całkiem sporo, jeśli jest się jedynym dzieckiem rodziców, którzy sami też byli jedynakami.

W tym momencie Libby spostrzegła, że Alistair posepnie im się przygląda. Nagle zaschło jej w ustach. Spojrzała na Nathana, lecz on także zauważył minę Alistaira i teraz patrzył mu w oczy chłodno, bez cienia braterskiej miłości. Czowała, że powinna coś zrobić. Myśli mąciła jej nagła obawa, że między mężczyznami dojdzie do walki. Za nic nie chciała ich skłócić. Pod pretekstem, że musi się uczesać, szybko poszła na górę, gdzie na szczęście panował spokój, szerokim korytarzem dotarła do sypialni, którą wcześniej wskazała jej matka Alistaira.

Przez niewielkie okno wpadało blade światło zmierzchu, ale Libby nie zapaliła lampy. Drzwi zostawiła uchylone i nerwowo przycupnęła na samym brzeżku jednego z łóżek. Nathan nie kazał jej długo czekać.

- Nikt nas nie słyszy, więc może mi powiesz, co się właściwie dzieje - powiedział, zamknąwszy drzwi.

- Wybierałam się do miasta na pięciodniowe seminarium, a Alistair mnie namówił, żebym się dała podwieźć. A potem uparł się, żebym tu z nim przyjechała, chociaż właściwie nie powinnam...

- Nie pytam, skąd się tu wzięłaś - przerwał jej. - Pytam, co się dzieje między tobą a moim bratem?

- Nic! - odparła. - Jesteśmy sąsiadami i przyjaciółmi.

- Dotknął cię?

- Nie! Nathan...

- Przywiózł cię, żebyś poznała jego rodzinę.

- To nic nie znaczy. - Spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. - Przestań.

- Ale cię pocałował.

- Nie tak, jak myślisz. Nie, nie pocałował mnie.

- Na pewno?

- Tak - odparła i podniosła głowę, zadowolona, że jest prawie ciemno i nie widać rumieńca, którym się oblała.

- Kłamiesz. - Nagle znalazł się tuż przy niej i podniósł ją z łóżka. - Kenneth was widział. - Było to imię ojczyma. - Widział was razem w ogrodzie. Alistair cię obejmował. Moi rodzice myślą, że niedługo ci się oświadczy.

- Niemożliwe. - Zakręciło jej się w głowie i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał. - To nieprawda...

Przyciągnął ją do siebie i zamknął usta pocałunkiem, krótkim i płomiennym, twardym i namiętym. Kiedy odsunął głowę, jęknęła bezwiednie, jakby z błaganiem.

- Przy nim tak samo jęczałaś? Prosiłaś o jeszcze?

- Nie!

Wsunął dłoń pod pomarańczową podszewkę jej sukienki.

- A to? Dla mojego brata też tak rosło? Zamknęła oczy, oddychając coraz szybciej.

- Nigdy mnie nie dotknął - szepnęła z rozpaczą.

- Ale chciałby. - Brutalnie pchnął ją na łóżko i padł między jej rozchylone nogi. - Czy pod nim też...

- Nie! - zawołała, ale był to raczej jęk, przeciągły i pełen pożądania. Nathan dotknął ustami jej piersi, którą zdążył tymczasem wydobyć spod sukienki. Z dołu słyszała stłumiony zgiełk - ludzkie głosy, śmiech, szcęk

naczyń - ale ważne było tylko to, że Nathan z nią jest. Niejasno zdawała sobie sprawę, że jego dłonie ściągają z niej ubranie.

- Ładna bielizna - mruknął, muskając ustami dyskretny ślad po gumce. - Kupiłaś ją z myślą o Alistairze?

Milcząco pokręciła głową. Sięgnęła dłońmi ku białemu gorsowi koszuli, którą miał pod ciemnym garniturem, ale odepchnął je niecierpliwie, zsuwając niżej głowę.

- Powiedz, jak mam na imię - zażądał głucho.

- Nathan - szepnęła bez tchu. - Nathan...

- Głośniej.

Wczepiła się oburącz w jego włosy, zaciskając pięści. Nie dbając już o to, czy ktoś ją usłyszy zza drzwi, czy świat za chwilę się nie skończy, powtarzała jego imię. Kochała go, a on był z nią i nic prócz tego się nie liczyło. Potem jednak nie wziął jej, choć tak tego pragnęła. Umknął przed jej dłońmi, wstał, porzucając jej wilgotne ciało, aż krzyknęła z bólu, odtrącona. Kiedy usiadł - blisko, ale tak, by jej nie dotknąć - chwyciła sukienkę, nagle zażenowana, wściekła, że to, co jeszcze przed chwilą wydawało się żarliwą obietnicą, nagle stało się plugawe i daremne. Poczuli się jak głodny ptak, który rozpaczliwie dziobie każdy okruch, jaki mu rzucą.

Po kilku długich minutach Nathan oparł dłoń na jej biodrze, łagodnie i kojąco, jakby wyczuł jej przygnębienie.

- Tamtej ostatniej nocy... zaszłaś w ciążę?

- Nie - odparła, wzdrygając się.

- Nie zadzwoniłaś do mnie.

Nie odpowiedziała, a on po paru minutach cofnął rękę.

- Nie chcę, żeby kręcił się przy tobie - oświadczył. - Nie mam prawa niczego od ciebie żądać, a mimo to żądam.

- Nic między nami się nie dzieje - zapewniła go.

- Już to słyszałem.

Czyżby nie rozumiał, że nigdy by go świadomie nie zraniła, nigdy nie wyjawiałaby nikomu, co zaszło między nimi dwojgiem, nigdy nie wkroczyłaby między braci?

- To tylko przyjaźń - szepnęła.

- Jemu się wydaje, że się w tobie kocha. Musisz mu uświadomić, jak się sprawy mają.

- Dobrze, powiem mu - obiecała.

- Zanim wyjadę. Dziś wieczór.

- Nie. Nie dzisiaj. - W tym stanie, do jakiego ją doprowadził, nie zdobyłaby się na rozmowę z AHstairem. - Jutro. - Wyprostowała się, by dodać sobie choć odrobinę godności, i zasłoniła piersi sukienką. - Jutro mu powiem.

Nathan skrzywił się.

- Niech będzie jutro - zgodził się wreszcie i raptownie podszedł do drzwi. Otworzył je, ale się zawahał. Widziała, że niezręcznie jest mu odejść w ten sposób, chociaż jej cierpienie było o wiele bardziej dotkliwe. - Dziękuję - rzekł po chwili. - Już nigdy o nic cię nie poproszę.

Nazajutrz rano wstała wcześniej i na palcach zeszła na dół. W pokojach i w kuchni panował ogólny nieład, jak to po przyjęciu. Czując, że musi się czymś zająć, zaczęła sprzątać, wrzucając śmieci do plastikowego worka. Gdy wstawiała do zmywarki ostatnie talerze, do kuchni weszła gospodyni.

- Och, Libby, bardzo ci dziękuję, ale po co się fatygowałaś! - zawołała. - Przecież jesteś naszym gościem.

- Ale to było wasze święto - zaprotestowała, nalewając wody do zlewu. - Więc ktoś powinien za ciebie pozmywać.

- Nawet bym nie zauważyła, że sprzątam - odparła starsza pani. - Wychowałam tyle dzieci, że przyzwyczaiałam się do sprzątania. Muszę natychmiast napić się herbaty. A ty?

- Proszę. - Libby wciągnęła żółte gumowe rękawice i zaczęła myć kieliszki. - Przepraszam, że wczoraj tak wcześnie się położyłam - dodała. - Byłam bardzo zmęczona podróżą. Poczula na sobie ciepłe spojrzenie piwnych oczu.

- Nathan mówił, że bolała cię głowa. Czy teraz już lepiej ?

- Dużo lepiej - odparła. - Dziękuję.

Starsza pani zaparzyła herbatę i przygotowała tacę.

- Zostaw to zmywanie - rzekła stanowczo. - Ranek jest taki piękny. Chodźmy na dwór. Alistair mówi, że jesteś zapaloną ogrodniczką. Potrzebuję twojej rady.

Ogród był jednak tak zadbany, że jego właścicielka najwidoczniej nie potrzebowała żadnych rad, przeszły się więc tylko po nim. Gospodyni mówiła wyłącznie o swoich dzieciach, a zwłaszcza o Alistairze i Nathanie, co strasznie krępowało Libby. Nagle starsza pani spytała:

- Zauważyłaś, jak Nathan się różni od rodzeństwa?

- Inni mają jasne włosy. Tak jak ty i Kenneth.

- Wdał się w ojca - ciągnęła kobieta. Wyjaśniła, że jej pierwszy mąż zmarł, gdy Nathan był mały. - Zostawiłam ich obu tylko na godzinę - dodała. - Dostał zawału. Kiedy wróciłam do domu, właśnie go zabierała karetka.

Zamrugnęła oczami, a Libby lekko dotknęła jej dłoni.

- Nie musimy o tym rozmawiać - powiedziała.

- Czemu nie? - z nerwowym uśmiechem spytała starsza pani. - Nathan od małego był poważny. Zostawiłam go raptem na godzinę, a on tak zdążył przez ten czas dojrzeć, jakby minęło dziesięć lat. Wpadłam w histerię, wrzeszczałam, płakałam, a on zachował zupełny spokój. Sam zadzwonił po pogotowie, a miał wtedy niecałe siedem lat. Nigdy potem nie wspomniał o tamtym dniu, ale kiedy postanowił studiować medycynę, wiedziałam dlaczego. Potem znów wyszłam za mąż. Niecałe pół roku później. Kenneth był przyjacielem mojego męża. On też owdowiał i został sam z dwojgiem małych dzieci, więc małżeństwo dla nas obojga było sensownym rozwiązaniem.

Uśmiechnęła się, widząc stropioną minę Libby.

- Ależ tak, w pewien sposób go kochałam - zapewniła ją. - A potem urodził nam się Peter, Lucy, Alistair i bliźnięta, więc z tej miłości z czasem wyrosło to drogocenne uczucie, które nas teraz łączy.

- A jak Nathan odniósł się do nowej rodziny? - spytała Libby, głęboko współczując temu dziecku, którym niegdyś był.

Doszły do miejsca, w którym rosły róże. Kwiaty były dopiero w pąkach, ale niedługo miały się rozwinąć. Obie kobiety usiadły na drewnianej ławce wśród krzewów.

- Wspaniale potrafił nawiązać z nimi kontakt - zaczęła starsza. - Dzieci Kennetha od początku uwielbiały przybranego brata, a młodsze do dziś patrzą w niego jak w obraz. Zresztą, sama wczoraj widziałas. A on zawsze się nimi opiekował, choć czasem pewnie byłby wolał poświęcić ten czas przyjaciółom albo studiom. Nathan jest odpowiedzialny, w głębi duszy wszystkim się przejmuje. Zapracowuje się, a ja się o niego martwię. Jest taki podobny do ojca.

- Boisz się, że też dostanie zawału? - spytała Libby.

- Jest znacznie zdrowszy. Jego ojciec miał nerwową pracę, a w dodatku był niewysportowany, otyły i dużo palił. Nathan zawsze był bardzo sprawny. Biega, gra w squasha, nigdy nie palił. Bardziej niepokoję się o jego zdrowie emocjonalne. Chciałabym, żeby był szczęśliwy. Należy mu się to.

Libby odetchnęła z ulgą, usłyszawszy, że Nathan nie ma kłopotów z sercem, ale przy dalszych słowach zeszywniała.

- Ze wszystkich dzieci najbliższy jest mu chyba Alistair - oznajmiła starsza pani. - I tutaj zaczyna się twoja rola.

- Co takiego? - wyjąkała Libby.

- Obaj coś do ciebie czują.

- Nie! - odparta, prostując się raptownie. - Ależ skąd!

- Alistair jest jeszcze bardzo młody - ciągnęła starsza kobieta, nie zważając na ten sprzeciw. - Żyje jak motyl. Co chwila inna praca, co chwila inna kobieta. Smakuje życie i to mu wystarcza. Ale ja go znam, Libby. Widziałam, jak się do ciebie odnosi. Gdybyś go zachęciła, usatkwowałby się.

- A Nathan? - mimo woli spytała Libby.

- Jest dużo bardziej skomplikowany.

- Ale on mnie nie chce - odparła, zwilżając językiem spierzchnięte usta. - Alistair... może rzeczywiście coś do mnie czuje, ale bez wzajemności.

- Nie chcę się wtrącać, Libby - podjęła starsza pani - ale czy w zeszłym tygodniu widziałaś Nathana w telewizji?

- W telewizji?

- Krytykował reformy w szpitalu St. Stephens. Przemawiał bardzo... gniewnie. - Pochyliła się, splatając dłonie na kolanach. - Nie wierzyłam własnym oczom. Dawniej by sobie na coś takiego nie pozwolił. Jestem pewna, że myślałby raczej o tym, co się stanie z jego pacjentami, jeśli straci posadę. Walczyłby z systemem od wewnątrz, zamiast publicznie mu się sprzeciwiać. Zmienił się. Upewniłam się o tym, kiedy dał mi twój obraz - zakończyła, patrząc w dal.

Libby zaczerwieniła się.

- Alistair powiedział mi, że to chyba twoja akwarela, - ciągnęła kobieta - a ja od razu poznałam Kornwalię. Spędziliśmy tam cudowny czas, tylko we troje. - Otarła oczy różkiem chusteczki. - Nathan jest bardzo spostrzegawczy. Nie mógł nie wiedzieć, że ten obraz obudzi we ranie wspomnienia. - Pociągnęła nosem, uśmiechając się z wdzięcznością, gdy Libby oparła dłoń na jej ramieniu. - Ten dawny Nathan nie chciałby sprawić mi bólu. Raczej starałby się oszczędzić mi wspomnień. Ale zrobił się chyba bardziej emocjonalny. Nie jest taki klinicznie chłodny, jak dawniej. To chyba dzięki tobie.

- On mnie nie kocha - odparła Libby przez ściśnięte gardło. - Spotyka się z inną kobietą. Jest bardzo piękna.

Matka Nathana pokręciła głową.

- Libby, słyszałam was wczoraj wieczorem - powiedziała, spuszczać oczy. - Szukałam Nathana. Widziałam, jak szedł na górę, a potem długo nie wracał, więc się zaniepokoiłam. Miewa czasem straszne migreny...

- Wiem - szepnęła Libby.

- Znam mojego syna - ciągnęła starsza pani. - Gdyby serio związał się z inną, nigdy by się do ciebie nie zbliżył. Chyba żeby namiętność zagłuszyła w nim głos sumienia.

Libby nie mogła przecież wyznać, że Nathan nie tknąłby jej, gdyby nie nakłoniła go do tego Paula. Dla niej samej wciąż jeszcze była to szokująca myśl. Wstała z ławki.

- Nie mogę o tym mówić - rzekła z goryczą.

Matka Nathana nie dawała jednak za wygraną, a choć Libby starała się unikać kolejnych spotkań z nią sam na sam, była przecież gościem w jej domu, więc nie zawsze mogła się wymknąć. Nim nadeszło piątkowe popołudnie, jej pięciodniowe seminarium dobiegło końca. Alistair miał nazajutrz odwieźć ją z powrotem do Kornwalii. Wiedząc, że może nigdy więcej nie ujrzy Nathana, poczuła, jak jej postanowienie, by trzymać się od niego z daleka, stopniowo słabnie.

Pragnęła wierzyć jego matce, że nie jest naprawdę zakochany w Pauli. Resztką przytomności umysłu napominała się, że jeśli się nie usunie, czeka ją tylko kolejne odtrącenie. Ale inny głos podszeptował, że nigdy właściwie nie powiedziała Nathanowi, jak bardzo go kocha! Tylko jeden jedyny raz próbowała, lecz nie uwierzył.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po południu Nathan uśmiechnął się z aprobatą do krzepkiego mężczyzny, którego właśnie zbadał.

- Dobra robota - powiedział, gratulując pacjentowi zwycięstwa w turnieju kręgli. - Aż trudno uwierzyć, że niecałe dwa miesiące temu zrobiłem panu ten szew. - Przesunął palcem po długiej, zagojonej już bliźnie na brzuchu tamtego.

Czekając, aż pacjent się ubierze, przeszedł do gabinetu i przejrzał historię choroby. Przeprowadził tę nagłą operację w przeddzień wyjazdu do Kornwalii. Na moment zmartwiało. Kornwalia. Samo to słowo budziło w nim palącą tęsknotę.

Nic to, przejdzie. Zaciśnął zęby i siłą woli skoncentrował się na pracy. Z historii choroby wyczytał, że Richard wypisał rekonwalescenta do domu zaledwie osiem dni po operacji. Widocznie rana świetnie się goiła. Uważnie przejrzał wyniki analiz i klisze rentgenowskie, żeby niczego nie przeoczyć. Gdy pacjent wszedł do gabinetu, podniósł głowę.

- Widzę, że miał pan wysoki poziom cholesterolu - powiedział, - To grozi stwardnieniem arterii. Czy ktoś z panem o tym rozmawiał?

- Ten młody... doktor Price. Zapisał mnie na przyszły tydzień do kardiologa. Kazał przyjść w wygodnym ubraniu i butach, bo może będę musiał się trochę pogimnastykować, tak jak na siłowni. A tymczasem porozumiał się z moim lekarzem z rejonu, żeby powiedział mojej żonie, na jakiej mam być diecie.

- Brawo - rzekł Nathan, podając mu rękę. - Proszę iść do recepcji i zapisać się na wizytę u mnie za pół roku. Gdyby coś dziwnego się działo, niech pan skontaktuje się z moją sekretarką, .ale nie przewiduję problemów.

Z lekkim uśmiechem zamknął drzwi za mężczyzną. Pacjenci raz po raz sprawiali mu niespodzianki. Widok kogoś, kto jeszcze niedawno był ciężko chory, a teraz w pełni cieszył się życiem, z nawiązką wynagradzał trudy. Nim jednak zdążyła wejść kolejna osoba z poczekalni, zadzwonił telefon. Nathan podniósł słuchawkę i usłyszał głos sekretarki:

- Chce się z panem widzieć niejaka Libby Deane. Tłumaczyłam, że jest pan zajęty, ale uparła się zaczekać.

Nathan usiadł na brzegu biurka. Po kilku sekundach pani Langley spytała ostrym tonem:

- Panie Thomas? Jest pan tam?

- Niech jej pani powie, żeby zaczekała u mnie w biurze. Proszę uprzedzić, że to może chwilę potrwać.

Odłożył słuchawkę, usiadł w fotelu i zamknął oczy, czując dudnienie w skroniach. Kiedy już załatwił wszystkich pacjentów, musiał jeszcze doradzić w jakiejś sprawie Richardowi. Idąc wreszcie do swojego biura, uświadomił sobie, że Libby czeka od ponad godziny.

Spotkanie z nią miało być dla niego ciężką próbą. W porównaniu z codziennym życiem okres spędzony w Konwalii był czystą idyllą. Ale już minął, no i dobrze. Musi przestać myśleć o tej dziewczynie. Owszem, jest piękna, ponętna i intrygująca, ale nie pasują do siebie. Wyrządziłby jej krzywdę, gdyby zostawił jej chociaż cień nadziei, że może ich coś połączyć. Pewnego dnia Libby pozna kogoś, kto zamieszka z nią w Kornwalii. Urodzi temu mężczyźnie piękne dzieci, które wyrosną w pięknym otoczeniu, tuż nad morzem. Wszystko znakomicie jej się ułoży.

A co będzie z nim? Zacisnął usta. No cóż, zostanie w Londynie, zapracowany jak zawsze i na swój sposób szczęśliwy. Paula nadal chce za niego wyjść. Rozsądek nakazywał przyjąć tę propozycję i dziękować losowi za kobietę, która nie spowoduje w jego prywatnym świecie żadnych wstrząsów. A spotkanie z Libby zacznie z czasem wspominać jako miłe interludium w skądinąd monotonnym życiu.

Zerwała się na jego widok, a on spytał szorstkim tonem:

- Co się stało? Dlaczego przyjechałaś?

Lekki rumieniec oblał jej policzki, ale śmiało spojrzała mu w oczy, choć nerwowo skubała fałdy jasnej sukienki.

- Nic się nie stało - odparła. Jej lekko zachrypnięty głos przypominał mu chwilę, gdy w sobotni wieczór wymówiła jego imię. - Chciałam z tobą porozmawiać.

- Jak zareagował Alistair? - spytał gwałtownie, byle tylko nie porwać jej w ramiona.

- Zanadto nim to nie wstrząsnęło - odparła. - Chyba nie był mną aż tak zajęty, jak ci się zdawało.

Nie był o tym przekonany, ale powstrzymał się od komentarzy. Jeszcze pamiętał, jaka wściekłość ogarnęła go, kiedy zobaczył Libby z Alistairem. Zaledwie przed paroma tygodniami chciał jej unikać ze względu na brata, a potem nagle gotów był go zabić. Co za ironia!

- Kiedy wracasz do domu?

- Jutro. - Usiadła. Poruszała się z dziwną niezręcznością, a gdy założyła nogę na nogę, ujrzał jej łydkę, zanim obciągnęła sukienkę. - Wiesz, rozmawiała ze mną twoja matka.

- No i? - Poczuł, że rysy mu tężeją.

- Wie o nas. Słyszała nas w sobotę wieczór...

Nie był tym zbyt zaskoczony. Kiedy owego dnia wrócił na dół, podchwycił zaciekawione spojrzenie matki.

- I co z tego? - odparł obojętnym tonem. - Powiedz jej, żeby się nie wtrącała.

Libby była wyraźnie wzburzona. Zerwała się z miejsca i podeszła do okna, stając tyłem do Nathana. Milczała.

- Libby, nie obchodzi mnie, że moja matka jest... przeciw. Nie rozumiem, dlaczego tak się tym przejmujesz.

- Kiedy ona wcale nie jest przeciw - odparła cicho.

- Co takiego?

- Wygląda na to, że jest jak najbardziej za. - Wolno zwróciła się twarzą ku niemu. - Chyba myślisz, że mógłbyś być ze mną szczęśliwy. Widzisz, powiedziałam jej, że cię kocham.

Na chwilę przymknął oczy.

- No to teraz powiedz mi, że nie mówiłaś serio.

Ani drgnęła, ale zauważył, że wczepiła się palcami w parapet, aż jej zbieleły palce.

- Ale ja cię naprawdę kocham. - Każde jej słowo wbijało się w niego jak kolczasty szpikulec. - Usiłowałam ci to powiedzieć wtedy, kiedy uprzedziłeś mnie o przyjeździe Pauli, ale nie dałeś się przekonać.

- Libby... - Chciał do niej podejść, przemówić jej do rozumu, ale wiedząc, że dotknąć jej byłoby szaleństwem, nie ruszał się z miejsca. - Ja nie mogę cię kochać - stwierdził ponuro, krzywiąc się na widok jej zranionej miny. - Tu żyję i pracuję, a twoje miejsce zawsze będzie w Kornwalii. Nie mogę ci dać tego, czego pragniesz. Tylko bym zrujnował ci życie, takie przecież poukładane. Pewnego dnia wszystko zrozumiesz i jeszcze będziesz mi wdzięczna za mój brak romantyzmu. Przykro mi, Libby. Strasznie mi przykro.

Odwróciła się i znowu spojrzała w okno.

- Ale przecież mnie chciałeś.

- Oczywiście. Masz ciało jak anioł.

- A w sobotę?

Spuścił głowę. Zdawał sobie sprawę, że kiedy w sobotę Libby wtargnęła w jego świat, trudniej było wyperswadować sobie namiętność, jaką w nim budziła. Tamtego wieczoru nagle postradał rozum i dał dojść do głosu emocjom.

- Dałem ci rozkosz, prawda? - zapytał z bólem w głosie. - Czy nie tego chciałaś?

- Nie! - krzyknęła z udręką. - Nie chciałam samej rozkoszy. Chciałam, żebyś się ze mną kochał.

- To nie ma sensu, Libby.

W sobotę przestał panować nad sobą i było to uczucie, jakiego nigdy więcej nie chciał zaznać. W tamten wieczór pragnął kochać się z nią dziko, szaleńczo, tak żeby zostawić na jej ciele ślad swojej gorączki. A później, jak jakiś dzikus, który gwałtem zdobywa obce terytoria, zamierzał zawlec ją na dół i pokazać Alistairowi oraz reszcie rodziny, na dowód, że należy do niego. Zdał sobie potem sprawę, że gdyby się opierała, wszedłby na jeszcze wyższe obroty i naprawdę by to zrobił. Ale jej uległość uratowała go, pozwoliła oprzytomnieć i cofnąć się, zanim wszystko zostało zniszczone.

- Nigdy więcej cię nie dotknę.

Zobaczył, że wyprostowała się, wręcz zeszywniała.

- Nie mówisz mi nic nowego - rzekła cicho, jakby do siebie. - Już wtedy na plaży wytłumaczyłeś mi, że dla ciebie to tylko seks. Dawno o tym wiem.

Tak jej pragnął, że cały był obolały, ale nie miał wyboru.

- Wierz mi, Libby, tak będzie lepiej. Kiedyś sama zrozumiesz i przyznasz mi rację.

Odwróciła się i z przesadną uwagą, nie patrząc już na niego, schyliła się po małą, ciemną torebkę, którą przedtem położyła obok fotela.

- Żegnaj, Nathan - rzekła półgłosem, idąc do drzwi. - Przepraszam, że oderwałam cię od pracy - dodała. - Nie będę ci więcej przeszkadzać.

Zerwał się z miejsca, zaniepokojony jej bladością.

- Dokąd idziesz? - spytał.

- Wrócę do domu. Najbliższym pociągiem z Paddington. Alistair jutro przywiezie mi moje rzeczy.

Sięgnął do kieszeni po kluczyki.

- Odwiozę cię - powiedział.

- Nie bój się, nie rzucę się pod pociąg.

- Przestań, Libby - odrzekł, krzywiąc się. Otworzył drzwi do sekretariatu, który był już pusty.

- Nigdzie z tobą nie pojedę, Nathan - powiedziała z determinacją, choć głos wyraźnie jej drżał. - Więc nie idź za mną. Nie próbuj mi niczego narzucać. Chcę odejść sama.

Odwróciła się po raz ostatni i odeszła, znikając z życia Nathana, który stał w drzwiach z walącym sercem, powtarzając sobie w duchu, że postąpił, jak należało.

- Do Nowej Zelandii! - zawołał Alistair, ze zdumienia unosząc brwi. - Oszalałaś! Dlaczego, Libby? Dlaczego? Twoje miejsce jest tu, w Kornwalii.

- Mieszka tam kuzynka mojego ojca - odparła, starannie cedząc przez muślin nalewkę na liściach szalwii. - Koresponduję z nią od dzieciństwa. Czas, żebym ją odwiedziła.

- No to ją odwiedź! Nie musisz zaraz emigrować.

- Przecież ja wcale nie emigruję. - Spojrzała na niego z roztargnieniem, uważnie przelewając ciemny płyn do butelki. - Na razie jadę tylko na pół roku.

Alistair przechadzał się po jej pracowni.

- A jeżeli ci się tam spodoba, zostaniesz na zawsze?

- Niewykluczone. Jeśli uda mi się załatwić wszystkie formalności. W ambasadzie powiedzieli, że mam szansę, o ile gotowa jestem zainwestować w ich kraj dość pieniędzy.

- Kiedy jedziesz?

- Za dwa tygodnie. - Lekko zmarszczyła brwi, niżej pochylając pompkę, żeby wycisnąć z niej resztę tynktury. - Wylatuję z Heathrow.

- A co będzie z kotami? One też jadą?

- Oczywiście.

- Będą musiały przejść kwarantannę. Pozwolisz, żeby miesiącami siedziały w ciasnej klatce?

- Nie ma innego wyjścia. Nie mogę ich tu zostawić.

- A więc zostaniesz tam na zawsze! Przecież nie skażesz ich na drugą kwarantannę, żeby wrócić do Anglii.

- Może zostaną, kto wie.

- A co będzie z twoją pracą?

- Wytłumaczyłam wszystkim, jak mogłam najlepiej - odparła, siląc się na spokój, chociaż bolało ją, że porzuca swe klientki. - Nie rozumiem, Alistair, dlaczego tak się przejmujesz. Ostatnio prawie tu nie zaglądasz, a zresztą zadbam o to, żebyś pod moją nieobecność miał dobrych sąsiadów.

- Tylko pamiętaj, wynajmij im na krótko. Jeżeli z Nowej Zelandii nic nie wyjdzie, będziesz przynajmniej miała dokąd wrócić. Całe szczęście, że nie sprzedajesz domu.

- Nie mogłabym go sprzedać. Nigdy.

- Posłuchaj, Libby... - zaczął z wahaniem. Poczuła, że pora mieć się na baczności.

- Nie, Alistair. Jesteśmy przyjaciółmi i niech tak zostanie. Sam wiesz, że nie kryje się za tą przyjaźnią nic głębszego.

- Ale to jeszcze nie znaczy, że łatwo mi się z tobą pożegnać. Tak czy owak jesteś moją najbliższą przyjaciółką.

Roześmiała się.

- A ta kobieta, którą w zeszłym miesiącu przywiozłeś z Francji? Wyglądało na to, że jesteście ze sobą dosyć blisko.

Alistair zaczerwienił się.

- Jutro ją zobaczę - przyznał. - Przyjdę z nią na ślub. Libby nagle otrzeźwiała. Ślub. Ślub Nathana.

- Mam nadzieję, że wystarczy - powiedziała z niepokojem, oglądając pod światło obie buteleczki. Monice ostatnio szczególnie dawała się we znaki menopauza, a ze wszystkich ziół najbardziej pomagała jej właśnie szałwia. - Myślisz, że powinnam jeszcze trochę nazrywać?

- Nie wiem - z uśmiechem odparł Alistair, któremu myśl o jasnowłosej przyjaciółce najwidoczniej przywróciła humor. - Dolej wódki - doradził. - Wódka wszystko leczy.

- Może powinnam ją wypróbować na sobie - mruknęła.

- Nie jesteś chyba chora, co? - zaniepokoił się Alistair. - Może ten nagły pomysł, żeby zobaczyć szeroki świat, to po prostu symptom?

- Jestem w szczytowej formie - odrzekła. Przynajmniej fizycznej, dodała w duchu. - A w moim pomysle nie ma nic nagłego. Noszę się z nim już kilka miesięcy.

Dokładnie dwa, pomyślała. Dokładnie dwa miesiące minęły od tamtego okropnego popołudnia w biurze Nathana.

- Schudłaś - stwierdził. - I cerę masz dziwnie bladą.

- Nic mi nie jest. Przestań zrzędzić. Alistair rozpromienił się.

- Dokładnie to samo powiedział mi dzisiaj Nathan. Znieruchomiała. Nie chciała słyszeć, co mówił Nathan, lecz Alistair, nie zdając sobie sprawy z jej uczuć, ciągnął:

- Jestem niby świadkiem, ale nie było żadnych spotkań ani ustaleń. Nawet nie wiem, co właściwie mam robić na tym ślubie, więc dzisiaj rano zadzwoniłem i powiedziałem, że jutro przyjadę wcześniej, to wszystko uzgodnimy, a on mi na to, że nie będzie czasu. Pracuje aż do lunchu, jeżeli nie dłużej, i prosto z pracy jedzie na ślub. Cały Nathan. Nikt inny nie poszedłby do pracy w dniu ślubu. Trochę mi żal panny młodej.

- Przecież musisz tylko podać obrączki, prawda? - Libby wbiła paznokcie we wnętrze dłoni. - A potem palnąć mówkę.

- Mam nadzieję, że niczego więcej ode mnie nie oczekują - odparł, otrząsając się z udawaną zgrozą. - Mama mówi, że ta Paula jest strasznie wymagająca. Obym jej nie podpadł.

- Dasz sobie radę - uspokoiła go, czując, że ma już dosyć tej rozmowy. - Słuchaj, muszę jechać po zakupy. Potrzebujesz czegoś z miasta?

- Nie. - Alistair spojrział na zegarek i zrobił stropioną minę. - Oj, przepraszam, że tak się rozgadałem. - Libby zdołała jakoś zapanować nad mimiką, odprowadzając go do drzwi. - Szkoda, że wcześniej mi nie powiedziałaś o tym wyjeździe - poskarżył się. - Zostały mi tylko dwa tygodnie na to, żeby cię namówić do zmiany planów.

Przezcąco pokręciła głową. Niestety, dwa miesiące spędzone bez Nathana ani trochę nie przygasiły jej miłości i tęsknoty. Ilekroć za płotem przejeżdżał jakiś samochód, pędziła do okna. Każdy odgłos dobiegający od strony domu Alistaira sprawiał, że szybciej biło jej serce. Pozostawało jedno jedyne wyjście: wyjechać gdzieś, gdzie będzie musiała pogodzić się z faktem, że nigdy już się z Nathanem nie zobaczy.

Jadąc nazajutrz rano do szpitala, Nathan zatrzymał się w okolicy King's Cross i wstąpił do pana McTaggarta. Odwiedzał go co tydzień, zaintrygowany, że tak świetnie goją się wrzody, które początkowo wydawały się nie do wyleczenia.

- Robi pan postępy - pochwalił pacjenta, zmieniając bandaż na chorej nodze.

- Aha - z szerokim uśmiechem odparł McTaggart. - A wczoraj udało nam się nawet pójść na mały spacer do parku. Napije się pan kawy? - spytał, spuszczaając nogawkę, tak że zasłoniła obandażowane miejsce.

Nathan spojrział na zegarek.

- Dobrze, mam dziesięć minut.

- Za ciężko pan pracuje - stwierdziła pani McTaggart, wchodząc z tacą. - Wszyscy lekarze za ciężko pracują. Pewnie nic innego pan dzisiaj nie będzie robił?

Nathan upił łyk kawy i ku swemu zdumieniu powiedział:

- Owszem. Dziś po południu się żenię. Gospodarzom zapało dech ze zdziwienia, a po chwili pan

McTaggart parsknął radosnym śmiechem.

- To najwspanialszy dzień w pana życiu - rzekł. - Zona i ja wzięliśmy ślub sześćdziesiąt dwa lata temu. We wrześniu będzie rocznica.

Staruszkowie spojrzeli po sobie rozkochanym wzrokiem.

- To taki niezwykły dzień - rozmarzyła się pani McTaggart, a jej twarz przybrała na moment nieomal dziewczęcy wyraz. - Początek nowego życia. Na pewno jest pan strasznie przejęty.

Nathan zrobił rachunek sumienia i stwierdził, że jest raczej zrezygnowany.

- I po tych sześćdziesięciu dwóch latach niczego państwo nie żałują? - spytał, bo ciekawość wzięła w nim górę nad ostrożnością, chociaż nie chciałby ich urazić.

Staruszkowi zaświeciły się oczy, kiedy poklepał żonę po kruchej dłoni.

- Nigdy nam się nie zdarzyło, żeby wieczorny żal dotrwał do rana - wyznał. - Zawsze mówię, że skłóceni ludzie nie powinni zasypiać, póki się nie pogodzą. Łóżko jest po to, żeby się w nim kochać, a nie drzeć koty.

Nathan uśmiechnął się, lecz czuł się coraz bardziej niezręcznie. W jego łóżku nieczęsto dochodziło ostatnio do miłosnych scen. Na szczęście Paula uznała, że jej narzeczony zrobił się nagle staroświecki i czeka, aż będą po ślubie.

- Kochać, a nie drzeć koty - powtórzył. - Zapamiętam.

- Spojrzał na zegarek i wstał. - Czas na mnie - oświadczył, sięgając po torbę. - Zajrzę w przyszłym tygodniu.

- To nie jadą państwo w podróż poślubną? - zdziwił się gospodarz.

- Zanadto jestem w tej chwili zajęty. - Nathan uznał, że byłoby niesprawiedliwie, gdyby koledzy znowu musieli go zastępować, bo przecież dopiero wrócił z urlopu. Paula była wprawdzie trochę zła, że ominą ją wymarzone wczasy nad Morzem Śródziemnym, ale jakoś nie protestowała.

Już w drzwiach pani McTaggart położyła mu dłoń na ramieniu i mocno ją ścisnęła.

- Wszystkiego najlepszego - rzekła ze łzami w oczach.

- Myślami będziemy z panem.

Idąc do samochodu, czuł się jak ostami szalbierz. No tak, żeni się i zrobi wszystko, żeby to małżeństwo było udane. Ale sześćdziesiąt dwa lata? Liczba ta nieustannie dzwięczała mu w uszach. Czy za sześćdziesiąt dwa lata - jeśli on i Paula pożyją aż tak długo - będzie mógł szczerze powiedzieć, że niczego nie żałuje?

Pozwolił sobie na przelotną myśl o Libby. Wyobraził ją sobie w chwili, gdy wyłaniała się z morza. Wspomnił słodką kobiecość w jej uśmiechu, kiedy rozbierała się dla niego. Przekręcił kluczyk i raptownie wrzucił bieg. Wybrał przecież jedyne odpowiedzialne rozwiązanie, a teraz za późno już, by się rozmyślić. Za parę godzin on i Paula będą po ślubie.

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy tuż przed drugą wjechał na parking przed ratuszem, w bocznym lusterku mignęła mu własna zacięta twarz.

- Rozchmurz się, Nathan - rzekł do siebie. - Sam chciałeś. W ten sposób świat podobno ma wrócić do normy.

Widok rodziny wcale nie poprawił mu humoru. Machnąwszy ręką w odpowiedzi na powitalne okrzyki, zręcznie ominął dzieci figlujące na chodniku, i przedarł się do matki, która stała z boku wraz z Kennethem.

- Powiedziałem, że macie przyjść tylko wy i Alistair, a nie ta cała hałastrą. Ale gdzie właściwie jest Alistair?

Matka rozejrzała się.

- Gdzieś musi być - odparła. - Ze swoją dziewczyną.

- Z dziewczyną? - powtórzył, nagle się spinając.

- Przecież ją znasz. - Matka otaksowała go spojrzeniem, po czym dodała obojętnie: - Na pewno pamiętasz Libby.

- Spróbuj go poszukać w środku - doradził Kenneth.

- Dziękuję. - Nathan z ponurą miną wszedł na górę, tak zdenerwowany, że ledwie zdołał uśmiechnąć się do bliźniąt, gdy je mijał. Tuż za obrotowymi drzwiami spotkał Alistaira, któremu towarzyszyła wysoka, roześmiana blondynka. Nie zwracając na nią uwagi, Nathan zapytał:

- Gdzie Libby? Matka mówi, że tu jest.

Lecz Alistair tylko zamrugnął oczami ze zdumienia.

- Libby? Moja Libby?

- Ona nie jest twoja! Nie pozwalaj sobie.

- Zaraz, zaraz - wyjąkał, podnosząc ręce w obronnym geście. - Nie wiem, co ci powiedziała matka, ale jeśli mowa o Libby Deane, to z pewnością jej tu nie ma. - Posiał nerwowy uśmiech blondynce, która patrzyła na Nathana, jakby myślała, że oszalał. - To jest Cynthia, moja dziewczyna. Cynthia, to jest Nathan, mój brat, który dzisiaj bierze ślub.

- Więc Libby tu nie ma?

- Oczywiście, że nie - odparł Alistair. - Czy ty aby na pewno dobrze się czujesz? - Nie doczekawszy się odpowiedzi zachichotał: - Rozumiem. Przedślubna trema.

- Zaczekam na dworze - pospiesznie wtrąciła blondynka.

- Jak ona sobie radzi? - spytał Nathan, a widząc zdumienie brata, dodał ze złością: - Pytam o Libby!

- Aha. Więc wtedy na rocznicy ślubu rodziców trafnie się domyśliłem. - Skrzywił się. - Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, nie radzi sobie. Schudła, wygląda jak zjawa i emigruje. Do Nowej Zelandii.

- Do Nowej Zelandii? - Nathan poczuł się, jakby nagle wypompowano mu z płuc całe powietrze. - Ale przecież Kornwalia... Kocha to miejsce. Jest tam u siebie.

- Ucieka. Zapewne przed tobą.

Nathan poczuł się straszliwie winny. Alistair spojrział w okno i widząc, że przed ratusz zajezdza biała limuzyna, powiedział:

- Mam nadzieję, Nate, że wiesz, co robisz. Bo właśnie przyjechała twoja narzeczona.

Popołudnie było ciepłe, słoneczne. Idealna pogoda na ślub, pomyślała Libby, kiedy wieczorem schodziła z urwiska na plażę. Zdjęła szorty i bluzkę, wbiegła do wody, zanurkowała i wściekle młócąc fale, popłynęła przez zatokę. Było prawie zupełnie ciemno. Zastanawiała się, co teraz robią państwo młodzi. Czy jeszcze są na przyjęciu? A może ulotnili się wcześniej, bo pilno im było... skonsumować małżeństwo?

Jęknęła. Nathan jest dla niej stracony raz na zawsze. Zatrzymała się, by odpocząć, i popatrzyła w stronę domu, z którym za dwa tygodnie miała się na zawsze pożegnać.

Nagle zauważyła jakiś ruch na szczycie urwiska i dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Poruszył głową, a ona głośno westchnęła, ponieważ ogarnęło ją znajome uczucie.

Spokojnie zaczęła się zastanawiać, czy to znaczy, że oszalała. A jeśli tak, to czy w Nowej Zelandii nadal będzie odnosiła wrażenie, że widzi Nathana? Czyżby nawet na końcu świata nie było przed nim ucieczki? Tymczasem zjawa znowu się poruszyła, kierując się w stronę ścieżki, nagle całkiem rzeczywista.

Czyżby był aż tak okrutny, by przywieźć swą oblubienicę na miodowy miesiąc do Kornwalii?

Czekał na nią na plaży, a razem z nim czekały koty. Stał bez ruchu, mroczny i oficjalny, w smokingu, z rozluźnioną muszką. Bez słowa podniósł z ziemi ręcznik i podał go Libby. Wzięła go, także nie odzywając się ani słowem, uważając, żeby nie dotknąć ręki Nathana, i owinęła się.

- Libby, od pierwszego dnia uciekam przed tym, co do ciebie czuję - oznajmił cicho. - Nie chcę już uciekać.

Nerwowo poprawiała na sobie ręcznik, nie wiedząc, co powiedzieć. Nathan wbił ręce w kieszenie spodni.

- Posłuchaj - rzekł nagłym tonem. - Zraniłem cię nie z rozmysłu, tylko dlatego, że w swoich uczuciach wobec ciebie widziałem wyłącznie seksualne opętanie. Zostawiłem cię tu, a potem w Londynie odprawiłem z kwitkiem, bo w obu przypadkach byłem szczerze przekonany, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Ale teraz żałuję. Przykro mi.

Było mu przykro! Libby odwróciła się od niego, przytłoczona rozpaczą, i powłócząc nogami ruszyła w stronę ścieżki. Przyszedł ją przeprosić, ale czy nie rozumiał, że w ten sposób tylko zadaje jej dodatkowy ból?

- Libby! - zawołał, idąc za nią. Nie zatrzymała się. Zupełnie by go zignorowała, gdyby nie chwycił jej za drżące ramiona i nie przyciągnął ku sobie. - Libby, mówiłaś, że mnie kochasz. Czyżbym zupełnie zniszczył to uczucie?

- Odejdź, Nathan - rzekła ze smutkiem, zamykając oczy, żeby odgrodzić się od blasku, który bił od niego i zalewał całe jej ciało. - Proszę cię, odejdź. Nie zniosę tego dłużej.

- Nie mogę cię zostawić! - Poczula w mokrych włosach muśnięcie jego ust. - Nie mogę odejść. Kocham cię.

- To był tylko seks - odparła głucho. - Niczego więcej nie chciałeś. Nie mam ci za złe.

Nawet gdyby znów jej pragnął, nie mogłaby jeszcze raz przeżyć tej samej udręki.

- Myliłem się, kiedy mówiłem, że cię nie kocham - dodał. - Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wydawało mi się, że powinnaś odejść i dalej żyć własnym życiem.

- No więc odeszłam. - Odepchnęła go i wolno obróciła się twarzą do niego. Postanowiła, że tym razem to on odejdzie. - I żyję własnym życiem. - Skrzywił się, jakby jej słowa go zraniły, lecz ona na ten widok nie poczuła ani odrobiny triumfu. - Nie będę twoją kochanką, Nathan. To by mnie zniszczyło. Wracaj do żony.

- Nie jestem żonaty.

- A Paula?

Wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem.

- Już jej nie ma - odparł bez troski, ale umknął przed jej spojrzeniem, jakby czuł się jednak winny, że zerwał z Paulą. - Libby, ciebie i mnie połączyło coś więcej niż seks. Widocznie miałem klapki na oczach, skoro

tego nie dostrzegłem. Te parę tygodni, które tu spędziłem, to był najszczęśliwszy czas w moim życiu. Myślałem, że takie szczęście nie może trwać. A teraz myślę, że przetrwa długie lata. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt. Naprawdę cię kocham, do szaleństwa. Życie bez ciebie nie jest ani dobre, ani sensowne, ani spełnione, tylko jałowe i niepełne. Nie chcę żyć w ten sposób.

Nie wierzyła mu. Czowała wysiłek i napięcie w jego głosie i pomimo własnej niedoli martwiła się o niego.

- Paula z tobą zerwała?

- Nie! - Pokręcił głową, jakby zirytowany, że musi pomyśleć o tamtej. - Dzisiaj w ratuszu doszliśmy do wniosku, że zdecydowaliśmy się na małżeństwo bez słusznej motywacji.

Odwołali ślub? I Nathan mówi, że ją kocha?

- Bez słusznej motywacji? - powtórzyła.

Usiadł przy niej, w odległości kilkunastu centymetrów.

- Masz piękny garnitur - rzekła, spoglądając na jego koszulę, na klapy smokingu, byle tylko nie patrzeć mu w twarz.

- Mniejsza o to. Słuchaj, Paula nigdy mnie nie kochała. Ani ja jej. Wiem, brzmi to bardzo cynicznie, ale postaraj się zrozumieć, że taki związek był dla nas obojga... wygodny. Pewnie nigdy nie pomyślelibyśmy o małżeństwie, gdyby Pauli przez chwilę nie wydawało się, że jest w ciąży. A wtedy oswoiliśmy się z tym pomysłem i uznaliśmy, że ma sens. Po rozstaniu z tobą chciałem, żeby moje życie wróciło do normy. Ale Paula zaczęła się wahać. Namawiała mnie, żebym po ślubie zaczął prywatną praktykę, a ja postanowiłem tego nie robić. Na dzieci też zgodziła się właściwie wbrew sobie, tylko dlatego, że ja ich chciałem. No i wreszcie dzisiaj oboje oprzytomnieliśmy. W przeciwnym razie rozwiedlibyśmy się, i to najdalej za kilka miesięcy.

Libby milczała, a on pogłaskał ją po nagim ramieniu.

- Na małżeństwo zdecydowałem się głównie po to, żeby między tobą, Libby, a mną wznieść przeszkodę.

- Po co ci była ta przeszkoda?

- Libby, pierwszego wieczoru po przyjeździe do Kornwalii patrzyłem, jak pływasz. Miałem ochotę zbiec na plażę, wziąć cię w ramiona i kochać się z tobą aż do końca świata. Przy każdym następnym spotkaniu pragnąłem cię coraz bardziej. Nie przywykłem do takich odczuć. Nie przywykłem do tego, że jestem zdany na łaskę i niełaskę własnych fizycznych reakcji. Czułem, jakby zżerała mnie żądza. Tak mną owładnęła, że nic innego do mnie nie

docierało. Zanim się pojawiłaś, mój świat był uporządkowany - ciągnął Nathan. - Żadnych niespodzianek ani wstrząsów. Wydawało mi się, że to mi właśnie odpowiada. Aż do dziś miałem wrażenie, że za wszelką cenę muszę utrzymać ten ład.

- Co się zmieniło? - spytała ze spuszczoną głową.

- Zdałem sobie sprawę, że właściwie już nie bardzo rozumiem, czemu dotychczas tak mi zależało na tym uporządkowaniu - odparł. - Liczysz się dla mnie tylko ty.

Patrzyła przed siebie, słuchając, jak granatowe fale łomocą, a przybrzeżny żwir podzwania w ich rytmie.

- Kochasz mnie - stwierdziła.

- Uwielbiam. - Przysunął się do niej. - I to chyba już od tamtego pierwszego wieczoru.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że mnie widzisz - rzekła z lekką chrypką. - Myślałam, że w domu Alistaira nikogo nie ma. Czy... miałam coś na sobie?

- Nic. Wyglądałaś jak syrena wyłaniająca się spośród fal. Od tamtej chwili byłem stracony. Totalnie, bez reszty tobą opętany. - Musnął ustami jej gorącą szyję, a ona wyprężyła się, by mu to ułatwić. - Pragnąłem cię jak wariat.

- Ja czułam to samo, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, ale nie bałam się. Więc dlaczego ty się bałeś?

- Bo czułem, że tracę kontrolę. No i uważałem, że jesteś za młoda, a w dodatku myślałem, że Alistair w tobie się kocha. - Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. - Dalej zresztą myślę, że jest w tobie zakochany - dodał łagodnie - a ty jesteś dla mnie za młoda. Ale już mi wszystko jedno. Przez kilka sekund milczeli, a potem Nathan podjął:

- Twoje miejsce jest tutaj, Libby, a moje w Londynie. Tam mam pracę i nie chcę z niej rezygnować. A zawsze wiedziałem, że nie wolno mi cię stąd wrywać. Alistair mówi, że emigrujesz do Nowej Zelandii. To z powodu... tej całej historii, prawda? Możemy pojechać tam na wakacje, jeśli masz ochotę, ale przecież nie chcesz się stąd wynosić?

- Nie mogłabym cię zapomnieć - wyznała. - Chciałam wyjechać jak najdalej, myśląc, że to pomoże.

- Pojechałbym za tobą - powiedział, a ona mu uwierzyła.

- Moje miejsce jest przy tobie - szepnęła.

- Będę tu przyjeżdżał w każdy wolny weekend. I na święta. Czasem choćby na jedną noc w połowie tygodnia. Jeżeli będę latał samolotami,

zyskam na czasie. A ty w każdej chwili możesz przyjechać do Londynu, jeśli zechcesz.

- Nie chcesz, żebym mieszkała z tobą? - spytała.

- Oczywiście, że chcę - odparł zdumiony. - Chcę się z tobą ożenić, kochać cię i odtąd już zawsze żyć razem. Ale nie mogę żądać, żebyś się stąd wyprowadziła.

- Już ci powiedziałam, że moje miejsce jest przy tobie. Nie taka znów ze mnie krucha, baśniowa istotka, żebym nie mogła mieszkać gdzie indziej. Skoro gotowa byłam przelecieć prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów, próbując cię zapomnieć, to chyba wytrzymam w Londynie, jeśli w nagrodę będę miała ciebie?

- Mój... cudowny aniele. - Pocałował ją gorąco. - Będziemy tu przyjeżdżali na weekendy i na święta. A w Londynie przeprowadzimy się gdzieś, gdzie ty i koty będziecie mieli więcej miejsca. Bez trudu znajdziesz tam pracę. Klientki będą się pchały drzwiami i oknami.

Podniosła się lekko, uklękła i otrzepała piasek z klap jego smokingu. Kolejny pocałunek natychmiast ją podniecił.

- A twoja praca? Czy moja obecność ci nie przeszkodzi?

- Wbrew temu, co ci o mnie naopowiadał Alistair - odparł - nie jestem nałogowcem.

- Kocham cię - szepnęła obejmując kolanami jego uda. - Pocałuj mnie i zrób coś, żebym się do reszty upewniła,

- Cokolwiek, kiedykolwiek, gdziekolwiek zechcesz. Zdjął z niej ręcznik i przyciągnął ją do siebie, ciepłymi ustami szukając jej piersi. Kochali się na plaży, pod gwiazdami, namiętnie, zachłannie. Potem pływali w ciemnościach, aż wreszcie Nathan zaniósł ją do domu, gdzie znowu zaczęli się kochać. Później wrócili do przerwanej rozmowy. Nathan opowiedział jej o kłopotach w pracy, o swoim wystąpieniu w telewizji, a także o tym, jak uciekł z własnego ślubu.

- Wyszła z tego zupełna farsa! Rodzina ostrzegła mnie od lat, że ta wieczna pracowitość do niczego dobrego nie doprowadzi, więc kiedy zobaczyli, że w końcu pękłem i czmychnąłem z ratusza, ucieszyli się. Matka oczywiście wiedziała, że to nie efekt przeciążenia pracą. Zażyła mnie podstępem, no i udało się. Nareszcie poczułem, że jeśli mam jeszcze przed sobą sześćdziesiąt dwa lata, nie chcę ich prze-wegetować. Chcę żyć, czyli być z kobietą, którą kocham,

- Sześćdziesiąt dwa lata? - zdziwiła się Libby.

- Kiedyś ci to wytłumaczę - obiecał, po czym pochylił głowę i ustami dotknął jej ust. - Mamy przed sobą całe lata rozkoszy - szepnął. - Począwszy od tej chwili.

RS